

BIBLIOTEKA NARODOWA.

Tom 9.

KACZKOWSKI ZYGMUNT. ŻYDOWSCY.

II.

S-1125

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

SPISANA PRZEZ

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

„Dam chwałę Bogu: a powiem prawdę, niechaj
„boli jako chce.“

Ze starego rękopismu.

TOM II.

Ernestyna Stankiewicz

WE LWOWIE,

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

1872.

A. J. MIZIEWICZ I SA KŁOKOMYJA.



L. ogólna _____
L. działu 126. Tom 2.

Z drukarni Narodowej w Kołomyjach.

OD ROKU 1853...

Objąwszy majątek taki, w którym od wieków panowało gospodarstwo niby trzy-polowe lecz w gruncie rzeczy dowolne, jak to się w Polsce zdarzało najczęściej — a chcąc ten majątek zagospodarować odpowiednio wydatkom i wymaganiom dzisiejszym, można z nowszych nabytków agronomicznej nauki w dwojaki sposób korzystać. Więc tedy można:

Albo zmazać od razu wszystko, co dotychczas istniało, i przyjąwszy stosowne do miejscowości zasady agronomiczne i ekonomiczne, radykalnie wprowadzić je w życie.

Albo zostawić tymczasowo to, co istniało dotychczas, a wytknąwszy sobie cel, do którego się ma dążyć, istniejące dziś wady, wedle wskazówek nauki i własnych doświadczeń a odpowiednio wytkniętemu celowi, pomалу poprawiać.

Pierwszy sposób jest racjonalniejszym, bo jest gruntownym i radykalnym.

Tego też sposobu chwycili się ci obadwa Prusacy, którzy Grodowiska kupili. Postępowanie ich było-by godnem szczegółowego opisu; szkoda, że nie mam tu miejsca na niego. Wymienię wszakże przynajmniej ich główne postęпки.

Więc tedy najpierw' wzięli się do ziemi i postąpili sobie z nią bardzo racjonalnie. Zbadali jej warstwę spodnią i warstwę rodzajną. Tę ostatnią rozebrali chemicznie i znaleźli, że jest złożoną głównie z piasku i gliny, dołem z przymieszką pruchnicy i wapiennego marglu, górą z drobnymi cząstkami samego marglu. Zważywszy jeszcze do tego położenie gruntów wysokie i chłodne, *Herr Düsseldorfer* rzekł:

— *Sand und Lehm, das ist een fruchtbarer Boden, besonders jeeignet für Roggen. Hiemit die Hauptfrucht: Roggen.*

Badając ziemię w położeniach jej wyższych, uważał wprawdzie, że wegetacya na niej jest nadzwyczajnie słaba i licha; ale nie przypisał tego ani rzadkości gleby z natury, ani jej wyczerpaniu przez owsy, tylko polskiemu pługom i bronom, i polskiej niezdarności rozumu. Zaczem ułożywszy rotacyą na zasadzie głównej uprawy żyta, uprawił jeszcze tej samej jesieni trzysta

korcy żyta — a na wiosnę odpowiednią ilość wyk, grochu i bobu; resztę pomijam. Drugą ważną gałęzią Grodowskiej intraty był las. Za czasów Krzesława i Nowickiego spieniężano go w sposób najprostszy. Drzewo budulcowe sprzedawano na pniu, a inne szpilkowe tarto na deski, które pozbywano na miejscu. Była to sprzedaż bardzo niekorzystna; ale skutkiem nieprzyjaznych okoliczności miejscowych jeszcze najkorzystniejsza ze wszystkich. Nie przyznali wszakże Prusacy tej niekorzyści okolicznościom, tylko osławionej niezaradności Polaków; zaczęli zastosowali wyrób drzewa do potrzeb Wrocławskich, i pozawierawszy znaczne umowy w tem mieście, rozpoczęli tę fabrykę na wielką skalę jeszcze tej samej zimy. Trzecią ważną gałęzią był piwny browar. Fabryka ta znajdowała się dotąd w takim stanie, w jakim się zwykle znajdują u nas browary, obliczone na konsumcyą miejscową. Nowicki, który miał dostatek kapitału pod ręką, warzył piwo na własny rachunek, i bardzo dobrze na tem wychodził. Przezorny Krzesław, nie mając dostatku pieniędzy, wypuszczał ten browar piwowarowi i brał za niego sto dukatów, wszystko młóto, i sprzedawał mu drzewo po cenie dosyć wysokiej. Prusacy tę małą lecz pewną gałąź dochodu wywrócili do gruntu; urządzili browar na wielką skalę,

sprowadzili susznię kosztowną, naczynia kute i drogie, a do nich piwowara Prusaka — i zaczęli warzyć piwo dobre, drogie i obliczone na wielkie miasta.

Tak samo także postąpili sobie z gorzelnią. Machine dawną, jeszcze niezłą, sprzedali na wagę, a sprowadzili nową dwakroć tak wielką, wszystkie naczynia i nowe wszelkie przyrządy, a do nich gorzelnika Prusaka. Zaprowadzili zresztą w gorzelni tę ważną zmianę, iż nie pojmując korzystnego spieniężenia wywarów przez skarmienie ich wołmi opasowemi, zaprowadzili natomiast tysiąc dwieście owiec cienko-wełnistych.

Do tego wszystkiego już tylko dodać wypada, iż wszystkie inwentarze robocze jak i narzędzia rolnicze zaprowadzili w jak najlepszym gatunku — i trzeba im przyznać, iż wszystko to było umiejętnie zastósowane do rodzaju i położenia ziemi; bydło robocze doskonale żywione, uprężone i usposobione do pracy.

Tak urządziwszy się w oka mgnieniu, wzięli się do roboty, — i pracowali tak, jak tylko można najlepiej, dozorując wszystkiego pilnie i umiejętnie, nie zaniedbując się w niczem, nie zasypiając ni dnia ni nocy. —

Tak minął rok cały z okładem.

Kto wyrócił wszystko, co zastał, do gruntu, ten w ziemi nie może się spodziewać jeszcze za-

dnym rezultatów po jednym roku, ani po trzech, a ledwie dopiero po sześciu lub ośmiu, co zwykle zależy od rozciągłości przyjętej rotacyi; ale u nich już po jednym roku okazały się rezultaty ogromne.

Albowiem z owych trzechset korcy żyta zebrali i schowali do szpichrza korcy trzysta, mówię wyraźnie trzysta; i to jeszcze do tego z tą znaczną korzyścią, że żyto, które zasiali, ważyło funtów sto siedmdziesiąt, a to które zebrali, sto trzydzieście. Z wyk, grochów i bobów, została tylko pamięć w rejestrach.

Na drzewie wyszli jeszcze daleko lepiej. Albowiem tylko jedna umowa w Wrocławiu poszła im gładko; a zresztą wszystko pod włos. Kiedy przyszło drzewo ścinać, nie było ludzi; kiedy je przyszło oprawiać, ludzi nie było; kiedy je przyszło wywozić, to znowu nie było ludzi. Sprowadzili więc kilkadziesiąt familii podobno aż z prowincyi nadreńskich, które dla pospiechu przybyły psami, a tak przecie pomału oprawili to drzewo. Ale kiedy je nareszcie dostawili na miejsce, okazało się, iż nietylko nie było na tem żadnego zysku, ale przeciwnie okazała się strata.

Na browarze wprowadzie nic nie stracili, bo robili piwo dobre, które nawet pomału zaczęło znachodzić odbył w miastach stołecznych; ale

także nic nie zyskali. Bo na takim browarze nigdy się nie zyskuje w pierwszym roku, a to z tej prostej przyczyny, iż takiemu producentowi musi chodzić przedewszystkiem o uzyskanie rozgłosu dla swego produktu, zaczem sprzedaje go tanio; a jeżeli tylko nie stracił i rozgłos uzyskał, to na pierwszy rok jest już korzyść dla niego niezmiernie wielka.

Na gorzelni także nic nie stracili, bo umiejętnie urządzona gorzelnia tracić nie może; ale i tu także zysku nie mieli, bo z powodu wielkiej drożyzny w kraju zysk na gorzelni był prawie niepodobieństwem.

Ażebyśmy mogli zrozumieć tych rezultatów donośność, musimy się pierwszej dowiedzieć, jakimi właściwie ludźmi byli ci obadwa Prusacy, i w jakie byli zaopatrzeni środki.

Ci ludzie, którzy tutaj ze Szląska pruskiego, z Saxonii, Brandenburgii, a nawet aż z prowincyi nadreńskich przypływają za kupnem, są po największej części wyrzutem tamtejszego szachrajstwa. Zwabieni taniością ziemi, zakupują ją łatwo i prędko, lecz zwykle na to, ażeby złowić którego ze swoich rodaków i zyskyc na odprzedaży. Ci ludzie miotają zazwyczaj krociami, ale ani tysięcy nie mają; kupują ziemię od właścicieli takich, którzy z tych albo owych powodów chcą

ją sprzedąć koniecznie; zaczęli dawszy zadatek, resztę albo przyjmują w długach, albo obowiązują się spłacić ratami. Jeżeli znajdą nowego nabywcę, to wynoszą się z zyskiem napowrót, a jeśli go nie znajdą, to uroniwszy zadatek, wynoszą się bez zysku. Takich przekupniów jest między nimi najwięcej. Wszakże są i tacy; którzy mają jakiegokolwiek fundusze, a skuszeni tutejszemi lasami i przestrzeniami, zakupują się na to, ażeby z rolnictwa, przemysłu i handlu wyciągać te korzyści, których wedle ich rozumienia nie umieją wyciągnąć Polacy. I ci także zazwyczaj nie mają odpowiednich swojemu przedsiębiorstwu funduszków, a licząc zawsze na ten kredyt, który ma ziemia w Niemczech ale nie ma go w Polsce, kupują dobra po trzy i po cztery razy droższe, niżeli może zapłacić ich kieszeń. Jednakże mocą swego przemysłu kredyt ten zwykle aż do pewnego stopnia znajdują; bo są pomiędzy nimi nareszcie i tacy, którzy mają dostateczne fundusze i mieli z ich prowizyi spokojne i przyzwoite utrzymanie po miastach, lecz złakomieni na wyższą prowizyą w Polsce, dają się przez swych przedsiębiorczych rodaków wciągać do spółek.

Ci, którzy kupili Grodowiska, nie byli to jeszcze z tych przybyszów najgorsi. Więc *Düsseldorfer*, — żyd chrzczony na wiarę luterską; prze-

śliczna pod względem religijnym figura! — był to spekulant. Miał w swoim życiu najrozmaitsze przedsiębiorstwa: posiadał dobra wielkie i małe, fabryki perkalów i sygarów, młyny parowe i kopalnie galmanu, sklepy korzenne, żelazne, galanteryjne, oberze i kamienice, i miewał przytem czasem po sto kilkadziesiąt tysięcy, a czasem po kilkanaście tysięcy talarów majątku, — jak to zazwyczaj rozmaicie się zdarza handlarzom. Kiedy do kupna Grodowisk przystąpił, miał ze trzydzieście tysięcy. Z tem nie mógł oczywiście zawrzeć tej umowy, zwłaszcza że ich nie miał w gotówce; więc znalazł sobie spółnika — a tym był *Herr von der Ecke*. *Herr von der Ecke* był to Brandenburczyk rodem i miał *im Uckermärkischen* ziemski majątek. Żył tam spokojnie, trudniąc się rolnictwem. Ale kiedy mu dzieci wymarły i tylko żona została, sprzedał swoją fortunę i żył z prowizyi w Berlinie. Tam go *Düsseldorfer* wynalazł i do spółki namówił. Jego żona bardzo się temu sprzeciwiała, ale *der Drang nach Osten* jej męża przemógł jej opór — i przyjechali oboje do Polski.

Zawartą tedy została pomiędzy obudwoma mężami taka spółka, iż *Düsseldorfer* przystąpił do trzeciej części, a *von der Ecke* do dwóch trzecich. Obadwa razem mieli tyle funduszów, że mo-

gli Grodowiska zapłacić w całości; ale nie wypłacili, zostawiając część trzecią do wypłacenia za rok pod rygorem wexlowym sądu polubownego z gotowym wyrokiem, i pod wszystkimi rygorami, jakie są tylko na świecie, bo przecież mieli do czynienia z Krzesławem. Cóż tedy w Grodowiska włożyli? — oto ten kapitał, który właściwie do Krzesława należał, a który mu powinni byli wypłacić po upływie jednego roku. Oparli się na tem, że ten kapitał w Grodowiska włożony odzyskają do roku za pomocą gorzelni, browaru i lasu. Ale go nie uzyskali, tylko w jednej połowie całkiem stracili, a w drugiej uwięzili w nakładach. Już więc po jednym roku położenie ich było nadzwyczajnie krytyczne. Ale jeszcze się ocalili. Przemysłny *Düsseldorfer* rzucił się do Wrocławia i przyprowadził jeszcze jednego Niemca ze sobą, który im części tego kapitału dostarczył — a za to przyjechał z żoną i dziećmi i zamieszkał w pałacu. Kapitał ten jeszcze nie wystarczył na zapłacenie Krzesława, ale *Düsseldorfer* zabrał, co miał piwowar i co miał gorzelnik — a tak zbył się nareszcie tego straszego długu, który mu jak miecz wisiał nad karkiem. Pozaciągawszy takie pożyczki, odetchnęli Brandenburczycy swobodniej — i zdawało im się, że już wygrali. Nauzeni doświadczeniem, mogli już coś mieć z roli

i lasu, a z gorzelni i browaru powinno było już płynąć czyste złoto. Ale naturalnie i te rachuby ich omyliły — a to z tego powodu, że nie mieli czem tego kosztownego gospodarstwa prowadzić. Browar mógł im ogromne przynosić dochody, bo już miał wziętość, lecz tylko wtedy, gdyby był miał nigdy niewyczerpane zapasy jęczmienia i chmielu; tak samo gorzelnia, tak samo las, tak samo i rola. Pieniędzy nie było — a trzeba ich było koniecznie. I *Düsseldorfer* ich ciągle dostarczał; ale jakimi środkami? Oto niszcząc lasy i role, wypuszczając tartaki i młyny, drąc gdzie się dało, a zresztą pożyczając u żydów na lichwę. Skutki takiego gospodarstwa są wiadome; bo dziś już każdemu jest wiadomą ta prawda, że każde gospodarstwo bez obrotowego kapitału to nieustająca choroba — a nakładowe, to śmierć. Tak więc i oni, — w drugim roku wleźli po pas — a w trzecim po szyję.

I zaprawdę, że warto było natenczas widzieć to gospodarstwo wzorowe, ażeby się przecież czegoś nauczyć. Wszystkie role licho pozasiewane, — łąki w stanie najgorszym, — siano wyblichowane, a zboże opadłe z kłosa na polu, — budynki poodzierane, — inwentarze zniszczone, — owce wylenione a było kudłate; oto ich gospodarstwo. Rozmaite też wtedy zaczęły im się wy-

darzać nieszczęścią, na ziemi polskiej nie widywane. Tak np. nagromadzili z niemałym kosztem ogromną kupę bukowych liści na ściółkę, którą zsykali w dziedzińcu; zerwał się wichur i wymiółł te liście do czysta. *Düsseldorfer*, który stał właśnie w ganku i z otwartymi ustami przypatrywał się tym chmurom liścia, latającym po niebie, zażył tylko tabaki i rzekł: — *Verfluchtes Land! So een Wind ist mir noch nie vorjekommen!* — Kiedy indziej przygotował dwie kupy kompostów, a ponieważ do ich polewania potrzeba wody, a w Grodowiskach stawu nie było, więc przemyślny Brandenburczyk założył je nad brzegiem strumyka. Bardzo to niepokąźny był strumyk, lecz fantastyczny, jak to często zdarza się na Podgórzu. Tymczasem w nocy padła ulewa. Jakimś snem niespokojnym zmęczony, przybiegł *Düsseldorfer* o świcie do swoich kompostów — i zamiast nich zastał tylko dwie wielkie łysiny, które wapno wypaliło w murawie. I znowu zażywszy tabaki, zawołał: — *Verfluchtes Land! Louter Stürme und Wasserfluthen!* — Takich nieszczęść było bez końca, bardzo przyjemnych dla gospodarza takiego, który grzęsnie w długach po uszy. Jakoż natenczas — a mianowicie od wiosny roku 1855 zaczęły się straszliwe rzeczy dziać w Grodowiskim pałacu. Cała jego załoga zburzyła się przeciw

sobie, kłócąc się z sobą, lżąc się nawzajem, napadając na siebie. Rozzarty temi stratami *Herr von der Ecke* rzucał się z pięściami na *Düsseldorfera*, — pani *von der Ecke* na panią *Düsselderową*, — trzeci spółnik na tamtych obydwóch, — jego żona na tamte dwie żony, — i nieraz po całych godzinach był tam harkot jak w psiarni, i latały rynki, talerze i rądle, jak owe liście w powietrzu....

Doprowadzony do ostatniej rozpacz *Herr Düsseldorf*, — widząc, że już na żaden sposób nie wygrzeźnie z tych długów, bo rosły na lichwie jakby na drożdżach, — rzucił się za ostatecznym ratunkiem, za kupcem. Pojechał do Wrocławia, do Berlina, do Drezna; ale napróżno. Rozpisał po wszystkich gazetach niemieckich: *Ein schönes Rittergut zu verkaufen*, ale i to nie pomogło. Zaczął się wreszcie rzucać po kraju, pomiędzy panów, pomiędzy szlachtę, pomiędzy żydów, — chciał sprzedać tanio, za bezcen, nareszcie za nic, ażeby tylko kto długi przyjął i jego grzeszną duszę wypuścił; ale i na to każdy tylko ramionami wzruszał i mówił: Kiedyście wleźli w błoto to siedzcie.

Z takiego losu naszych mniemanych cywilizatorów można-by się śmiać do rozpuku.... ale nie można się śmiać w żaden sposób. Albowiem

to, co powiedziano dotychczas, jest tylko jedną stroną tego smutnego obrazu. Druga jest jeszcze daleko smutniejszą, jest prawie przerażającą.

Każda wieś polska była dawnemi czasy jak gdyby państwem udzielnem. Nie była lenną, bo jej właściciel był jeszcze więcej niezawisłym i wolnym niż lennik. Cóżkolwiekby, zawsze jego stosunki do jego gromad były tego rodzaju, jak stosunki panującego do jego poddanych. Były to związki tak ścisłe, silne i utrwalone wiekami, że ich nawet zniesienie poddaństwa nie potrafiło rozerwać zupełnie. Jakoż trwają one po większej części do dziś dnia. Zawsze jeszcze gromada nie może się obejść bez pana, i czy jej trzeba, czy nawet nie trzeba, zawsze się do niego udaje. Zawsze jeszcze pan nie może się obyć bez gromady, a choćby się mógł obyć bez niej, to po staremu rad utrzymuje te resztki narodowych tradycji, które się i na tej drodze jeszcze chowają. Utrzymywanie tych związków jest nawet jego obowiązkiem, tak z powodów moralnych, jak politycznych, jak wreszcie obywatelskich — a tylko ten, który nie pojmuje przyszłości i nie dba o nią, zrywa je lekkomyślnie. Prusacy tych obowiązków obywatelskich nie pojmowali wcale, ale pomimo to bardzo ważne wpływy wywierali na losy gromad Grodowskiego państwa. Zrozumieli

oni bowiem od razu, wprawdzie nie moralną, ale materyalną stronę związków z gromadą; zaczęli z niej korzystać we wszelkie możliwe sposoby. Od razu, z góry, przyjęli dążność, ażeby te gromady zubożyć, w części dlatego, ażeby od zubożonych powykupywać grunty, a w ogólności dlatego, ażeby mogli tem łatwiej nad niemi panować. Toż póki jeszcze mieli pieniądze, pożyczali im je na lichwę, przybierając ją w najrozmaitsze postacie — a zawsze gniotąc ich srodze, exekwując bez miłosierdzia, grabiąc i narzucając im kary, co wszystko im uchodziło. Prócz tego przycisnęli ich i innemi wyderkafami, urządzając je bardzo zmyślnie, ale najniepoczciwiej. Tak ponakładali na nich podatki w kształcie robocizny za pastwiska, za chrust do grodzenia, za las, za wygony przez swoje pola, za zbieranie jagód i grzybów, ledwie nie za powietrze i wodę. Za roboczną nigdy im nie płacili gotówką, tylko kwitkami, które im propinatorowie przyjmowali wedle stanu finansów dziedziców, czasem za dwie trzecie części nominalnej wartości, a w chwilach krytycznych ledwie za połowę. Nareszcie, mając przy sobie zarząd budowy mostów i dróg na swoim terytoryum, uciskali ich szarwarkami, szachrując niemi w najniegodziwsze sposoby, zabierając te robocizny na swoje pola, przyjmując za nie wykupno a nawet

i gotowe pieniądze. Taki ucisk straszliwy rozprze-strzenili nad gromadami już wtedy, kiedy jeszcze mieli najlepsze widoki; począwszy podupadać, zamienili ten ucisk prawie w łupież publiczną.

Jednakże nie poprzestali na uciskach materialnych; zaprowadzony przez nich ucisk moralny był jeszcze daleko dotkliwszym. Tu rozpoczęli naturalnie od tego, co najboleśniej mogło dotknąć gromadę. Tak przedewszystkiem odebrali im budynek, w którym była szkółka gromadzka, a który był własnością skarbową. Potem odebrali im drugi taki budynek, w którym był zakład dla dziewcząt. A wreszcie zabrali się do rozbierania pałacowego kościółka, tak serdecznie ukochanego przez całą gromadę.... Prócz tego zalali całe te dobra ludźmi swojego narodu. Powypędzali ze wszystkich gospod i karczem i innych podobnych przybytków żydów polskich, a poosadzali na nich Prusaków; więc na karczmach Prusaków, na młynie Prusaka, na tartakach Prusaków, na blichu Prusaka. Naprowadzili nadto, jak już wspomniano powyżej, kilkadziesiąt rodzin pruskich z nad Renu. Ludzie ci za czasów lepszych trudnili się wyrobem drzewa i paleniem popiołu, i z tego żyli. Ale kiedy ich panowie nie mieli ich czem płacić, porozłaziło się to po wsiach, zakupując gdzieniegdzie kawałki gruntu, narzucając się w komorne po chatach

podjadając ubogich włościan, a wreszcie zebrząc po wiejskich ulicach. Okropny był natenczas widok tego niegdyś serdecznie polskiego majątku. Zaledwie gdzie można było usłyszeć jakie słowo polskie, w gospodzie rozmawiano po niemiecku, we młynie po niemiecku, na tartakach po niemiecku, na blichach po niemiecku, w lesie po niemiecku, na polu po niemiecku, w ulicy nawet daleko częściej zaleciały cię odgłosy niemieckie niż polskie. Bo chłop był wtedy zgarbiony, stłumiony i jakby struty; szedł przez ulicę milczący, milcząc pracował, w kościele nawet modlił się milczący. Zgoła przez całe państwo, gdzie było spojrzeć, nie było widać nic, jak tylko ubóstwo, głód, nędzę, smutek, rozpacz — i głucho przytem milczenie, jak zwyczajnie w niewoli.

Jakoż kto wówczas przejeżdżał przez ten majątek, i stanawszy w gospodzie rozpytał się o stosunki miejscowe, temu się dziwnie gorzko zrobiło na sercu. I mówił sobie: — Zabili ich materialnie, zabili moralnie; wszystko już tutaj przedadło!

Ale tymczasem.... bardzo-to niegruntowne bywają wnioski, które ktoś o jakimś majątku lub kraju wydaje z prędkiego przezeń przejazdu, albo wyciąga je z wiadomości pozasięganych w gospodach. Tak pisał o nas Kohl, i wielkie niedorzecz-

ności popisał; tak pisał Grabbe, a my go czytać nie możemy bez śmiechu; tak piszą korespondenci do gazet niemieckich, a my tylko ramionami wzruszamy na te przedwczesne tryumfy. Bo my wiemy to dobrze, iż gromadę taką, która od wieków, od niepamięci, własną zamieszkiwała ziemię, która zawsze tę ziemię z całego serca kochała, która żyła pomiędzy sobą rodzinnie i zgodnie, i zawsze się trzymała wiary i ziemi i mowy swych ojców, nie tak łatwo zabić moralnie, jak się to może na popasie w gospodzie wydawać. Gromadkę taką, gwałtem, uciskiem i podstępami, mogą materyalnie źli ludzie podkopać, — mogą ją ugnieść, zubożyć, zarzucić tysiącami boleści; ale ducha jej zabić, może tylko Bóg sam albo jej własne niedbalstwo. Gdzie zaś gromada sama o sobie pamięta i z narzuconym jej losem pogodzić się nie chce, tam wszystkie usiłowania ludzkie są nadaremne; bo duch jest niezwyciężony — i jak w ogólności nie podlega prawom tej ziemi, tak i w szczegółach nie ulega nigdy mocy rąk ludzkich. Owoż tak samo, pomimo wszelkich pozorów przeciwnych, miała się do swych panów i gromada Grodowisk. Pod takim ciężkim uciskiem i zdzierstwem zgarbiła się wprawdzie, posmutniała, umilkła; lecz przeto nie podupadła na duchu bynaj-

mniej. Owszem, przeciwnie, im bardziej przygniatano ich materyalnie, tem oni wyżej się podnosili moralnie; im silniej ich ciągniono w stronę ich sercu nieodpowiednią, tem uporczywiej się rwali za pociągami swojego serca. Toż chociaż tam po gospodach i po ulicach burmistrzowały żywioły niemieckie, zato tylko tem żwawiej krzewił się żywioł rodzimy po chatach, a gospod i ulic było wszystkiego kilka — a chat były całe seciny... Gdzie gromadzie nie brak dobrego ducha, a jeszcze do tego jest pewną swojej wyższości liczebnej, tam ani o dzielność, ani też o wytrwałość nie trudno. Grodowiszczanie przedewszystkiem innem trzymali się dzielnie. Już od samego początku robili tylko to, co musieli, a prócz tego ani półdzionka. Wszakżeż powiedzieli sobie z góry: „Nie będziemy im robić nic; niechaj tak skapią jak lód, kiego go wrzucą do pieca.“ Tej zasady się wiernie trzymali. Toż w skutek niej blichowało się siano Prusakom na polu, i zboże spadało im z kłosa, i Prusacy kapali. Dławili ich ci nowi panowie szarwarkami i wyderkafami, to oni szli z nimi do prawa; nie pomagało prawo, to szli na naradę do księży. Proboszcz ich, a przytem kanonik, był podobno dawniej trochę Galicyaninem; ale pod takim srogim uciskiem prędko się opamiętał i trzymał wiernie z gromadą. A stary

wikary trzymał z nią wiernie przez całe życie. Więc tedy na radzie mówił im zwykle kanonik:

— Moje dzieci! praw słuchać trzeba, bo nie wyżyć ludziom bez prawa. Ale trzeba wam wiedzieć, że i na prawo jest prawo, a to się zwie apellacją. A kiedy się coś zacznie, to też trzeba dokończyć, jak mężom statecznym przystało. —

Zaś odważniejszy wikary, bo był niezawisłym od dworu, żyjąc z pracy swej własnej, dodawał zwykle do tego:

— A nim apellacja wyda wyrok, to sprawa jeszcze nie rozstrzygnięta; natenczas ma każdy człowiek swój los w własnym ręku, — a głupi jest ten, który się nie ratuje. —

Tak więc szukali prawa na prawo; a tymczasem się ratowali — oporem. I wtedy do ich dzielności przyłączyła się jeszcze wytrwałość, która ich opór zrobiła dziwnie żyłastym. Odebrali im szkołkę Prusacy, to oni zrzucili od siebie po groszu, jeśli się razem do pracy i wystawili szkołkę na własnych gruntach. Odebrali im zakład dla dziewcząt, to przystawili jeszcze drugi budynek do szkoły. Chcieli im kościół rozbierać, to go wykupili; zapłacili za niego sowito, ale go rozebrać nie dali. Tak się trzymali we wszystkim nawet w czasach tych, kiedy Prusacy mieli jeszcze cokolwiek fantazyi; toż kiedy wzięwszy

dosadne ciągi na browarze, gorzelni i lesie, zaczęli coraz bardziej na kieszeni szwankować, a za kieszenią i na fantazyi: nuż wtedy po nich co siły! Tak im doradził wikary. Więc przedewszystkiem nie robili im nic, choć zgiń. Przymuszani, exekwowani, grabieni, przynosili im ich kwitki, mówiąc: — Niechaj wam robią te kwitki, któreście nam wydali, a nie wypłacili. Wymagali od nich wiele Prusacy za opał, to nie brali z ich lasu ani trzaseczki, a kupowali sobie paliwo na stronie. Chcieli ich drzeć za pastwiska, to wyprzedali na lato część swoich bydeł, a dla reszty wyznaczili tłokę na własnych gruntach. Kazali sobie dużo płacić za chrust do grodzienia, to nie brali od nich ani jednego pręta; w czasach tak ciężkich można się obyć bez płotów. Żądano od nich wiele za zbieranie grzybów i jagód, to ich nie zbierali; w czasach tak ciężkich można się obyć bez grzybów a tem bardziej bez jagód. A kiedy już raz wpadli na taką drogę skuteczną, to poszli i dalej. Pędzili Prusacy gorzałkę i sprzedawali ją po swych karczmach, z czego wielkie ciągnęli zyski; a oni sobie powiedzeli: — Nie damy im z siebie zyskiwać. I odtąd nikt nie wypił w ich karczmach ani jednego kieliszka gorzałki. Warzyli Prusacy zawsze jedną część piwa na wyszynk miejscowy, a z nich żaden nie wypił odtąd ani

jednej szklenicy piwa. Powiedzieli sobie nareszcie: „Ażeby pokusy nie było, nie chodźmy już chyba do karczem.“ I odtąd ani noga żadnego z nich nie powstała w karczmie....

Smutno im było, bo nic nie zarobić, nie posilić się trunkiem i ani potańcować, ani nawet pogawędzić ze sobą w gospodzie, to dla wieśniaka bardzo smutne jest życie; ale kiedy im z tego względu było smutno, to zato sto razy weselej zkądinnąd. Oto widzieli oni własnymi oczyma, jak ich zachowanie się coraz widoczniejsze pociągało za sobą skutki. Pod naciskiem Prusaków oni wprawdzie biednieli, potracili pastwiska, lasy, sposobność do zarobku, a nareszcie stracili wszelką dawną swobodę, ale zato pod ich oporem brali Prusaków diabli w ich oczach i kapali jak lód, kiedy go wrzucają do pieca. Im więcej było biedy w pałacu, im więcej nieszczęść i kłótni i sporów, tem im pocieszniej, ba i weselej. Przyszło nareszcie do tego, iż się na nich poznali, a widząc, jak wiele ich niepowodzeń ma swoje źródło w ich przyrodzonej, chociaż może uczonej głupocie, zaczęli ich sobie mieć za nic, i drwić z nich głośno i śmiać się im w oczy. Kiedy im wiatr zabrał liście z dziedzińca, Maciej Pięta, najśmielszy we wsi parobek, a przytem wesół jak Pan

Bóg przykazał, stanął przed *Düsseldorferem* i rzekł mu:

— Panie Prusak! wiatr ci zabrał liście, a ty teraz siedzisz jak głupi. A trzeba ci tego było? Nie byłeś ci się nas spytać, jak my robimy z liściem? Anoż był-byś się wtedy dowiedział, że my każdy liść przywieziony przybijamy goździkiem do ziemi. —

Tak drwił sobie z nich ten niecnota, kiedy im woda pozabierała komposty, kiedy im siana mokły na deszczach, a zboże spadało z kłosa. Toż kiedy Prusakom zaczęło się tak źle powodzić, że już wcale przytomność tracili, parobcy gromadzczy byli niewyczerpani w robieniu im psot najrozmaitszych. Wpadali im nocą na łąki i wypasali je do czysta; zatamowali wodę w potoku pod wieczór i przez noc zalali i zamulili im rzepak; podpalali im nawet półkopki w polu, tak sobie, dla fajerwerku. Szli potem w tych psotach dalej. Kiedy się *Düsseldorfer* pokazał we wsi, gromada chłopców puszczała się za nim, świszcząc i krzycząc i hukając na niego jakby na wilka. Czasem kilkunastu parobków wpadało w niedzielę wieczór do karczmy, i kiedy Prusacy przy dźwiękach swojej muzyki tańcowali sobie pomaleńku i jak najspokojniej, oni puszczaali się w taniec za nimi, a w tańcu pozzrucali im kapelusze, wyszturkali

im boki, aż w końcu wszczęli spór z nimi i wyrzucali ich wszystkich za okna. Czasem nie potrzeba było do tego ani karczmy, ani wieczora, ani niedzieli; bo i w dzień powszedni, do słońca jasnego, jak tylko się jaki Prusak pomiędzy chaty zabłąkał, nuż po nim! i przetrzepano go między płotami jak kota w worze. Toż wtedy i całkiem inna fantazya ożyła we wsi. Nie schodzono się po gospodach, ale zbierano się po chatach bogatych, i bawiono się wcale wesoło; nie trudno było usłyszeć swobodną piosnkę na polu, a nawet skąd'ś zaczęły się brać piosneczki zupełnie nowe, a śpiewające o rychłym końcu tej nieznośnej niewoli. Kto miał przyjść na miejsce Prusaków, i jakim sposobem ta gromada miała przyjść do innego pana, nikt na pewno nie wiedział; ale już coś takiego było wtedy w powietrzu, taki był duch, taka wiara ogólna, że ktoś przybędzie, może z sąsiedztwa, może z za morza, a choćby nawet z nieba, a przybędzie koniecznie i biednych tych niewolników z pod jarzma wybije albo też wykupi....

* * *

Taki był w Grodowiskach stan rzeczy, kiedy dnia jednego na czas przed słońca zachodem — a działo się około ś. Jana roku 1855 — dała się

słyszeć trąbka pocztowa we wsi, a niebawem jakiś powóz ogromny, srodze wypakowany, zjechał przed ganek pałacu. Z tego powozu wyskoczył pan jakiś, który na pierwszy rzut oka całkiem na Francuza wyglądał. Był jeszcze młody, miał lat trzydzieści najwięcej, twarz rumianą i świeżą, oczy duże, otwarte, wesołe, uśmiech na ustach i filuternie zakręcone wąsiki, jakie zazwyczaj nosi dzisiejsza młodzież francuzka. Miał przytem na sobie cały ubiór podróżny, zrobiony z welnianej materji w delikatne krateczki, na tem paletto letnie z brązowego sukienka z jedwabną podszewką i różyczką w guziku, na glansowanych trzewikach zgrabne kamasze, kapeluszyk okrągły podróżny, lornetkę na szyi i cieniutką laseczkę w ręku. Tak wyskoczył z powozu, rzucił uśmiechnionemi oczyma we drzwi pałacu, i zdawało się, jakby zawołał: *Me voilà!*

Nie był to wszakże Francuz, ani cudzoziemiec, tylko Polak najrodowitszy a przytem najprawowitszy dziedzic Grodowisk. Był to Dobiesław. Po długich latach doczekał amnestyi i przyjechał nareszcie!

Jego postać zewnętrzna sprawiała bardzo przyjemne wrażenie. Jego młodość rumiana i krzepka pociągała ku sobie; wyraz jego twarzy otwartej, wesołej i rozgarnionej, chwytął za serce;

jego zręczność, układność i grzeczność, której nawet pocztylionowi nie skąpił, obudzały żywą ku niemu sympatyą; ach! ale czemuż to wszystko takie francuzkie! — Ha! to smutno! Jeden pojechał na naukę do Niemiec, i wrócił w hołemicy niemieckiej; drugi do Francyi, i wrócił w kamaszach francuzkich....

Jednakże o Dobiesławie nie godzi się jeszcze tracić nadziei. Przedewszystkiem bowiem trzeba uważać, iż od czasów Bolesława Chrobrego aż po dnie naszych ojców zawsze tak samo robili Polacy. Zawsze kto tylko mógł wyjeżdżał na naukę do Włoch i do Niemiec, do Francyi a nawet i do Hiszpanii, i nic im to nie szkodziło. Osobliwie z tych, którzy pobierali nauki we Włoszech i Francyi, miewała ojczyzna nasza zazwyczaj wielką pociechę, a czasem i wielkich ludzi. Takimi byli Zamojscy, Kochanowscy, Tarnowscy, Sobiescy i innych moc niezliczona. Tylko ci, którzy się uczyli w Ingolsztadzie i Lipsku, przywozili głowy przewrotne do kraju, a nawet ci, którzy swą młodość trawili na służbach rycerskich u rzymskich niegdyś cesarzów, tylko wichrzyli ojczyznę zamiast jej służyć, jakich całe setki wylicza historia protestantyzmu w Polsce na polu religijnem, z dodatkiem Diabła-Stadnickiego, Zborowskich, Radziejowskich, Dzierzanowskich i wie-

lu innych na polu spraw polityczno-rycerskich. Wychowanie i służby francuzkie, aż do drugiej połowy XVIII wieku, nigdy nie szkodziły Polakom, a nawet i potem jeszcze blizkie stosunki z Francją częściej nam wychodziły na korzyść, niżeli na szkodę. Bo już to tak jest, iż duch francuzki ani nas całkiem wynaradawia, ani nam psuje naszej fantazyi rodzimej i narodowych tradycyi; kiedy natomiast duch inny działa na nas jako trucizna, niszcząc i psując to wszystko, co nasze. Już ta sama uwaga bardzo za Dobiesławem przemawia, — jeszcze daleko więcej ta, iż do tak długiego pobytu we Francyi był po prostu zmuszony, — a najwięcej ta, iż nie trawił tam czasu daremnie. Idąc za popędem swojej epoki, jak tylko przybył do Paryża w roku czterdziestym szóstym, zaczął słuchać kursów politechnicznych. Studya te przerwał mu rok czterdziesty i ósmy i kampania węgierska; lecz powróciwszy potem znów do Paryża, powrócił zarazem do swoich nauk, tak jak gdyby się był tylko oddalił na ferye. Trzy lata jeszcze, z taką pilnością i pracą, jak to umieją tylko Francuzi, oddawał się obranym przez siebie naukom; aż z końcem roku 1852 stanął z patentem na inżyniera na własnych nogach. Pięknemi zaoopatrzony świadectwy mógł z największą łatwością wejść w służbę rządową albo przynajmniej publi-

czną; ale mając to ciągle na myśli, że kiedyś wróci do swojej rolniczej ojczyzny, której chciałby być służyć z całego serca i z jak największym dla niej pożytkiem, jak przez cały czas nauk starał się zawsze o nabycie gruntownych wiadomości agronomicznych, tak zaraz po tychże nauk skończeniu wstąpił w zawód rolniczy. I częścią jego zdolności, a częścią przyjaźń i szacunek, które pozyskał u ludzi, tak dobrze mu posłużyły, iż zaraz na samym wstępie uzyskał piękną posadę w administracji dóbr wielkich, położonych w północnej Francyi, a należących do Lorda L*, które ten pan od swoich krewnych wykupił, w stanie najgorszym odebrał i właśnie na stopę odpowiednią dzisiejszej nauce i doświadczeniu urządzić zamierzył. Bardzo więc zajmującą i ze wszechmiar korzystną posadę otrzymał Dobiesław; pracując bowiem w spółce z znakomitymi w tym zawodzie mężami, niezmiernie wiele korzystał; osuszając moczary, karczując bezpożyteczne lasy, łamiąc przedpotopowe nowiny, a użyźniając powysysane role, uczył się rozwiązywać w praktyce najtrudniejsze agronomiczne zadania; będąc zmuszonym dla zasięgania pomocniczych środków udawać się często na drugą stronę Kanału, miał sposobność przypatrzeć się gospodarstwom angielskim i szkockim; a mając posadę pracowitą i

roztargnioną, miał zarazem najlepszą porę, tak do odznaczenia się zasługami i zdobycia sobie pewnego imienia, jak również i do zrobienia czegoś dla siebie. Jakoż istotnie, po upływie półtrzecia roku, już był uzyskał zupełne zaufanie u swego pryncypała, już miał pewne widoki znakomitego przed sobą zawodu, już nawet przez francuzką i emigrancką oszczędność uzbierał sobie kilkanaście tysięcy franków: kiedy w tem przyszło mu pozwolenie powrócenia do kraju.

Położenie jego natenczas zdawało mu się niezmiernie trudnem. Zastanowić się nad tem poważnie, czy ma wrócić, czy zostać? było jego obowiązkiem. Tak mu nakazywał jego *realizm*. Jakoż istotnie za pozostaniem przemawiały ważne przyczyny. Prócz tego bowiem, że bawienie pewnej ilości Polaków we Francyi ma swoje nieidealne ale bardzo realne powody, pocóż ma dzisiaj wracać do kraju ktoś taki, który nie ma powracać do czego — a tam ma zawód, który go żywi, i zawód taki, któremu w kraju się poświęcić nie może, bo albo go tu nie masz zupełnie, albo nie przyjmują do niego Polaków? Kto tedy ma we Francyi zacy kawałek chleba, służy pocziwie ogółowi ludzkości i przytem się jeszcze sposobi, ażeby w danym razie mógł tak samo służyć swojej ojczyźnie — a mimo to wraca, aby tu trawił

swe życie albo bezczynnie i nudnie, albo całkiem nieodpowiednio swoim zdolnościom: ten postępuje sobie nieroztropnie, bo czyni ze siebie ofiarę bez najmniejszej dla kogokolwiek korzyści. Ale Dobiesław nie był w tem położeniu. Bo najpierwej jego zawód był tego rodzaju, iż miał najpiękniejsze pole dla siebie w ojczyźnie; a oprócz tego był przekonany, iż ma do czego powrócić. Nie wiedział on bowiem nic do tej chwili, co się stało z Grodowiskami. Krzesław mu o tem nie doniósł. Natomiast zaś pisywał mu tylko listy, z początku z Grodowisk a potem bez daty, listy uskarżające się łzami krwawemi na niedolę, na biedę, na nędzę, w jaką obadwa popadli. Opisując mu swoje trudy, któremi usiłuje majątek rodzinny ratować, ofiarował się zarazem posyłać mu coś na utrzymanie. Ale Dobiesław, który jeszcze w szkołach przywykł na chleb zarabiać, nawet w czasach dla siebie najgorszych ani grosza nie przyjął, a kiedy otrzymał posadę, napisał mu list najserdeczniejszy i najweselszy, że już niczego nie potrzebuje od niego, że gotów się zrzec nawet swej części, byle tylko majątek został uratowany i został nadal w ich imieniu. Od tego czasu Krzesław coraz rzadziej pisywał, coraz niewyraźniej i mgliściej; zawsze mu się skarżył na niedostatek i biedę, ale zawsze tylko o tyle, ażeby ani jego zbyt

wielka bieda nie przywołała Dobiesława do kraju, ani ażeby jego możność nie ośmieliła go do zażądania przypadającej na niego połowy. Dobiesław tedy był przekonany, nie tylko że ma powracać do czego, ale nawet że jego zdolności znajdą tu najpiękniejsze pole do popisu dla siebie, bo do wydobycia z upadku rodzinnego majątku. Wprawdzie ani jego gospodarcze, ani też majątkowe widoki, nie mogły jeszcze ani w połowie wyróżnić tym widokom, jakie już wtedy miał we Francji; ale kto w takim znajduje się położeniu, temu tylko *materializm* każe pozostać, a trzeźwy i rostopny *realizm* każe powracać. Dobiesław nie był materyalistą; więc wrócił.

Ach! i jakże powracał szczęśliwym! Będzie znów widział ojczyznę, będzie widział tę ziemię kochaną i piękną, na której powstała jego rodzina, za którą tylu jego przodków położyło swe życie, za którą on sam nacierpiał się tyle! Wróci na swą ojcowiznę, będzie oglądał ulubiony przez siebie pokój swej matki, i pałac ten stary, w którym tak krwawe walki z tem życiem staczali jego ojcowie, i kościół ten, w którym na wieczny spoczynek w cierniowych się kładli koronach. I będzie się witał z tym ludem serdecznym, który go niegdyś tak kochał, — i znów będzie zasiadał pod kolumnami pałacu, w obec wspaniałych po-

sągów Kościuszki i Xięcia Józefa, i będzie się napawał widokiem tego pięknego kraju, którego dalekie krańce nikną gdzieś w mgłach nieprzejrzanym, tak jak dzieje jego wiekowej niedoli nikną już dziś w niepamięci....

Takiemi przepełniony uczuciami, które jego młodzieńczą duszę świętem porywały natchnieniem, i wznosiły ją jakby do jakiejś pieśni harmonijnej i dźwięcznej, jakby do jakiegoś wyniosłego chóru, wyskoczył z powozu i stanął przed gankiem.

Ale tymczasem w tę duszę tak nastrojoną uderzyły wrzaski najokropniejszego rozstroju.

Było coś piekielnego w tem wszystkim; zaledwie to podobna opisać....

Albowiem zaledwie spojrzał do sieni, ażeby miłościwemi oczyma objąć ten widok uroczy, który wymarzył w swej duszy, kiedy usłyszał jakiś harmkot okropny, jakiś wrzask głosów wcale niezrozumiałych dla siebie, a przytem brzęczenie szyb, i rynki i rądle uderzające o ściany. W tem okamgnieniu wyleciał do sieni wystraszony jak zwierz i srodze zjajany *Herr Düsseldorf*, a tuż jechał na nim *Herr von der Ecke*, kując go pięścią w kark bez litości, pieniać się z gniewu i wołając głosem zaciekłym: — *Du Hund verfluchter! du Dieb! nur hundert Gulden hast du für's Holz genommen; Ich werde dir lehren! Du musst ins*

Zuchthaus! du musst mir hinein! Ich werde dir leihren! — A w też pędy wyleciała za nimi cała garść kobiet i dzieci, wołając wtórem: — *Der Dieb! der Halunke! er hat uns immer bestohlen! Düsseldorfer* się kręcił jak szatan kropiony wodą święconą, i wił się, i chciał się wydrzeć z rąk swemu koledze. I wydarł się rzeczywiście, wołając: — *Een Jast! een Jast! lassen sie mir, Herr Ecke! es ist een Käufer auf Grodowiska!*

A wtedy w okamgnieniu zmieniała się scena. Obadwa dziedzice Grodowisk zaczęli się kłaniać Dobiesławowi, i uśmiechać zapienionemi ustami, i szwargotać coś z niemiecka. Ale Dobiesław był jakby pół martwy, bo się wszystkiego domyślił. Więc tylko załamał ręce i patrzył przed siebie niewidomemi oczyma, rzuciwszy w nieprzytomności jakichś słów kilka francuskich. A wtedy *Herr von der Ecke* domyślając się w nim Francuza a razem kupca, zaczął mu się kłaniać nanowo i mówić do niego: — *Ah! c est fous, Monsieur! fous afez lu notre anonce tans les chournaux! fous foulez acheter ces derres! c est pien! c est drès pien, Monsieur! che fous brie....* Te jakieś głosy skrzeczące, poprzekręcane, niezrozumiałe, rozdarły tak Dobiesława, że aż mu się twarz wykrzywiła...

Ale tymczasem *Herr von der Ecke* wziął go pod ramię i zaprowadził do wnętrza pałacu. Do-

biesław, pod tłumiacem brzemieniem tego tak dziwnie rozstrojonego obrazu całkiem nieprzytomny, dał mu się wziąć i prowadzić; i wszedł w kapeluszu do pałacu, jak do obory. Tam cokolwiek otrzeźwiał, ale tylko o tyle, ażeby tem jaśniej obaczyć dalsze obrazy tej panoramy. Z tych wspaniałych sal i pokoi, w których żyli jego ojcowie, gdzie jego matka swe świętobliwe odbyła męczeństwo, gdzie on sam przeżył swe lata dziecięce, cóż się to dziś nie zrobiło! Straszliwie wyglądało teraz to wszystko! Ściany puste i podrapane, porozwalane kolumny, powybryzgiwane posadzki, drzwi potrzaskane w kawałki! Z jego rodzinnych portretów, z owych pięknych posążków, które stały po kątach, z obrazu Matki Boskiej wmurowanego w ścianę, przed którym lampka płonęła co piątek, już ani śladu! W jadalnej sali, gdzie do biesiad poważnych zasiadali jego dziadowie, gdzie w obec Chrystusa Pana na krzyżu odprawiały się sessye konfederackie, gdzie jego pradziad, szlachetnym uniesiony sromem, śmiercią ratował czystość swojego imienia, leżały dziś kupy ziemniaków i brukwie! W gabinecie jego matki, gdzie tyle łez, cierpień i bólów przyszło do tych ścian zielonych, że mu to miejsce nigdy się inaczej nie przedstawiało w pamięci, tylko w postaci cudownej kaplicy, do której-by pielgrzy-

mował na klęczkach, stały dziś beczki z kapustą i donice z serwatką! Pomiędzy nie szczury biegły dokoła, a brzydka ropucha wyszczerzała pysk jadowity z pod deski.... Dobiesław przeszedł te wszystkie pokoje z załamanymi rękami, z zakamieniałą łżą w oku, z oddechem zapartym w piersi — a za nim postępowały w milczeniu wynędzniałe postacie chudych przybyszów, wlokąc za sobą ogłupiałą z podziwu czeredę obdartych niewiast i dzieci....

Ścisnęła mu się pierś wreszcie i nie mógł już dłużej patrzeć na tę okropną ruinę swej ojcowizny, w której tak brzydkie się legło robactwo, i wyszedł pod kolumnadę pałacu, wiodącą w ogród. Tu chciał odetchnąć przynajmniej tem świeżem powietrzem, którego żaden gad zatruć nie zdoła. Ale tu jeszcze więcej przerażający przedstawił mu się widok. Z tych wszystkich krzewów kwiecistych i kwiatów, którego jego ojciec zasadził, a matka nawet w czasach ubóstwa tak utrzymywała starannie, nie pozostało dziś ani jednego listeczka. Na ich miejscu plugawe rozsrożyły się chwasty, jak w przedsieni do piekła. Poniatowski, tak pięknie z białego wyrzeźbiony kamienia, padł twarzą na ziemię, głowa mu pękła i odskoczyła od ramion, a po jego barkach szerokich ślizgał się gad jadowity.... Kościuszko stał jeszcze, ale mu

oreź z rąk wytracono, a całą jego postać wysokie okrażały pokrzywy, z pomiędzy których podnosząc oczy ku niebu, nie przysięgał już, że zwycięży lub zginie, lecz zdawał się raczej błagać o miłosierdzie u Boga....

Dobiesław stał tak przez chwilę, w ciężkiej pograżony boleści; lecz zerwał się nagle i pobiegł w ogród — a odwracając oczy od lip stuletnich, porzniętych na deski, i topol pościnanych na szufle, i klonów pokłótych na jakieś narzędzia, i świń ryjących po najpiękniejszych gazonach, — biegł tak gdzieś bez pamięci. I biegł co miał siły, ażeby przebiec czempredziej to piekło, i uciec ztąd, i rzucić się na kolana przed Bogiem u drzwi swego rodzinnego kościółka. Na szczęście, zastał go jeszcze! Co zaprzedał brat oświecony, to utrzymał lud ciemny. Dobiegłszy wreszcie do tej świątyni, ale nie mając już sił, aby mógł się utrzymać na klęczkach, rzucił się na ławę kamienną pod jego murem stojącą, i porozrywał suknie na sobie, bo mu duszno było, jak w ogniu, — i opuszczył głowę na piersi, bo mu smutno było jak w grobie....

Bóg wie, jak długo tak siedział, najsprzeczniejszymi targany myślami. Dziwnie też wtedy wyglądał. Twarz mu ~~z~~gorzała płomieniem, czoło go piekło jak żarem, oczy biegały na wszystkie

strony, a nigdzie nie mogły znaleźć dla siebie spoczynku. Wszystko tu dla nich już było obce, nic swego! — Uspokoił się wreszcie na chwilę, — łązy mu się rzuciły do oczu, — a wtedy pomimo woli nasunęły mu się na myśl jak gdyby w jego własnem sercu zrodzone uczucia poety:

Niedawno odwiedziłem dom nieboszczki matki:
 Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
 Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie!
 Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
 Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła....

— A gad plugawy dokoła! A gad plugawy dokoła! — zawołał głośno Dobiesław, i wzburzony nanowo, zerwał się z miejsca — i uciekł — i zniknął.

Dokąd go jego boleść szlachetna poniosła, nie było widać; bo słońce już wtedy było zapadło, zmrok ciemny się rozścielił po ziemi; czerwona pręga jeszcze gorzała na niebie zachodniem, ale już pierwsze gwiazdy błyszczały jasno na wschodzie.

OD ROKU 1855...

W godzinę potem jakieś wcale niespodziewane wesele napełniło szczupłe komnatki grodowiskiej plebanii. Od lat niepamiętnych nie było tu takiej jasności! W bawialnej komnacie płonąła na stole wielka lampa oliwna, a oprócz niej jeszcze dwa kandelabry z jarzącymi świecami. Organista, ubrany na dzisiaj w liberyjną kapotę ze świecącymi guzikami, dmuchał jak miechem kowalskim w samowar — a kantor, z dopiero co natarganą przez klucznicę czupryną, ale także ubrany służbisto, zastawiał ciasta i wędliny na stole. Albowiem właśnie się tak wydarzyło, iż było to w kilka dni po grodowskim odpuszcie; zaczęły w szpiżarni proboszcza chować się jeszcze znaczne pozostałości odpustowych przysmaków. Były więc szynki i skrzydliki ozorów, lukrowany marcypan i pełny półmisek małdrzyków. Wszystko to ustawiono

umiejętnie, ze względem na podniebienie i oko, a nawet sam kanonik, mąż wyniosły i bardzo poważny, co chwila się przybliżał do stołu, poprawiając własnoręcznie talerze i szklanki.

Pomimo to jednak, prócz gospodarza, nie było tylko jeszcze dwie osób w komnacie. A temi osobami byli: miejscowy wikary, białowłosy już i zgarbiony, lecz jeszcze bardzo ruchliwy staruszek, — i niedawno-co z dziewięcio-letniego tułactwa przybyły Dobiesław. Obadwa siedzieli na małej kanapce w kącie, i już od godziny dość zwawą prowadzili rozmowę. Skończyli ją wreszcie — i Dobiesław został jak najdokładniej zawiadomiony o wszystkim. Zaczem pomyśliwszy przez dłuższą chwilę nad temi wiadomościami, obrócił się do wikarego i rzekł:

— Tak, tak, mój xieże Grzegorzu! Żadna potęga nie potrafiła-by nas pokonać, bo nigdy z cudzej ręki nie giną narody. Duch w wiekach zrodzony i wiekami zmężniały, do końca świata nie zginie. Ale my zginiem, bośmy sami przyłożyli ręki do siebie, i czego żaden wróg nie dokażał, tego nasza własna wola dokaże....

— Przebóg! — zawołał na to składając ręce wikary, — jakież-to Asindzi powiedziałaś bluznierstwo! My zginiem? my, którzy cały wiek żyjemy w grobie i którzyśmy w grobie tak potężnie

urośli? Popatrz w historią, ażaliż jest tam wiek jaki, w którym-byśmy byli tak liczni, tak oświeceni i tak kochający, jak dzisiaj? Przecież, jak sądzę, nie patrzysz w dzieje okiem historyków-archeologów, którym kilkunastu scholastyków wystarcza na to, ażeby ten lub ów wiek nazwać słońcem oświaty, u których Herbut był wielkim prawnikiem, Rej wielkim poetą, a Bielski wielkim dziejopisarzem. Ażaliż dziś akademik nie umie więcej, niżeli ci wszyscy trzej razem? i ażaliż dziś nie masz u nas dwa razy tyle uczonych, niżeli ich we wszystkich dziewięciu wiekach nazbierasz? Pomyśl nad tem, a tak nie gadaj, bo tylko rozpacz tak gada.

— Oh! ja archeologiem nie jestem! — mówił Dobiesław, — ja nawet nie jestem poetą, i mierzę historią łokciem dzisiejszym. Co mi ze scholastycznej mądrości, kiedy przy takiej taktyce wybito-by nas dzisiaj do nogi? Ale tam w dziejach jest co innego, co je czyni istotnie wielkimi. Tam jest duch, który był wielkim. Nie wielu ich było, tych, którzy dźwigali na sobie nazwę Rzeczypospolitej; ale ci nie wielu mieli w sobie ducha, mieli zapał i rozum i wolę, za wszystkich. Dziś oświeconych jest wielu; ale z tych wielu, jedna połowa jak widzę całkiem próżną jest ducha, a druga jest wiotka i słaba i próżna.

wszelkiego zapału. I z tej drugiej połowy jeszcze ledwie nie codziennie jakaś dusza od nas odchodzi....

— Ale gdzie tam! — zawołał wikary, — dawno tutaj nie byłeś, nie znasz kraju, nic nie wiesz. Dziś od nas już nikt nie odchodzi, ale owszem codziennie ktoś przybywa. Bo to tak musi być; nie stoim przecie na miejscu, ale postępujemy wciąż naprzód, kształcimy nasze serca i oświecamy nasze rozумы. Toż dzisiaj każdy, opatrzywszy się, z kąd wyszedł i dokąd zmierza, idzie tam, gdzie go woła sumienie. Kiedy czas dłuższy zabawisz w kraju, to się zadziwisz, jak się tu wszystko zmieniło; jakich dziś będziesz spotykał ludzi i w jakich sferach! Wszyscy już dzisiaj wracają.... Ot, patrz! — tu się nachylił ku niemu i mówił ciszej, — patrz na naszego proboszcza. Nie pamiętasz-że, jaki to był człowiek dawnymi czasy? Twoja nieboszczka matka go nie potrafiła nawrócić; to dosyć. A teraz, czy nie słyszałeś, jak mówi? Otóż jak mówi, takim też i jest, i daj nam Boże! żeby tylko takimi byli wszyscy.

— To prawda, — mówił Dobiesław — kanonik mnie niezmiernie zadziwił, a zarazem serdecznie ucieszył. Ale czy wielu jest takich, jak on?

— Czy wielu? nie wielu, lecz wszyscy. Jak ciebie kocham, tak wszyscy. Bo to czas dziwnie skutecznie działa na ludzi, jeszcze dziwniej wy-

padki, a najskuteczniej bieda. Ej! bieda, bieda! to-to nauczyciel, to mistrz! Całować te ręce, które nam go sprowadzają. A dziś bieda się wszystkim dała we znaki; to też dziś, jak ten kraj wielki, ja nie znam ani jednego człowieka, który-by nie miał takiego samego sumienia, jak ja i ty, i wszyscy twoi ojcowie.

— Ani jednego? a Krzesław?...

— Krzesław? — powtórzył wikary, — no, to prawda, że Krzesław się trochę obłąkał. Zasmakowało mu złotko, zakochał się do zbytku w mamonie, spaskudził się trochę.... Ale wiesz co! I Krzesław nie jest w gruncie swojego serca takim, jak o nim świadczą jego uczynki. Jest tam jeszcze niejedna pocziwa iskierka, tylko-by ją trzeba rozdmuchać. I obaczysz, że ją coś kiedy rozdmucha — a swego czasu nie będzie on gorszym od innych, za to ci ręczę.

Takim był wikary. Bo i dziś jeszcze są ludzie, którym Bóg dał serce, a nie dał oka. Są to najszcześliwsi ludzie ze wszystkich. Na wszystko patrzą tylko sercem i wszystko w różowych widzą kolorach; wierzą w ziszczenie tego wszystkiego, czego pragną, i nigdy nie tracą nadziei. Świat dzisiejszy, biorąc wszystko na szalę rozumu, zwykle ich lekceważącym a często nawet i pogardliwym obdarza spojrzeniem. Ale czyni to najnie-

sprawiedliwiej. Ludzie ci bowiem są to jedyne jeszcze wiecznie kwitnące kwiaty na ziemi, — słowa ich, to woń wiosenna wśród zimy, — życie ich, to krew młodzieńcza obiegająca w drewnianem ciele dzisiejszych pokoleń. Każde zetknięcie się z nimi pozostawia po sobie najprzyjemniejsze wrażenie. Wspomnienia z własnych lat młodzieńczych, — widok odradzającej się ziemi o wiosnie, — spełniony w naszych oczach czyn zacny — a rozmowa z takim wikarym, to jedno. Wszystko to nas orzeźwia, uspakaja i rozwesela. Toż i Dobiesław rozweselił się po tej rozmowie, wstał i zaczął się żywszemi krokami przechadzać po niewielkiej komnatce.

Po chwili stanął, a spojrzawszy na stół tak suto nakryty, rzekł do proboszcza:

— I wy mówicie, że was bieda przygniata? Ja jej wcale nie widzę.

A kanonik się na to uśmiechnął i tak odpowiedział:

— WPan Dobrodziej nas tak sądzisz, jak Niemcy. Kiedy obaczą półmisek mięsiwa i buteleczkę wina na stole, powiadają o nas: Ci ludzie hulają zapamiętale, żywią się mięsem i winem; jeszcze im bieda nie dokuczyła, można ich jeszcze cokolwiek pociągnąć. Ale zapominają w tych sądach, że u nas dawniej po kilkanaście butelek stawiano

na stole. A cóż WPan Dobrodziej powiesz na to; kiedy się dowiesz, że to co tu widzisz, są to pozostałości z przedwczorajszego odpustu? Gdybyś był w taką porę nie trafił, byli-byśmy cię przyjmowali chlebem rzanym i ścieranką na mleku. Bo tak zazwyczaj żyjemy. Ej! wielka u nas jest bieda, mój panie Dobiesławie! bieda, jakiej od niepamięci nie było, bieda rozścielająca się wszędzie, od chat do pałaców. Ale trzeba z nami pożyć przez jedną dobę i drugą, ażeby ją dobrze obaczyć. Obaczysz ją niebawem i zapomnisz się, jak się tu wszystko zmieniło! A wszakżeż znałeś nasz kraj niegdyś i wiesz, jak tu dawniej bywało. Pieniądzy było niewiele, i prawie wszystkie zbiegały się do rąk szlachty; ale było ich jeszcze zawsze dostatkiem, bo taniość była ogólna, a szlachta dawała chętnie ze siebie korzystać. A oprócz tego było dostatkiem tego wszystkiego, co potrzeba do życia: chleb, mięso, koń, wół i tak dalej, produkowany bez kosztu, był dla każdego dostępnym, i wszyscy mieli tego do zbytku. Toż wtedy dobrze działało się wszystkim. Chłop musiał wprawdzie robić pańszczyznę i był pod opieką; pańszczyzna była mu ciężką, a opieka czasem utłumiającą; ale też zato spichrz dworski był spichrzem jego, głodu on nie znał w czasach najcięższych i nie wiedział, co to być bez

dobytków, bo jak je stracił, to mu je dawano ze dworu. Prócz tego, musząc robić dla dworu i dla siebie, nawykał do pracy, i tak zazwyczaj pracował, iż dwór obrobił, siebie obrobił i jeszcze miał groszyk zapaśny w skrzyneczce. Toż po wszystkie czasy mojego życia, a sięgają one kilkoma laty jeszcze w wiek ośmnasty, ja nie pamiętam tu głodu; — dopiero w roku 1846 pierwszy głód się pojawił, i całe chmury żebractwa się rozwłóczyły po kraju.... Rzemieślnik na małym miasteczku stał sobie pod owe czasy wybornie, bo miał ustawiczny zarobek. Szlachta, mająca się dobrze, dawała mu ciągle robotę u siebie, płaciła za nią tanio, ale płaciła gęsto i rzetelnie; ztąd ci ludzie garnęli się chętnie do prowincjonalnych miasteczek, nabierali ochoty do pracy, wykształcali się w swoich rzemiosłach, ubiegali się między sobą o lepszą, i nie było to wtedy rzeczą rzadką w takim miasteczku, w którym zaledwie kilkadziesiąt się domków mieściło, znaleźć każdego rzemieślnika, jakiegoś tylko zapragnął. Rzemieślnicy po większych miastach, ochronieni od zagranicznej konkurencji brakiem żelaznej kolei, mieli się tak samo od szlachty zamożniejszej, a kupcy mieli święte życie natenczas. I była pomiędzy tymi ludźmi pracowitość, zapobiegliwość, rzetelność, bo każdy z nich miał

swoich panów, z którymi go starodawne łączyły związki, każdy był pewnym swego odbytu i każdy lękał się go utracić. O samej szlachcie zaledwie potrzeba wspominać. A przecież WPan Dobrodziej sam to pamiętasz, jakie-to dwory były i jakie w nich wszędzie dostatki. W każdym dworze ba-wił jakiś stryj, wuj i stryjenka, dziadek lub babka, jakaś sierotka jedna, druga i trzecia, a nie rzadko i gość cale obcy, ale miany za brata, bo potrze-bował pomocy. W każdym dworze natenczas jeść i pić było do syta, każdy człowiek miał, co mu się należało, i każdy czas miał, co mu się godzi. Święta były świętami, i obchodzono je po starym zwyczaju: w czas postu modlitwy i ryby, a w za-pust mięso, tańce i kuligi. A jaka-to wtedy by-wała na każdym dworze gościnność, i jaka powaga! Nie pomnę wtedy krótszej gościny, jak trzy dni; nie pomnę osiadłego szlachcica bez dzielnej czwórki, i nie pomnę go nawet siedzącego na bryczce lub wózku. — Dziś, popatrz-no panie! jak się tu wszystko zmieniło! W szlacheckich dworach dziś jakby w klasztorach. Pan i pani i dziątek kilkoro, otóż ich zwykła załoga. Nie oba-czysz tam żadnych krewnych siedzących w gości-nie, a o przyjaciołach ani wspominać. Do tego jeszcze pan kwaśny i pani kwaśna, a nawet ma-łoletnie chłopięta nie hałasują wesoło jak dawniej,

jeno chodzą zamyślane jak starcy. Przy całym domu zaledwie jeden służący, a i ten jeszcze nie zawsze gotów jest do usługi, bo prócz swej dawnej spełnia jeszcze funkcją karbownika albo szafarza. Gość w czasach dzisiejszych to *rara avis in gurgite vasto*, a jeżeli przyjedzie, to na godzinę, i wraca czemp prędzej do siebie, bo go tam czeka wypłata robotników i dyspozycja na jutro. Nadejdą święta, aliści ledwie znać, że to święta; o jednej szyneczce, o dwóch strucelkach, obchodzą się takie festy; a są już domy, które całkiem świąt nie obchodzą po starodawnym zwyczaju. Toć kiedy o rybach w post nikt już nie myśli, bo mięso tańsze niż ryby, a czasem nawet tańsze niż legumina; zato w zapusty nikt o zabawie nie myśli, i możesz dzisiaj w zapust przejechać całą naszą prowincją a nie usłyszysz i jednej skrzypicy. A nie serca nam braknie, mój panie, i ochota by się znalazła, ale środków nam brak, bo bieda wszędzie okrutna. Nie dziw też dzisiaj widzieć pana na kilku wioskach, chodzącego w grubym kubraku piechotą po polu, bo nie ma ani jednego wierzchowca w stajni; delikatniutka dama jeździ wyplatany wózcikiem w sąsiedztwo i do kościoła, a od lat prawie ośmiu nie pamiętam, ażeby gdzie widział choć jedną czwórkę pocziwą. Tak żyje szlachta ta, która dawniej otwarte

prowadziła dwory i nazywała się panami; a cóż dopiero powiedzieć o mniejszych! Przy ciężkiej pracy, przy wielkich trudach, przy bezustannych kłopotach, ledwie się chronią od głodu. Od szlachty szło dawniej wszystko i jeszcze dziś idzie w naszym narodzie. Toż kiedy ona tak zubożała i tak się we wszystkim ściągnęła, w przerażający sposób popodupadały nasze miasteczka. Tej nędzy, panie, która dziś po naszych miasteczkach grasuje, nikt nie uważa, bo na oko stoją w nich te same domy i niby ci sami kręcą się ludzie; ale spytaj-no się WPan Dobrodziej lekarza lub xiędza, którzy w te domy wchodzą i spowiadają tych ludzi, a dowiesz się rzeczy przerażających. O zamożnego mieszczanina na małym miasteczku dziś ani pytaj, bo gdzie dawniej była zamożność, dzisiaj jest niedostatek, a gdzie była mierność, tam łachmany i nędza. Toż nie masz dziś po tych miasteczkach nawet i rzemieślników; o owych złotnikach, płatnerzach, blacharzach i mosiężnikach, którzy dawniej tu siedząc, chadzali nieraz ze stołecznymi robotami w zawody, ani wspominać; ale dziś już tu ani krawca nie znajdziesz, który-by ci przenicował kapotę, ani szewca nawet nie znajdziesz, który-by ci bót uszył chędogi. A jeżeli wypadkiem go znajdziesz, to oddaj się Bogu! bo obedrze cię tak, jak i stołeczny mistrz nie

potrafi. A przecież Bogiem a prawdą jeszcze i tego nie można mu brać za złe; bo jakżeż nie ma drzeć, kiedy przez cały rok może tylko ty jeden wpadłeś mu w ręce? i jakżeż ma nie drzeć, kiedy jego nieboraka drą także ze skóry? — Tak samo i w miastach większych: rzemieślnicy podupadają, bo nie mają odbytu, i z tegoż samego powodu po kilkunastu kupców co roku popada w bankructwo. Gdybyż przynajmniej zato choć dobrze działało się chłopu! Ale gdzież-tam, mój panie! Powiadają mi, iż przez zniesienie poddaństwa poprawiła się jego dola moralna. Ja tego wcale nie widzę. Rzecz jest zawsze ta sama, tylko inną ma formę. Bo jeśli dawniej nasz chłop miał mandataryusza nad sobą, to ma dziś becyrki, z których jeszcze ta wielka wypływa dla niego strata, że kiedy mu dawniej każdą sprawę osądzono doraźnie i na miejscu, to dziś musi z nią chodzić o kilka mil i czasem czekać parę miesięcy. Dawniej robił pańszczyznę, dziś jej nie robi; ależ dziś płaci chłop takie podatki, że na nie musi pracować przynajmniej tyle, ile wynosiła połowa pańszczyzny; jeżeli jeszcze do tego doliczysz terazniejsze szarwarki, to się znajdzie i druga połowa. Gdzież więc jest jego korzyść? Robi on dzisiaj pańszczyznę i jest tak samo małoletnim, jak dawniej; a jego korzyść jest chyba

w tem, że dawniej za te ciężary miał zapomogę, a dziś jej nie ma i mieć nie może. Otóż i korzyści naszego ludu! I wierz mi to WPan Dobrodziej, o czem się zresztą i sam niebawem przekonasz, że je widać wszędzie naocznie. Jest wprawdzie dziś w każdej wiosce jeden gospodarz i drugi, który się po zniesieniu poddaństwa podniósł znacznie materyalnie, a nawet, przyznam to chętnie, podniósł się trochę moralnie; ależ to bardzo nieliczne wyjątki! A zato ogół wiejskiego ludu straszliwie podupadł, poubożało wielu, poopu-szczało grunty, a prawie wszyscy poleniwieli, a porozpijali się, a nawet znajdziesz już między nimi i grę, i oszustwa, i co za tem idzie. Nie przeczę temu, iż zniesienie poddaństwa jest rzeczą bardzo piękną w zasadzie; powiem nawet, iż trzeba już było przystąpić do tego koniecznie, ale wykonanie tego ważnego czynu należało urządzić inaczej. Podług mojego tedy widzenia rzeczy, nasze złe nie leży wcale w istocie tego czynu, tylko w jego formie, o czem zaledwie wiele trzeba-by mówić, aby powiedzieć wszystko. Powiem więc krótko, iż postawiono nagle naszą prowincyą na stopie zachodnio-europejskiego porządku rzeczy, a nietylko nie dano nam środków, abyśmy mogli temu porządkowi we wszystkim wyrównać, ale owszem przeciwnie.... reszty się WPan Dobrodziej

domyślisz. Ztąd nasza bieda, głód, nędza, ostateczny upadek szlachty, a za nią ostateczna ruina wszystkiego.

Tak mówił kanonik. Dobiesław go słuchał z uwagą, bo każda wiadomość o jego ojczyźnie była dla niego pełną niewymownego zajęcia. Ale ponieważ postawiony przez kanonika obraz był prawie wręcz temu przeciwny, co mu powiadał wikary, więc się obrócił do niego i zapytał z uśmiechem:

— A jegomość co na to?

Ale staruszek, który przechadzając się po komnacie powieści tej z wielką słuchał niechęcią, a nawet mruczał coś sobie pod nosem, mruknął także i teraz, i rzekł machnąwszy ręką:

— *Laudator temporis acti!*

Więcej już nic nie mówił. Natomiast zaś Dobiesław zabrał głos i przedstawił kanonikowi swe zdanie w ten sens:

— Pozwolisz mi pan, abym na to coś odpowiedział, a mam ważne rzeczy do powiedzenia; bo chociaż mnie od lat siedmiu w kraju nie było, zasięgałem jednak zawsze jak najskrzętniej wszelkich wiadomości o mojej ojczyźnie, myślałem nad jej losami mozolnie i rozmawiałem o niej z ludźmi, którzy swe życie poświęcili na to, ażeby tylko o niej rozmyślać. Więc tedy rzecz ta, jak

mi się zdaje, ma się następnie: Że dzisiaj bieda wielka jest w kraju, temu nie przeczę, bo sam ją już widzę; ale jak z jednej strony nie wypłynęła ona w całości z samego zniesienia poddaństwa, tylko wypłynęła i wciąż jeszcze wypływa po wielkiej części ztąd, iż to państwo, którego dziś częścią składową jesteśmy, równocześnie ze zniesieniem poddaństwa znalazło się w położeniu krytycznem, — tak znowu z drugiej strony, gdyby była nawet wypłynęła w całości ze zniesienia poddaństwa, nie godzi się na nią uskarżać. Albowiem najpierw, jak to panu zapewne z historyi wiadomo, taka bieda lub tej podobna bywa zazwyczaj nieodstępną towarzyszką każdej społecznej reformy. *On ne fait pas d'omelette sans œufs cassés*, jak powiadają Francuzi. Że tę reformę można było przeprowadzić inaczej, z większym względem na teraźniejszość i przyszłość najbliższą, że można było coś z dawnych instytucji jeszcze na czas jakiś zachować, jak np. dawne urządzenie gmin, a coś jeszcze więcej znieść jednocześnie, jak n. p. służebnictwa, to panu chętnie przyznaję; ale że to wszystko są tylko drobnostki wobec tej wielkiej korzyści, którąśmy uzyskali przez zniesienie poddaństwa, tego mi pan nie zaprzeczysz. Jestem bowiem pówtóre przekonany najmocniej, że jakkolwiek

się skutki tej reformy dziś przedstawiają, jest ona zawsze korzyścią wogóle wielką i niczem nieopłaconą za drogo. Wejdźmy w szczegóły. Pan mi powiadasz, że chłop nic nie zyskał, bo dziś tak samo odrabia pańszczyznę i jest tak samo pod opieką jak dawniej; to może prawda, ale żeby to była ta sama rzecz w innej formie, jakże to można powiedzieć? A przecież jest postawiona zasada zniesienia poddaństwa, i ta zasada weszła w życie jak najzupełniej. Podatki są podatkami a szarwark szarwarkiem; to oboje pociąga za sobą konieczność pracy, — ale żadne z nich nie jest pańszczyzną! Toż samo jest i z opieką becyrków. Chłop ulega becyrkom; ależ becyrk jest władzą, a nie jest człowiekiem. Ulega więc człowiek władzy, ale nie człowiekowi drugiemu, a to jest wielka różnica! W tej właśnie różnicy leży zniesienie poddaństwa. Że do dnia dzisiejszego z tej reformy jeszcze zamało błogich skutków wypłynęło dla chłopów, że nawet chwilowo stan ich się zmienił na gorsze, to może być; ale mnie to nic a nic nie frasuje. Panie drogi! a wszakżeż-to siedm lat dopiero, jak została zaprowadzoną ta wielka reforma. Ażaliż jest podobieństwo, ażeby w siedm lat społeczeństwo zbierało już dojrzałe z takiego posiewu owoce? To się nigdzie nie stało. A tymczasem u nas i to już dziać się zaczyna. Powiadasz mi

bowiem pan sam, który w dobre skutki tych reform nie wierzysz, że u nas już w każdej wiosce jest po kilku gospodarzy, którzy się znacznie podnieśli, i moralnie i materyalnie. A toż-to są cudy prawdziwe! Kędy-indziej dopiero pokolenie następne zaczynało z takiej reformy korzystać; a u nas już pokolenie pierwsze z niej korzysta i korzysta tak, że w każdej wsi jest takich wzorów po kilka. Kochany kanoniku! to jest tryumf ogromny, to dowód jawny, że nasz lud jest daleko lepszym, niżeli ludy całego świata. Jakoż najmniej się nie frasujmy o niego — i bądź mi Pan przekonany, że jeżeli tylko duchowieństwo nie będzie szczędzić swej pracy, a szlachta swojej pomocy, to ledwie jedno pokolenie przeminie, a nasz lud silnie uczuje się w sobie i stanie się tem, czem z winy naszych ojców nigdy nie był w historii, a czem przynajmniej od czasu rozbioru staraniem szlachty stać się był powinien. — Że miasteczka nasze tak podupadły, serdecznie mi żał, bo były to polskie miasteczka i dały tego niejednokrotnie dowody. Również mi żał, że rzemieślnicy popodupadali. Ale powiedz mi pan, czy pan istotnie przywiązujesz tak wielką wagę do rzemiośł polskich?... Ja nie. Od niejakiego czasu jest dosyć rozgwaru o tem w naszej literaturze. Znaleźli się bowiem ludzie, którzy się

zaczęli w taki sam sposób zakradać w świątynię historyi, jak myszy do mieszkalnych budynków: przez podwaliny, przez szczyby w murach, przez stare skrzynie i komory napełnione rozmaitem strupieszalem rupieciami. Grzebiąc pomiędzy temi staremi gratami i rozsnuwając wypętlę nitki niedodartych łaćmanów, obdarzyli nas całym szeregiem wielkich rzemieślników polskich, wielkich snycerzy, malarzy a nawet muzyków! Ważne akta dyplomatyczne, relacye posłów, dyaryusze sejmowe, nadania i przywileje królewskie, a nawet rzadkie już dzisiaj dzieła znakomitych autorów dawnych, trupieszają po pułkach bibliotek; ale słowniki rzemieślników, malarzy i muzyków, mamy już w najpyszniejszych wydaniach. Czy to jest dobre zrozumienie istotnych potrzeb naszego narodu, którego doli ani rzemiosła, ani malarstwo, ani muzyka, o jeden cień nawet poprawić nie zdoła, w to tutaj nie wchodzi; ale radbym tu panu stanowczo powiedzieć, iż ja z mojej strony, jak w owych wielkich malarzy i muzyków polskich, tak i w owych sławnych pasamoników, płatnerzy, blacharzy i tak dalej, także nie wierzę. Co więcej, nie wierząc w ich wielką przeszłość, a widząc ich terażniejszość, bynajmniej się tem nie frasuję, że teraz tak podupadli. Podupadli oni nie z powodu owej społecznej reformy, ale z powodu

otworzonej konkurencyi z europejskim zachodem. A cóż to dowodzi? Oto robią źle i drogo, więc nikt nic od nich nie bierze. Jak się nauczą dobrze swych rzemiosł i zrozumieją swe w społeczeństwie powołanie, bądź pan pewnym, że każdy będzie wolał zaopatrywać swoje potrzeby o milę od siebie, niżeli sprowadzać je z zagranicy. Bieda więc ta, która dziś rzemieślnikom naszym dokuca, jest nawet dla nich samych wielką korzyścią; bo zwalczywszy ją jednym środkiem możliwym, t. j. środkiem swego wydoskonalenia, i nędzy się swojej pozbędą, i zajmą stanowisko takie w narodzie, jakie im się wtedy będzie słusznie należeć, a jakiego, wbrew wszystkim wynalazkom naszych archeologów, nigdy nie mieli. — Prawie to samo mogę panu powiedzieć o upadku miast wielkich i naszego kupiectwa. Nasze miasta wielkie, a razem z nimi nasze kupiectwo, w czasach tych, odkąd nam historia coś pewniejszego o nich przynosi, były nam obce zupełnie. W wiekach XIII, XIV, XV, niemieckie nawskróś, były one po prostu wielkimi pijawkami obcego nam miotu, które zamiast brać jakikolwiek stateczny udział w zacnych pracach narodu, wysysały jego soki najlepsze. Prócz tego jeszcze one-to głównie wprowadzały do Polski zbytek i rozpustę — a nawet niejednokrotnie, mianowicie w wieku XIII,

wiązały się z nieprzyjaciółmi narodu i walczyły przeciwko niemu w sposób najrozmaitszy. Później spolszczyły się miasta i poprawiły się trochę moralnie; ale gdzie-by dały dowody swojego poświęcenia się dla dobra narodu, nie nam nie powiada historia. Broniły czasem swych siedzib i fortun wobec nieprzyjaciela i składały mu częste okupy; ale mieszczan walczących w polu, ginących za ojczyznę i wiarę, albo wyzuwających się z swoich fortun na potrzeby ojczyzny, ja nigdzie nie mogę wyszukać. Toż przez całych dziewięć wieków naszego świetnego bytu pozostał nam z ich grona w pamięci jakiś Wierzynek, a wreszcie zacny Kiliński z Kapustasem i Sierakowskim — i na tem koniec. A jak się dziś zachowują te miasta, mianowicie w naszej prowincyi? Czy biorą jaki udział w ciężkich pracach narodu, z którego żyją; czy są mu obce zupełnie? — ja tego nie wiem, bo mnie lat kilka nie było w kraju; ale Panu to dobrze wiadomo. Ja wiem tylko tyle, że miasteczka i miasta dotychczas jeszcze stanowiska tego nie zajęły w narodzie, jakieby zająć mogły i powinny; ufam jednak i wierzę, że je zajmą w przyszłości. Od ludu tedy, który się ma stać kiedyś wielką narodową potęgą, — przechodzę do szlachty, która taką potęgą jest teraz. Dziś siejsza jej bieda jest rzeczywiście godną współ-

czucia. Szlachta biedna, to naród biedny, — szlachta osmucona, to naród osmucony, — szlachta w zwątpieniu, to naród w zwątpieniu! Że ta bieda dzisiejsza trwa ciągle, że szlachta jej się cokolwiek poddała, że nawet się poddać musiała, bo trudne są dzisiaj środki ratunku: tego panu nie przeczę, to prawda. Ależ przecież śmiem panu powiedzieć, iż się na ten obecny stan rzeczy zapatrujesz cokolwiek inaczej, niż trzeba. Przede wszystkim muszę natrącić, iż i ta bieda szlachty nie wypływa wprost ze zniesienia poddaństwa, tylko z towarzyszących u nas zawodowi rolniczemu okoliczności, które ze zniesieniem poddaństwa nie mają żadnych styczności. Odejmij pan naszym rolnikom w słusznej części podatki, usuń z ich karku żydów dzierzących cały handel krajowy w swém ręku, a daj natomiast banki rolnicze i otwórz im bezpośrednią styczność z wielkimi europejskimi targami: a obaczysz, że dola ich nietylko się natychmiast poprawi, ale stanie się bez porównania świetniejszą, niżeli była za czasów pańszczyzny. To jest prawdą uderzającą na pierwszy rzut oka; więc dla czegoż tę dolę obecną wiązać ze zniesieniem poddaństwa? Trzeba tedy o tem powiedzieć wyraźnie, że obecna bieda rolników nie wypływa ztąd, iż poddaństwo zniesiono, ani nawet ztąd, iż je tak nagle zniesiono; ale po-

prostu ztąd, iż przy zniesieniu poddaństwa nie zaprowadzano natychmiast tego wszystkiego, co w kraju takim, gdzie nie istnieje pańszczyzna, dla utrzymania rolnictwa istnieć powinno. Czy szlachta na zniesieniu poddaństwa straciła coś materialnie? na to odpowiedzieć nie trudno. Straciła tylko to, iż jej zatrzymano trzecią część indemnizacyi, a mimo to nietylko jej nie ujęto tych ciężarów, za których zniesienie ta część zatrzymaną została, lecz owszem jeszcze ich przyczyniono. Gdyby indemnizacya została wypłaconą w całości, straty materialne, wynikające ze zniesienia pańszczyzny i czynszów, były-by wynagrodzone zupełnie, bo prowizya od kapitału indemnizacyjnego wystarczała-by wszędzie na opłacenie robotnika. O tem zresztą, jako o rzeczy skończonej, nie ma co mówić. Ważniejszą daleko jest kwestya ta, czy szlachta na zniesieniu poddaństwa straciła moralnie? — Otóż powiem panu, że nietylko nic nie straciła, ale owszem skorzystała niezmiernie wiele. Ażebym moje widzenie tej rzeczy krótko i jasno wyłożył, muszę przede wszystkim nadmienić, iż aż do czasu zniesienia poddaństwa uważam w każdej prowincyi polskiej szlachtę a naród za jedno. Bo tak jest: gdzie lud jest niewolnikiem, gdzie miasta są obce, a rzemiosła nijakie, w kim-że żyje duch narodowy?

— w szlachcie i w tych, którzy się oświatają swoją wyjarzmili z poddaństwa, a którzy są naszą dzisiejszą szlachtą. A czyż naród stracił na tem moralnie, że w jego grono, dotychczas szczupłe, przybyło miliony ludzi wolnych? że poprostu przybyli wszyscy? Jest to oczywiście korzyść ogromna, korzyść największa, jaką moglibyśmy zdobyć w tych czasach — i jaką musieliśmy przedewszystkiem innem zdobyć koniecznie, jeżeli chcemy być dalej narodem. Ja wiem, że pan mi tu wspomnisz o stracie przywilejów szlacheckich. Te szlachta straciła, to prawda. Ależ panie kochany, w drugiej połowie dziewiętnastego wieku ta strata nie jest już stratą. Pomijam wszystkie inne na to dowody, a wspomnę ten tylko, iż przywilej człowieka nad człowiekiem teraz stał się już sam ze siebie nie zaszczytem, lecz hańbą; — a istotnie coś znaczącego przywileju szlachty, przywileju historycznego nazwiska i zaszczytnych tradycyi, nikt szlachcie naszej nie odebrał i nigdy odebrać nie może, chyba że ona sama wypływających z niego korzyści moralnych siebie pozbawi, jak tego obojga przykłady widzimy we Francyi, w Niemczech i całej Europie zachodniej. Szlachta tedy na zniesieniu poddaństwa nic nie straciła moralnie; ale ja panu okażę, że jeszcze przez to niezmiernie wiele zyskała. Jest bowiem prawdą

niezaprzeczoną, że szlachta nasza od czasu rozbioru aż po dzień zniesienia poddaństwa była po prostu niczem; a dopiero od czasu zniesienia poddaństwa otworzyła się dla niej droga stania się czemsiś, i nie można już dziś wątpić, że się tem stanie. Zdanie to może się panu wydawać dziwnem; lecz niem nie będzie, kiedy porównamy pod tym względem czasy przedrozbiorowe z późniejszymi, a wreszcie ze stanem rzeczy dzisiejszym. Owóż za czasów Rzeczypospolitej szlachta polska była stanem bardzo poważnym i walnym; bo każdy szlachcic osiadły był z obowiązku żołnierzem i był zarazem tym jedynym obywatelem, który dźwigał na sobie wszelkie trudy i prace narodu. Zdarza się często dziś słyszeć, iż szlachcic był wtedy także rolnikiem. Ale to tylko pusty jest frazes. Żaden szlachcic podówczas rolnikiem nie był, a to nietylko dlatego, iż owoczesne rolnictwo było tego rodzaju, że się na żaden sposób nie może nazywać zawodem, — ale głównie dlatego, iż żaden szlachcic nie miał naten-
 czas dochodów z ziemi, a każdy majątek tylko tyle przynosił, ile była warta przywiązana do niego pańszczyzna, daniny, czynsze, propinacya i inne regalia. Przejrzyj pan gospodarskie rejestry, choćby nawet i grodowiskie, a przekonasz się o tem dowodnie. Szlachcic tedy za czasów Rzeczy-

pospolitej rolnikiem nie był; tylko był panem, który swoje przywileje materyalne za pośrednictwem ziemi spieniężał. Po rozbiorze Polski szlachcic żołnierzem i obywatelem w dawniejszem tego słowa znaczeniu być przestał — ale przez to rolnikiem nie został; bo jak wiadomo, rolnictwo nasze przez długie czasy jeszcze, z małemi wyjątkami, było w tym samym stanie, w jakim się znajdowało w Rzeczypospolitej. Czemże tedy był szlachcic przez wszystkie czasy po-rozbiorowe? — oto po prostu niczem. Zasługi szlachty nawet i przez te czasy są wielkie, i może im ich zaprzeczyć tylko zła wola; bo nie licząc już tych mnogich usiłowań, które się zawsze kończyły wielkimi ofiarami i poświęceniami, szlachta-to głównie żywiła ducha narodowego w sobie i przy sobie, i ona-to w takiej sile i rozrodzeniu przyniosła go pokoleniom dzisiejszym. Ale mimo to szlachcic wtedy był na polu politycznem tylko luźnym zapaśnikiem, walczącym wedle swojej przyrodzonej fantazyi — a na polu socyalnem niczem, *fruges consumere natus*. Dopiero zniesienie poddaństwa zadało też jego nicości społecznej cios stanowczy i ostateczny. Nie odzyskał on wprawdzie przez to swego historycznego rycerstwa i obywatelstwa w dawnem znaczeniu, lecz posiadając dziś ziemię, z dawnych przywilejów obroną,

został zniewolonym do zamienienia się w rolnika z zawodu i powołania, a zarazem do zajęcia tego obywatelskiego stanowiska w społeczeństwie, którego przez wszystkie czasy porozbiorowe nie miał, a po które dziś z konieczności i sam będzie musiał posięgnąć, i musi mu być danem koniecznie. Uważ pan, ile z tego jednego wypadku wypływa i dla szlachty i dla narodu korzyści. Szlachta, jako taka, istnieć przestaje, ale natomiast zaczyna być nowy jako stan rolniczy, stan najpiękniejszy, najszacowniejszy i najpotrzebniejszy w narodzie i w państwie. Wszystkie te siły moralne, które posiada tak bardzo rozrodzona dziś szlachta, a które dotąd z powodu łatwości chleba na uprzywilejowanej ziemi marniały bezpożytecznie — ziemia dzisiejsza, wypłacająca się tylko za umiejętność i pracę, musi w ruch puścić koniecznie i zużyć na pożytek narodu; a których ona sama nie zużyje, te ku zawodom innym odrzuci. Ileż tu z grona samej szlachty musi się nowych wyłonić szermierzy w krainie myśli i ducha, ile pracowników w winnicy Pańskiej, ile obywateli! A ci, którzy zostaną przy roli, muszą się stać rolnikami umiejętnymi, uprawiającymi tę ziemię z pożytkiem, dbającymi o jej prawa i losy, o stosunki przemysłowe, handlowe, fabryczne, społeczne i polityczne, muszącymi ją kochać ko-

niecznie, walczyć o nią, i bić się, i zginąć w potrzebie. Wielka to była potęga w naszym narodzie, ta idealna miłość dla ojczyzny i wiary, która naszą historią zamieniła jak gdyby w jeden bohaterski poemat; ale kiedy idealizm skutkiem zmiany uczuć i wyobrażeń został ściągniętym na ziemię, ażeby przyjął ciało i krew i stał się chlebem powszednim, racz mi pan wierzyć, iż jego rolę bardzo godnie zastępują te związki realne człowieka z ziemią, związki wszechstronne, głębokie i bliskie, które w dzisiejszych czasach realnych sporządzić i utrzymać może tylko umiejętnie rolnictwo. O powołaniu dzisiejszem rolnictwa, a mianowicie o jego znaczeniu moralnem, społecznem i politycznem, wiele-by trzeba rozprawiać, bo tym przedmiotem jeszcze dotąd w ogóle zbyt mało się zajmowano; ale jeszcze daleko więcej można-by powiedzieć o tym przedmiocie ze względem na Polskę, gdzie naturalnie podstawy rolnictwa są jeszcze tak obszerne, iż na nich można-by zbudować gmach tak ogromny i okazały, jakiego nie masz dziś nigdzie w całej Europie zachodniej. Widzenia moje w tej wielkiej sprawie kiedy-indziej panu wyłożę, — a tymczasem proszę, ażebyś raczył wybudować w swej wyobraźni postać takiego narodu, w którym takie ogromne obszary ziemi pozostają w ręku takiego stanu, co

wielo-wiekową uzacnioną zasługą, potężny swoją dziejową tradycją, chowający do dziś dnia w sobie całą dziejową własność narodu, staje się teraz sam stanem rolniczym. Stan ten, gdy zechce, może dziś opanować wszystko, co tylko żyje i rusza się w całym narodzie; on, jedyny producent w kraju, może ująć w swą rękę cały przemysł i handel i wszelką fabryczność, — on, jako najbogatszy właściciel ziemi i rolnik, a oprócz tego związany z ludem stosunkami, już-to dawnymi a jeszcze niezerwanymi, już wypływającymi z potrzeb dzisiejszych, może ten lud tak oświecić i tak poprowadzić jak zechce, — on wreszcie jako jedyny dotychczas jeszcze konsument literatury, a głównie zasilający swoją młodzieżą wszelkie zawody inne, może się stać kierownikiem narodowej oświaty i główną podporą wszelkiej pracy wewnętrznej. On wszystko może.... I jestem przekonany najmocniej, że wszystko to zrobi i doniesie sztandary narodu do ludu z taką świetnością i chwałą, z jaką je niósł przez dziewięć wieków; a rękojmnią tego jest właśnie nie co innego, tylko zniesienie poddaństwa i przywilejów szlacheckich. — Tak, mój kochany proboszczu! — zakończył wreszcie Dobiesław, — takie jest moje widzenie rzeczy, sądzę, że zgodne z prawdą istotną. Dlatego mogę tem śmieiej zakończyć, iż jeżeli pan

na losy naszego narodu zechcesz spoglądać przez szkiełko dnia dzisiejszego, to zapewne, że będziesz miał na co narzekać; ale jeżeli wielki dziejowy czyn zniesienia poddaństwa zechcesz osądzić wedle dziejowych rozmiarów, to nie będziesz narzekał i będziesz dobrej myśli wraz ze mną.

Kiedy Dobiesław to mówił, zacny X. Grzegorz prawie się nie posiadał z radości. To biegał prędkimi krokami po izbie, to stawał i słuchał, to mu przerywał, mówiąc: — A co? a jak? a nie mówiłem? a nie powiadam? — Kiedy zaś Dobiesław skończył, on go chwycił za obadwa ramiona i zawołał: — Chodźże tu, niech cię uściskam! Ja to samo zawsze powiadam. Ale nie chcą mi wierzyć i mówią: Wikary wszystko w różowych widzi kolorach, wikary demokrata, wikary demagog! Chwałaż Bogu, że jest ktoś drugi, uczeńszy i wymowniejszy odemnie, który mnie poprze. Daj-że mi rękę, bo odtąd pójdziemy razem, i spodziewam się, że porozpędzamy te czarne chmury, któremi siebie i nas i całą społeczność trują ci, ci, ci... *laudatores temporis acti!*

Tymczasem zaś kanonik, jakkolwiek może się nie dał przekonać, przecież się trochę weselej uśmiechnął i rzekł:

— Na to wszystko, coś Wpan Dobrodziej powiedział, mógł-bym się może i zgodzić, zwłaszcza

po dokładniejszym roztrząśnieniu tego przedmiotu, na który w tak dalekich i wielostronnych widokach, chętnie to panu przyznaję, jeszcze mi się zapatrywać nie przyszło. Ale gdybyś mnie pan nawet we wszystkim innem przekonał, to w tem nigdy mnie nie przekonasz, że nasza bięda dzisiejsza jest nic nie znaczącą. Pan jeszcze nie możesz nic o tem mówić, bo dopiero dziś przyjechałeś; ale będziesz już mógł mówić niebawem, bo dosyć ci Grodowiska obaczyć, ażeby nabrać pewnego o naszej biedzie pojęcia. Co się dziś dzieje w Grodowiskach, to wszędzie się dzieje. Grodowiska to wierny obraz całego kraju, z tą wszakże wielką różnicą, że nasze pocziwe parobczaki nabrali jakoś ostatnimi czasy cokolwiek lepszej fantazyi, a w kraju martwo i głucho jak w grobie...

Na wspomnienie Grodowisk Dobiesław nagle posmutniał i wstrząsł się widocznie; zaczął się niespokojnymi krokami przechadzać po izbie, lecz milczał. Tymczasem kanonik zabrał głos nanowo i mówił dalej prawie z ironią:

— No! ale po tem, cośmy usłyszeli od pana, i my się o nasze losy już nie będziem frasować. Kto tak jasno widzi, jakie są dziś obowiązki szlachcica, ten też ich potrafi dopełnić. Grodowiska mogą wykrzyknąć: Vivat! na pańskie przybycie; pan je wyratujesz.

— Ja? — zawołał na to Dobiesław, a prawie przerażająca boleść odbiła się na jego wybladłej twarzy, — ja? a to jakim sposobem? — Och! panie drogi! ja-bym krwi ulał z pod serca dla wybawienia tej ziemi, w której tyłu moich ojców i dziadów spoczywa; ale cóż zrobić? —

Kiedy to mówił Dobiesław, wikary stojąc z daleka zacierał ręce z niecierpliwości i wszelkimi możliwymi znakami kanonika do dalszego prowadzenia rozmowy w tym kierunku zachęcał; kanonik mu kiwnął głową i zaraz rzekł do Dobiesława:

— Pan nas z tej niewoli wyjarzmisz.

— Ja? — zawołał znowu boleśnie Dobiesław, — ależ zmiłujcie się! cóż ja tu mogę? — Potem mówił także nie bez ironii: — Chyba że wymagacie po mnie, ażebym burdę jaką wyprawiał. Jeżeli tego chcecie, to dobrze. Zbiorę wiejskich parobków, uderzę na Prusaków i ze wsi wypędzę. To najłatwiejsza, bo jest ich wszystkiego kilkunastu, a parobków jest cała wieś. Ale co potem? Ażaliż za parę tygodni nie wejdzie w to sąd i nie wprowadzi ich tutaj napowrót?

— Oh! — rzekł z uśmiechem kanonik, — o tem się na teraz nie mówi; ale pan Grodowiska wykupisz.

— Ja Grodowiska? zmiłuj się pan, a za co? Czyliż pan nie wiesz, co mam i co mieć mogę?

Za połowę sprzedanych publicznie Grodowisk da mi mój brat podobno dziesięć tysięcy; to mój cały majątek. Czyż z tem można zakupić dobra, kosztujące może sto a może i więcej tysięcy?

— Ja w to nie wchodzę, — rzekł na to nieubłagany kanonik, — jak pan to zrobisz; ale słyszawszy, jak pan nasze rolnicze sprawy dokładnie rozumiesz, jestem przekonany, że już to jakoś koniecznie zrobisz i Grodowiska wykupisz.

Prawie z gniewem spojrzał na proboszcza Dobiesław i był-by mu był może nawet co przykrego powiedział, kiedy w tem ozwał się prędko wikary i tak mówił:

— Xiądz kanonik sobie żartuje, jak zwykle; ale ja prawdę ci powiem. Słuchaj mnie Dobku! to nie jest niepodobieństwem, ażebyś ty Grodowiska zakupił; ja ci zaraz wyliczę dlaczego. Najpierwej, weźmiesz nie dziesięć tysięcy od Krzesława, tylko połowę tego, co on wziął od Prusaków, bo przecież brat brata nie zechce obdzielić; nie dopuści mu tego sumienie i nie dopuściłoby tego w razie potrzeby obywatelstwo. Powtóre, przypada ci przecież połowa indemnizacji, która jak mi się zdaje, jest już obliczona na pięćdziesiąt i dwa tysiące. Zrobi się tedy z tego sumka wcale nieszeptna. Po trzecie, Prusacy mie mogą dziś żądać za Grodowiska zbyt

wiele, bo oni nóż mają na karku i poły odetną, aby się tylko od tego ciężaru uwolnić. Po czwarte, Grodowiska są obdłużone, i wcale nie trzeba na nie wiele pieniędzy; ile sam zechcesz, tyle długów ci przy gruncie zostanie, a nawet pozakupiesz je poniżej wartości, bo każdy będzie wolał mieć choćby tylko dwie trzecie części swojego kapitału u ciebie, niżeli u takich Prusaków. A co? czy nie jest ta rzecz jak najzupełniej podobną?

— Nie, — rzekł stanowczo Dobiesław, — całkiem nie jest podobną. Bo wszystko to tylko się tak xiędzu Grzegorzowi wydaje. Najpierwej, brat nie da mi więcej jak wziął po licytacyi, bo widoczną jest rzeczą, że na to Grodowiska sprzedał. Powtóre o indemnizacyi ani myśleć teraz, bo jeszcze nie jest wydana. Po trzecie, Prusacy tanio nie sprzedadzą, bo mają przecież długi, które muszą popłacić. A gdyby nawet wszystko się tak dało ułożyć, jak jegomość powiadasz, to pomyśl sam, czy jest podobieństwo, mając jakie trzydzieście tysięcy, przystępować do kupna majątku za sto tysięcy, majątku tak zniszczonego i położonego w kraju takim, gdzie ciężary tak wielkie, opieki dla rolnictwa żadnej, a kto nie ma do swego gospodarstwa znacznego kapitału obrotowego, ten go nigdzie nie dostanie. Nie, xiężę Grzegorzu! to-by był krok szalony, który-

by i wam nie pomógł i mnie-by zgubił na zawsze. Dlatego proszę was na wszystko, wymagajcie każdej ofiary po mnie, żadnej wam nie odmówię; ale nie wymagajcie, abym popełnił szaleństwo, które-by mnie zgubiło, a wam żadnej-by nie przyniosło korzyści.

Jeszcze raz natarli obadwa xieża na Dobiesława, jeden z ironią a drugi z miłością; ale już wtedy prawie rzucił się na nich, wołając:

— Jeżeli mnie tylko cokolwiek kochacie, ani słowa już o tem! Nic przykrzejszego nie może być dla człowieka, jak kiedy inni wymagają czegoś po nim na pewno, czego-by on z całego serca dopełnił, ale widzieć jasnymi oczyma, że dopełnić nie może, bo nie ma sił, ani środków po temu. Proszę was, ani słowa już o tem!

Zaczem zasiedli wszyscy trzej do wieczerzy, ale już odtąd smutno było pomiędzy nimi. Zawsze taki smutek rozsiada się w sercach Polaków, ile razy dotkną swojej przyszłości, której wszyscy tak gorąco pragną i wyczekują, a którą ciągle tak grube i ciężkie zasłaniają zapory....

Tu były jeszcze do smutku partykularne powody. I tak kanonik zasmusił się dlatego, iż go Dobiesław zanadto ucinkowo odprawił; Dobiesław dlatego, iż go nieogłędne wymagania xieży zaboląły piekielnie, i bał się, ażeby jego

chęci najszczerzych nie osądzono fałszywie; wikary zaś nie tylko się zasmucił, ale nawet patrzył na Dobiesława z nieufnością, z niedowierzaniem, z podejrzliwością. Tak zawsze patrzą ludzie zbyt gorącego serca na ludzi tych, którzy nie mają skłonności do popełnienia szaleństwa, a lubo są tak samo dla dobra ogólnego wylani, jak tamci, jednakże poważniejszym opatrzeni umysłem chcieliby, aby każdy ich krok, każdy czyn, każda ofiara, rzeczywiste przyniosła korzyści. Obadwa byli jednakiej wiary i chęci jednakich; ale nie jednakową mieli gorącość krwi, a u nas i tego dosyć do zasiania ziarna niezgody. Nie zawsze rzucimy klątwę na odstępców i zdrajców, chociaż jest tego potrzeba; ale niech tylko ktoś drugi, chociaż wiary najlepszej, nie czuje i myśli z nami tak wiernie jak kopia z oryginałem, zawsze jesteśmy gotowi do walki z nim, choćby ze szkodą sprawy publicznej. Po zniesieniu przywilejów materialnych, są ludzie, którzy chcą zaprowadzić przywileje myśli i zasad. Każdy chce dziś być oryginałem i żąda, ażeby wszyscy byli tylko jego kopiami. A zaprawdę, że w drugiej połowie XIX. wieku już czas jest i wielki, ażeby dobra wiara znalazła należyte dla siebie poszanowanie — i ażebyśmy dozwolili każdemu być samym sobą, jeżeli tylko czuje się sobą w narodzie.

Dobiesław widział to podejrzliwe usposobienie u wikarego, i jeszcze bardziej tem się zasmucił. Wikary go miał za człowieka, któremu brak dobrych chęci! A przecież, kiedy się do snu ułożył, to nie spał przez całą noc i o niczem innem nie myślał, jak tylko o wydobyciu Grodowisk z rąk pruskiego plugastwa....

Tymczasem zacny x. Grzegorz był jednym z tych ludzi, którzy acz bardzo pochopni do podejrzliwości, jednak nie długo ją w swoim sercu chowają. Jakoż do dnia jutrzejszego całkiem już o niej zapomniał; owszem po dokładniejszym rozmyśle przyszedł do przekonania, że Dobiesławowi musi daleko więcej na wykupieniu Grodowisk zależeć, niżeli jemu samemu. Sprawa ta zresztą nie zależała jeszcze teraz od jego usposobień i chęci, lecz przedewszystkiem od załatwienia majątkowego podziału z Krzesławem. Tak myśląc wikary, zaraz ze wschodem słońca sam zbudził Dobiesława, i wysłuchawszy z nim razem mszy św., odprawionej na jego intencją przez samego kanonika w pałacowym kościółku, czemprędzej go do Starodzieńk wyprawił.

Z wrzącą niecierpliwością oczekiwali obadwa sięża jego powrotu — a on rad-by był się zamienić w ślimaka i tę podróż fatalną jak naj-

dalej odroczyć. Determinacyi nie brakowało mu nigdy, oh! tyle razy dał jej dowody! — ale na taką determinacją, ażeby swojego brata obaczyć takim szkaradnym odstępca, jakim mu go wymalowano, żaden pocziwy człowiek się nie zdołą. Położenie jego w tej chwili było okropne. Przez całą drogę najstraszliwsze miotały nim trwogi — i miał nawet takie momenty, w których gdyby się był samego siebie nie wstydził, byłby był kazał nawrócić... Ale tymczasem powóz jego zatoczył się do Starodzień, a na jego turkot sam Krzesław wybiegł przed kolumnadę pałacu.

Musiał być zapewne uprzedzony o jego powrocie, bo się rzucił z takim rozgłośnym okrzykiem w jego ramiona, jak gdyby uchwycił zbawienie. Serdeczny Dobiesław tem przywitaniem do łez się rozczulił i o wszystkim w tej chwili zapomniiał... Rozmowa ich potem, usiłująca objąć kilkoma słowy wspomnienia i dzieje dziewięciu lat, była jak zwykle roztargnioną, urywaną, skaczącą z przedmiotu na przedmiot, a niezgłębiającą niczego. Z niej poznać Krzesława było niepodobieństwem. Wszakże już wśród niej Dobiesław znacznie otrzeźwiał, bo znalazł w swym bracie na samym wstępie kilka myśli i uczuć

takich, które mu się wcale nie podobały. A im dalej w las, tem więcej drzew; toż niebawem już patrzył na niego z dziwnie głęboką a całkiem siebie świadomą goryczą. Krzesław wysilał się na to, ażeby się wydał innym, niż był w istocie, ale usiłowania jego były w tym razie daremne. I naturalnie. Taki człowiek jak on oszuka z łatwością każdego niższego umysłem od siebie, oszuka nawet równego sobie; lecz nie oszuka nigdy takiego, w którego sferę moralną nie zdoła dosięgnąć. Nie uda nikt nigdy odwagi, nie uda dobrego wychowania, i rzeczywistej szlachetności umysłu nikt udać nie zdoła, bo człowiek roztropny i doświadczony nie mierzy jej okiem ni uchem, lecz sercem. A najmniej ją mógł udać brat Dobiesława. Było bowiem coś dziwnie nieswojskiego, coś nieludzkiego na samej powierzchni tego człowieka; była jakaś lodowatość serca, jakaś drewnianość umysłu, a przy niej tak żartka obrotność realnych myśli, że cała jego istota, chłodna i twarda jak żelazo, a mimo to ciągle warcząca trybami i sprężynami rozumu, sprawiała prawie takie same wrażenie, jakie na nas sprawia każda skomplikowana machina, młócarnia, przędzalnia lub młyn parowy, — dzieło bez duszy, a jednak odprawiające swe funkcyje tak zmyślnie. Takie organizmy moralne spotykałeś

dawniej li w samych żydach; dziś znajdziesz je we wszystkich stanach i we wszystkich tych ludziach, którzy po drabinie zwiątpienia z wysokiego szczebla godności człowieka zeszli na nizinę rozumnych zwierząt i zamienili się w maszyny, przerabiające swoją pracę na złoto... Wrażenie to było dla Dobiesława niezmiernie przykrem; chciał się go pozbyć koniecznie; ale pierwszego wrażenia nie zatra już nigdy słowa, bo mogą to zrobić tylko uczynki. Dlatego odtąd już więcej zwracał uwagi na to, co widział u swego brata, niżeli na to, co słyszał od niego.

Jakoż pomimo całego urzędu domu, które było całkiem nieodpowiednie jego towarzyskiej pozycji, traciło nie oszczędnością lecz skąpstwem, nie ubóstwem ale niedbalstwem, pomieszanem w najdziwaczniejszy sposób z parweniuszowską pretensją: zaraz przy obiedzie uderzyło go jeszcze i to, że pani Krzesławowa, nie tylko mu się nie pokazała dotychczas, ale i do obiadu nie przyszła. Pytał o to jej męża — a mąż mu powiedział, że jego żona jest słaba i dlatego się nie może pokazać. Tak wszakże nie było. Krzesławowa była zdrowa jak ryba, a nawet rumiana i tłusta jak samo zdrowie. Tylko jej mąż należał do rzędu tych ludzi, i u nas już teraz nie rzadkich, którzy kobietę mają wpra-

wdzie za Boże stworzenie, ale za stworzenie takie, które może być tylko rodzicielką dzieci, a zresztą za ledwie jakąkolwiek klucznicą. Tacy ludzie, choć się ożenią, prowadzą domy kawalerskie, sami przyjmują swych gości, sami ich bawią, sami ich nudzą; a ich żony ani nie wiedzą o tem, co się dzieje w pokojach bawialnych. Mają one dla siebie odciętą jakąś część domu, w której skazane są na życie jeszcze daleko smutniejsze niżeli klasztorne, bo próżne ducha a poświęcone tylko materyalnym zajęciom. Tak się już dziś bardzo często urządza małżeństwa. Mężowie, mieszkający po miastach, trawią dnie całe przy swoich obowiązkowych zajęciach, a całe wieczory po klubach, zostawiając swe żony na pastwę samotności i nudów, i co za tem idzie; mężowie na wsi zamieniają swe domy na męzkie kluby, oddając swe żony opiece klucznic i panien służących, a przypuszczając je do swych gości ledwie przy obiedzie. Takie życie, zazwyczaj karciane i fajczane, jest dziwnie prozaicznym i nudnem; a gdyby nawet było i bardzo wesołem, pełnem zajmujących rozpraw i gawęd, jest przecież czerem i niesmacznem, bo w najlepszym razie przynosi tylko owoce, którym brak świeżości, brak woni, brak kwiatu. Jedyńm kwiatem, który nasze hipochondryczne żywoty może jakkolwiek

rozjaśnić, rozweselić, umaić, są bezzawodnie kobiety; my i ten kwiat ostatni odrzucamy od siebie i zaczynamy go cenić tylko o tyle, o ile ma w sobie przymioty owocu....

Dobiesław, który przeżył lat tyle we Francyi, w tej realnej, praktycznej Francyi, a mimo to przecież tak zapalanej wielbicielki kobiet i kwiatów, przeczuł to usposobienie Krzesława, a aby się o niem dowodnie przekonać, naciągnął na ten przedmiot rozmowę. I przekonał się prędko, że się nie mylił, a to go jeszcze tem większą napełniło goryczą. I miał słuszność Dobiesław; bo po człowieku, który nie ma w swem sercu uczucia piękna, którego umysłu nie uczci świeżość i woń, który nareszcie nie umie w sobie rozbudzić głębokiej czci dla kobiety, bardzo mało dobrego się można spodziewać. Tacy ludzie bywają czasem prawi w uczynkach i bardzo pilni w swych pracach; ale są to nie ludzie, tylko maszyny, które funkcjonują rzetelnie i pilnie, bo są tak nastrojone. Dziwimy się takim maszynom, bo są rozumne; korzystamy nawet z ich prac, jeżeli dla ogółu pracują; ale znudzeni prędko suchem i jednostajnem warczeniem ich trybów, uciekamy od nich, ażeby nigdy do nich nie wrócić.

Po obiedzie, kiedy obadwa bracia przeszli do pokoju Krzesława, Dobiesław był więcej za-

myślonym, niżeli rozmownym. Natomiast zaś Krzesław jakoś się więcej rozruszał, mówił o tem i owem, a wreszcie rzekł:

— Mamy jakieś interesa, jakieś rachunki ze sobą.... nikt nam nie przeszkadza, jesteśmy sami... możeby nieźle było teraz je załatwić? —

Paliła go niecierpliwość, jak zwykle pali tych, którzy mają jakiś ciężar na sumieniu i chcieli-by go zrzucić czempredzej. Tymczasem Dobiesław rzekł.

— Nie masz w tem nic pilnego.... jednak im przedzej, tem lepiej! — Ażeby mu zaś dać choć jakąkolwiek wskazówkę postępowania, dodał do tego: — Załatwimy ten cały rachunek za małą chwilę, bo ja już wiem od grodowskich xięży, co się tu stało i co mi się od ciebie należy...

Lecz Krzesław wcale na to nie zważał i zagaił w ten sens:

— Więc co się stało, to wiesz. Grodowska zostały sprzedane przez licytacją za pięćdziesiąt tysięcy; trzydzieści tysięcy było długów, pozostaje więc dla nas dwadzieścia, — z czego dziesięć przypada tobie. To bardzo mało... ale odbierzesz jeszcze połowę indemnizacyi, która wyniesie na twoję część dwadzieścia i sześć tysięcy; a tak zrobi się sumka, z którą przy twoich zdolnościach nie trudno sobie wyrobić bardzo przyzwoitą pozycją.

To rzekłszy, spojrział na Dobiesława z pod oka, a zarazem dobył kluczyka z kieszeni i chciał już iść do biórka, mówiąc przytem:

— Tę należytość mogę ci zaraz wypłacić.

Na taką indukcją tej sprawy Dobiesławowi w pierwszej chwili krew ścięła się w żyłach i ciemno mu się zrobiło w oczach. On wprawdzie taką propozycją już od wczoraj przeczuwał, — ale przeczucie nie jest rzeczywistością — a rzeczywistość ma zawsze swe prawa. Jakoż w tej chwili, chcąc tylko niewczesny zapęd swojego brata do biórka powstrzymać, podniósł rękę do góry i rzekł:

— Zaczekaj.

Krzesław stanął jak wryty, nie wiedząc sam, co to ma znaczyć.

Wszakże nie długo go nudził Dobiesław. Owszem otrzeźwiał w ten moment zupełnie — a widząc już dobrze, iż przy takim usposobieniu Krzesława nie powinno mu wcale chodzić o losy jego, tylko o swoje i ich rodzinny majątek, mówił odtąd z powagą i stanowczością taką, jaka człowiekowi skończonemu przystała. Mówił więc dalej w ten sposób:

— Proszę cię, siadaj. Rzeczy te trzeba wyjaśnić. Dlaczego Grodowiska zostały sprzedane przez licytacją?

— Otóż to jest pytanie! — zawołał z niecierpliwością Krzesław; — przecież wiesz, że musiały być sprzedane dla długów.

— Któż je na licytację wystawił?

— Jużci Nowicki.

— Nowicki, — rzekł na to dobitnie Dobiesław, — jest hultaj wierutny, kiedy wystawił na licytację dobra takie, które mu dawały dostateczną ewikcję procentu i kapitału, które były majątkiem administrowanym przez niego i należały do jego pupilów, i które wreszcie zostały sprzedane za połowę wartości. Lecz mniejsza o to! Któż kupił Grodowiska na licytacji?

— Kupił je Nowicki....

— Jakim-że sposobem Grodowiska pomimo sprzedaży zostały w twem posiadaniu?

— Bom ja je od niego odkupił....

— Tak... to są fakta. Cóż więc z tego wszystkiego wynika? — rzekł stanowczo Dobiesław, — oto wynika to; że cała ta operacya, zrobiona z jakichbądź powodów, które tobie przypisać mogę, mnie wcale nie dotyka.

— A jakto!? — zawołał na to Krzesław, rzucając się z miejsca jak oparzony, — a jakto? to myślisz się ze mną dzielić i tem, com ja sam zarobił?

— Co tyś zarobił? — zapytał Dobiesław, patrząc mu w oczy. — Krzesławie! na miłość Boga, cóż-eś to powiedział!

Krzesław stał przez okamgnienie jakby nieżywy, patrząc z ziemię jak zbrodniarz. I tacy ludzie miewają czasem momenty skruchy, ale niestety! zazwyczaj krótkie. Jakoż i on zbudził się w okamgnieniu, i obudziła się w nim jego żyłka żydowska. Zerwał się i uderzył na brata z całą gwałtownością swej zwykłej pochuci, mówiąc silnie i energicznie w ten sens:

— Ale cóż tam! Tu nie ma co długo o tem rozprawiać, Grodowiska, jako nasza własność wspólna, zostały sprzedane przez licytacją. To fakt. Z tego faktu wynika, iż ci się odemnie należy dziesięć tysięcy. Jeżeli chcesz, to je odbierz; jeżeli nie, to je złożę do depozytu... i możesz sobie potem robić, co ci się będzie podobać.

To rzekłszy, był on już, jak to widzimy, gotów do takiej samej zawziętej walki z swym bratem, jaką zwykle staczał o zyski. Tym razem wszakże nie znalazł godnego przeciwnika. Dobiesław bowiem, lubo go to natarcie mogło i słusznie oburzyć, nie był jednak ani bałwochwalcą pieniędzy, ani człowiekiem takim, który-by z jakichkolwiek powodów mógł zapomnieć o swojej godności; więc mimo całej goryczy i rozdrażnie-

nia ani o jeden cień nie utracił swojej zwyczajnej powagi, a zamiast podnieść rzuconą sobie brudną rękawicę, tak mówił:

— Zapominasz się mój Krzesławie! W gorączkowej pochuci za zyskiem, i to jeszcze do tego za zyskiem nieprawym, jesteś gotów nawet do scen skandalicznych; ale ze mną scen takich wyprawiać nie można. Ażeby ci jeszcze raz taka plugawa chętka nie przyszła, słuchaj z uwagą, co powiem. Tobie się zdaje, że ty masz rozum, a tymczasem ty masz tylko spryt jakiś, oprócz krętarstwa do niczego innego nie zdatny. Zarozumiały na ten spryt arendarski, traktujesz mnie tak, jak gdybym był głupim zupełnie; a tymczasem ja, chociaż-em się rozumu nie uczył w Wiedniu, nie potrzebuję go od nikogo pożyczać, o czym cię zaraz przekonam. Wszystkie te tedy wykręty twoje i doświadczenia ze mną na nic się nie zdadzą; owszem przeciwnie, im uporczywiej się ich trzymać będziesz, tem tylko do większego i mnie pobudzisz uporu. Mówmy więc dalej spokojnie — i kończmy to prędko. Więc tedy ty powiadasz, że z tego faktu, iż Grodowiska pomimo ich sprzedaży publicznej w twoich zostały się rękach, nie wynika to wcale, iż się zostały w rękach naszych? A wiesz ty, co ty tu powiedziałeś? Powiedziałeś mi to, żeś się zmówił z Nowickim,

i sprzedaliście Grodowiska na to, aby mnie wydziedziczyć.

— A! — zawołał na to Krzesław, — piękne przypisujesz mi rzeczy!

I chciał dalej coś mówić, lecz umilkł. Tymczasem Dobiesław mówił dalej:

— Proszę cię, tylko spokojnie... Ja ci nie przypisuję żadnych takich rzeczy, których w tobie nie ma; bo ja, możesz tego być pewnym, daleko prędzej ciebie-bym umył, niżeli jeszcze bardziej obrukał. Więc tedy na cóż się decydujesz? Czyś odkupił Grodowiska dla nas? Czy sprzedałeś je w zмовie z Nowickim dlatego, ażeby mnie wydziedziczyć? Wybieraj z tego, co chcesz, wybieraj to, co lepsze dla ciebie; bo dla mnie oboje jest jednakowem.

Z niemałym zdziwieniem spojrział Krzesław w tej chwili na brata, bo nie mógł go dobrze zrozumieć. Ale pomimo to odpowiedział prędko:

— Ja nie wybieram tego, co dla mnie lepsze, tylko to, co jest słuszne — i pozostaję przy faktach. Jeżeli zresztą chcesz, to ci do tych dziesięciu tysięcy dołożę jeszcze i procent od tego dnia, w którym Grodowiska zostały sprzedane...

— Jeszcze i procent! — zawołał z gorzkim uśmiechem Dobiesław; — trudno o więcej obrażającą szlachetność! Ale nie. Dziękuję ci za to.

Szlachetności żadnej od ciebie nie przyjmę. Kiedy chcesz pozostać przy faktach, to i ja przy nich zostanę. Grodowiska zostały sprzedane przez licytacją, a kto je kupił, już o to nie pytam. Zróbmy więc rachunek na tej podstawie, ale rachunek rzetelny i ścisły, już nie jak bracia, tylko jak ludzie sobie zupełnie obcy, bo sam tego wymagasz.

Tu Krzesław wyteżył całą swoją uwagę, a Dobiesław tak mówił dalej:

— W takim razie proszę cię najpierw, ażebyś mi się wykazał z moją plenipotencją, na mocy której skwitowałeś Nowickiego z rachunków dziesięcioletniej administracji mojej połowy Grodowisk....

Krzesław zbladł trochę.

— Powtóre, — mówił dalej równie stanowczym głosem Dobiesław, — wykażesz mi się z plenipotencją, na mocy której odebrałeś moją połowę Grodowisk w twoją administrację, i złożysz mi z tej administracji ścisłe i wierzytelne rachunki....

Krzesław zbladł całkiem.

— Po trzecie, — ciągnął dalej Dobiesław, — złożysz mi połowę otrzymanej ceny za Grodowiska przy ich sprzedaży przez licytacją; po czwarte procent prawny od tej sumy aż do dnia dzisiejszego; po piąte połowę pozabiera-

nych indemnizacyjnych zaliczek; a po szóste, zwrócisz mi połowę pieniędzy wziętych za inwentarze i sprzęty Grodowskie, wraz z procentem od tej summy do dnia dzisiejszego. Spodziewam się, że jako człowiek rachunkowy masz te wszystkie papiery w porządku; proszę cię, spiesz się, bo nie mam czasu.

Na takie *dictum* Krzesław już cały zzieleniał i tak zwiądl, że sam nie wiedział, co-by miał mówić. Tymczasem Dobiesław naglił:

— Dlaczegoż się zastanawiasz? Przecież przystaję na wszystko, co sam zaproponowałeś. Bądź łaskaw nie tracić czasu, bo go szkoda. Tam Grodowska niszcza z każdym dniem bardziej wprowadzeni przez ciebie Prusacy. Tam parę tysięcy dusz, zaprzędanych przez ciebie w niewolę, jęczy w najsroższym ucisku! Tu każda godzina jest drogą. Kończmy tę sprawę. Proszę cię o moję plenipotencją i Nowickiego rachunki....

— Ależ dziwnym jesteś, mój Dobiesławie! — przemówił nareszcie Krzesław głosem do niepoznania zmienionym, — przecież wiesz, że taka plenipotencja nie istnieje....

— Jakto nie istnieje? Chyba żartujesz. Ona istnieć musi, bo przecież inaczej nie mógł-byś był nigdy rozliczyć się w mojem imieniu z Nowickim i objąć mojej połowy Grodowsk w administracyą...

— Czyż mi taką plenipotencją wydałeś?

— Ja ci jej nie wydałem, to pewna! ale właśnie dlatego chciał-bym ją widzieć i muszę ją widzieć koniecznie.

Tu Krzesławowi jakoś się dziwnie ckliwo zrobiło. Zaczął się chwiejącymi krokami przechadzać po komnacie, kręcił się jak wąż, oddech mu się zapierał w piersiach, jakoż po chwili dopiero rzekł:

— Że będę miał brzydki proces z tobą, o tem już nie wątpię; lecz teraz widzę, iż za moję braterską pomoc w administracyi Grodowisk gotów jesteś pozwać mnie nawet kryminalnie....

— Sam mnie do tego zniewalas; — rzekł sucho Dobiesław.

— Ale proszę cię, przecież są inne środki ułatwienia tej sprawy....

— A jakie?

— Możemy się zgodzić.

Usłyszawszy te ważne słowa, Dobiesław z całej piersi odetchnął. Patrzał potem na Krzesława przez dłuższą chwilę i milczał. Po chwili dopiero rzekł całkiem innym już głosem:

— Patrzaj-że, mój Krzesławie, jaka jest rzeczywista wartość tego rozumu, którym ty się zaszczytasz! Czyż taki rozum wart jest trzy grosze, czy nie jest on wrzodem ropiącym w twym mózgu,

który raczej wyróżnić należy jak raka, niżeli się nim posługiwać? — I do czegoż cię zaprowadził ten rozum? Oto przefrymarczyłeś Niemcom tak piękny kawał naszej rodzinnej ziemi, — zaprzedałeś w niewolę parę tysięcy dusz takich, względem których wiekowe ciążą na nas obowiązki, — oszukiwałeś mnie przez lat tyle w sposób najbrzydszy, — chciałeś mnie wreszcie wydziedziczyć z mojej puścizny, — wydziedziczyłeś w samej istocie zacnych a tak nieszczęśliwych Wapnowskich — a na dobitkę jeszcze ożeniłeś się z córką takiego hultaja, oszusta, donosiciela, jakim jest nasz dawny opiekun! — Oh! mój Krzesławie, jeżeli teraz jeszcze w piersi się nie uderzysz, jeżeli wszystkich sił swoich nie zbierzesz i gwałtem siebie na inną drogę nie wepchniesz: wszystko dla ciebie przepadło — a ja, choćby za Bożą pomocą najszczęśliwszy zakonnik, wiecznie chorować będę na ciebie! —

Przemowa ta, wypowiedziana ciepło i prosto zę serca, powinna była silnie sprawić na Krzesławie wrażenie; jego serce powinno się było wzruszyć choć na chwilę, a w tej chwili powinny się były wszystkie ich spory od razu zakończyć. Ale Krzesław był człowiekiem bez serca. Jakoż zamiast serca jego rozum się wzruszył, ten sam rozum żydowski, który brat jego tak bezwzględnie

potępił. Albowiem widząc, że Dobiesław się uniósł uczuciem, ożywił się w okamgnieniu, przysiadł się do niego i z oczywistym zamiarem korzystania z tej chwili szczęśliwej, tak zaczął:

— Dziękuję ci z całego serca za tak otwarte wypowiedzenie swojego zdania. Daleś mi tem dowód prawdziwej dla mnie miłości. Pozwól mi jednak zrobić uwagę, iż nie wszystkie wyobrażenia twoje o mnie są zgodne z prawdą. Pózwól mi się usprawiedliwić...

Ale Dobiesław zanadto dobrze znał ludzi, ażeby się na tej udanej skromności nie poznać. Jakoż dotknął się jego ręki i rzekł:

— *Avant tout les affaires!* Więc tedy ty proponujesz mi zgodę. Ale ja zgody nie chcę, to jest nie chcę, ażeby było pomiędzy nami o co się godzić. Jeżeli ta sprawa ma się załatwić czysto, to powinna już z góry być zgodzoną. Moje więc zdanie jest takie: Oparłszy się na tem, że Grodowiska zostały sprzedane przez licytacją, mógłbym wyjść z tego podziału korzystniej; ale ja tego podziału nie chcę, bo przyjęty przezemnie musi się stać zarazem przyznaniem tobie występką. Zmażmy ten występki i przyjmijmy za podstawę sprzedarza Grodowisk Prusakom. Czy zgadzasz się na to?

— Dobrze... ja tę podstawę przyjmuję... ale w takim razie już ani o Nowickiego, ani o mojej administracyi mowy nie będzie.

— Nie będzie, — odpowiedział mu z uśmiechem Dobiesław, — o niczem już mowy nie będzie, ale zawsze jakoś się trzeba rozliczyć.

I wtedy zaczęły się rachunki.

Ale chociaż Dobiesław wszelkie swe siły wyteżył na to, ażeby uniknąć jakichbądź sporów i targów, nie mógł ich jednak uniknąć, bo miał do czynienia z Krzesławem. Zaczny brat jego, nie znający wcale dróg uczciwych, nie mający nawet jasnego wyobrażenia o tem, co się godzi a co się nie godzi, używał najrozmaitszych sposobów, najplugawszych wykrętów, ażeby tylko sumnę mającą mu przypaść ile możności umniejszyć. Podawał mu więc fałszywe dane, zaliczał wydatki, których nigdy nie wydał, zaliczał szkody, których nigdy nie poniósł, zgola na co żaden żyd-by się nie zdobył, na to on się zdobywał, z jeniałością pomysłów i bezczelnością wymowy godną podziwu. Dobiesław, który we Francyi pracował w zawodach praktycznych, widział to wszystko jakby na dłoni i bolał nad tem głęboko; ale gdzie tylko mógł, tam całe poły ucinał, dawał się łupić z swej własnej woli; ażeby tylko do gorszących kłótni nie dopuścić, zachować swą

własną godność i dać przykład swojemu bratu, o ile moralna wartość człowieka powinna zawsze być droższą nad materyalne korzyści. Poczciwy Dobiesław koniecznie chciał wierzyć, że jego brat jeszcze się może poprawić i wstąpić na inne drogi żywota...

Przecież za kilka dni skończyli z sobą ten zawikłany rachunek — i stanęło na tem, że Krzesław miał swemu bratu wypłacić trzydzieści i dwa tysiące guldenów, nie licząc w to przypadającej na niego połowy indemnizacyi. Dobiesław został odartym szkaradnie; uronił przynajmniej część trzecią, jeżeli nie połowę swojej słusznej należitości; wiedział o tem, ale nic już nie mówił, owszem nawet był kontent, że się to raz już skończyło.

Przeciwnie Krzesław był zły, skwaszony i całkiem zgorzkniały. Rzucił się ze złością na krzesło i patrzył prawie szatańskim wzrokiem na brata. Bo tak to niestety zazwyczaj bywa. *Oderunt quem laeserint*, powiedział jeszcze Tacyt, a dziś się ta prawda praktykuje jeszcze tem częściej, osobiwie tam, gdzie ktoś kogoś oszuka, lecz nie o tyle, o ile sobie zamierzył.

Rzuciwszy się w krzesło młody dziedzic Starodzieńk milczał. Widząc jego usposobienie Do-

biesław i chcąc czempredzej tę nudną sprawę zakończyć, rzekł do niego:

— Kiedyż mi możesz te pieniądze wypłacić?

— Kiedyż ich potrzebujesz? — zapytał mrukliwie Krzesław?

— Jak tylko można najprędzej.

— Ja kapitalistą nie jestem, ale kiedy ci tak pilno, to będę się starał wypłacić ci się niezadługo.

— Bądź łaskaw oznaczyć termin.

— Termin? — powtórzył złośliwie Krzesław i rzekł z nietajoną już złością, — to jutro!

— Ale czy potrafisz zebrać tyle pieniędzy na jutro? — zapytał grzecznie Dobiesław.

— Dziękuję ci za twoją troskliwość, ale to moja rzecz.

Szorstkie te słowa znów uraziły Dobiesława; zaczęł rzekł sucho:

— To proszę cię, siadaj do biórka i pisz.

— Cóż chcesz, ażebyś pisał?

— Naszą umowę i twoje zobowiązanie się.

— Może ci wystawić wexel na jutro? — zapytał z ironią Krzesław.

— Proszę cię siadaj i pisz, — powtórzył dobitniej Dobiesław.

Milcząc już, ale dziwnie kipiący od złości, siadł Krzesław do bióra, a jego brat podyktował

mu dokument zawartej umowy, zrzekając się przytem wszelkich dalszych do niego pretensyi, ale nie szczędząc mu jak najsurowszych rygorów. Nic już na to nie mówił Krzesław, tylko napisał, podpisał, a oddając mu ten papier do ręki, dodał do tego:

— Masz już wszystko, czego sam chciałeś. A teraz może udamy się na spoczynek; jesteś zapewne dosyć zmęczonym....

To rzekłszy, wziął świecę do ręki i zaprowadził swojego brata do gościnnego pokoju.

Przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, czego gościowi potrzeba, podał mu rękę z daleka i rzekł zimno: Dobranoc!

Takie obejście się niezmiernie przykro dotknęło Dobiesława. Widział przed sobą człowieka całkiem spaczzonego rozumu, widział w nim zawsze swojego brata, serce się w nim odezwało, chciał jeszcze nową zawiązać rozmowę; dlatego obejrzał się na stoliczek koło łóżka stojący i spytał:

— A nie dasz mi jakiej gazety?

— Zaraz ci będę służył, — rzekł Krzesław i wyszedł.

Za chwilę wrócił i przyniósł mu *Fremdenblatt* wiedeński. Dobiesław wziął ten świstek do ręki, patrzył na niego, patrzył na brata, i prawie z trwogą zapytał:

— Czy nie masz żadnego polskiego pisma w twym domu?

— Nie mam, — rzekł sucho Krzesław.

— To może masz choć jakieś pismo agronomiczne?

— Nic nie mam, bo nie stać mnie na to. Dobranoc ci.

Dobiesław sam został w pokoju.

Długo jeszcze potem siedział na niskiej sofie, na której mu pościelono, ściskając gorącą głowę obydwiema rękami. Co czuł i myślał, nie trudno zgadnąć. W takim stanie zastać swoje pamiątki rodzinne, w takim stanie rodzinną ziemię i w takim stanie swojego brata: to jest cały świat jak najsroższych boleści. Dobiesław męczył się niemi przez całą noc — a dopiero świt dzienny zamknął jego znużone powieki....

Kiedy się zbudził nazajutrz, słońce letnie grzało już w okna. Na odgłos dzwonka przyszedł służący i przyniósł mu kawę do łóżka.

— Weź to sobie — rzekł do niego Dobiesław — ja nie mam zwyczaju jeść, dopóki się nie ubiorę. Czy pan już po śniadaniu?

— Pana nie ma.

— A gdzie jest?

— Pan jeszcze wczoraj wieczór wyjechał.

Wiadomość ta nie pomału zdziwiła Dobiesława.

Myślał o niej przy ubieraniu i po ubraniu jeszcze przez całą godzinę - i najdziwniejsze przychodziły mu myśli. Zniecierpliwiony wreszcie około południa do najwyższego stopnia, zadzwonił na służącego i kazał mu się zaanonsować do pani. Wyszedł służący, i wrócił, i rzekł:

— Pani przeprasza, że przyjąć nie może, bo jest słaba.

To jeszcze więcej zniepokoiło Dobiesława — a wtedy już sam Bóg tylko może wiedzieć, jakie mu się nie nasuwały domysły. Może temi myślami grzeszył; ależ wszystko tu było podobnem....

Przecież około godziny drugiej zaturkotał jakiś wózek małej przed ogromną wystawą pałacu. To był istotnie Krzesław. Za chwilę wszedł on prędkimi krokami do pokoju brata i rzekł:

— Przepraszam Cię, żem cię tak długo zostawił samego; ale miałem ważne za domem zajęcia. Przywożę ci zresztą pieniądze, bo dziś jest termin wypłaty...

To mówiąc, wydobyl spory pakiet z kieszeni i odliczył na stole trzydzieści i dwa tysiące guldenów. Oddawszy mu je, zapytał:

— Czy tak?

— Tak... odpowiedział Dobiesław.

— Proszę cię o mój rewers.

Dobiesław oddał mu rewers.

— Bądź łaskaw podpisać na nim, żeś twoje należytość odebrał.

Dobiesław podpisał. Na to Krzesław uklonił mu się i rzekł:

— Czy każesz sobie jeszcze czem służyć?

Dobiesław patrzył z niemałym zdziwieniem na niego i jego osobliwe obejście się. Była tu pora do bardzo długiej gawędy. Ale każdy ma swoją ambicję, a tem więcej ktoś taki, który się czuje czystym i zacnym w swoim sumieniu, a widzi piętrzącą się przeciw sobie pychę bydlęcą. Dlatego ominął już wszelką dalszą rozmowę i rzekł tonem suchym:

— Każ mi zaprzęgać.

— Już zaprzężono, — rzekł Krzesław.

— A to tem lepiej! Bądź tedy zdrow! — rzekł Dobiesław, życząc ci opamiętania a przedwyszystkiem pokory....

— A ja tobie szczęścia do kupna Grodowisk, — przerwał mu Krzesław szydlerczo, wyprowadził przed ganek, uklonił mu się i zniknął. —

* * *

Zastanawiając się nad charakterami tych ludzi, którzy porwani pochodnią zysku ugrzęźli w materyalizmie, zaprawdę dziwne się nieraz przed nami przesuwają postacie. Takich charakterów

nie przynosi nam nigdzie nasza historia, co więcej, na ich istnienie nie zezwala nawet czasem psychologia; są to bowiem amalgamata skomponowane w sposób tak dziwny, tak nowy, tak nawet na pozór sprzeczny, że gdybyśmy mieli tyle talentu, ile potrzeba, ażeby je oddać ze zwierciadlaną wiernością, a przez nieudolność naszą nie upodobniali ich znacznie do ludzi, to może-by e okrzyknięto za jakieś niedonoszone pomysły. Wszakże i w takim razie nie było-by się jeszcze czem zafrasować; albowiem na nasze szczęście leży przed wszystkimi otwarta xięga niezaprzeczonego świadectwa, xięga żywego życia — a wobec niej wszelka wątpliwość jest niepodobną. W niej też widzimy żywemi oczyma te dziwotwory XIX. wieku, te dusze przedpotopowe, te monstrualne mamuty i mastodonty umysłem i sercem, choć mieszkające w foremnych ciałach epok dzisiejszych. Nazwałem tych ludzi mastodontami; ależ-bo jest w nich istotnie coś z owych czasów przedpotopowych, kiedy cała dążność ducha tej ziemi ograniczała się tylko na żarłoczności za strawą codzienną, a śmierć zwierząt jednych karmiła swem ścierwem żywoty drugich; — i jest w nich coś z owych czasów późniejszych, kiedy szatan cielesnie się przechadzał po ziemi i właząc w kadłuby ludzi, odzywał się z nich rykiem by-

dlęym, — i jest w nich wreszcie coś z czasów dzisiejszych, gdzie najpotworniejsze porody, gdzie najdziwniejsze obłędy, gdzie najohydniejsze sprośności ludzkiego ducha, umieją na siebie przybierać postacie gładkie, układne i przyzwoite. Z dziwnie też sprzecznych ze sobą przymiotów składają się zwykle ich charaktery. Niewyczerpana twórczość umysłu na wszystkich drogach utilitarnych, a drewniana jałowość we wszystkich innych sferach ludzkiego ducha; żydowska obrotność rozumu tam, gdzie idzie o zyski, a bydlęca głupota w krainie prac i trudów moralnych; brak uczucia, brak religii, brak wszelkiej wiary w ogóle, a ślepa wiara w wszechwładztwo mamony; najniższa podłość we wszystkich czynach mających korzyść na celu, a w wszelkich innych pycha szatańska; na godziny obrachowana rzetelność we wszelkich spekulacjach i przedsiębiorstwach, a mimo to ani krzty uczciwości serdecznej, owszem przeciwnie, piekielna dla wszelkiej serdeczności pogarda: — owóz główne składowe części tych ludzi, których nam czas dzisiejszy coraz więcej przynosi. Wszystko dla siebie a nie dla nikogo, — dopóty istnienia człowieka, dopóki życia na ziemi, — człowiek to świat, a ziemia i ludzkość, naród i społeczeństwo, to tylko rozmaite pastwiska dla niego: to ich religia, to jest ich wiara.

Dobiesław, acz nieraz w swoim życiu praktycznem spotykał się ze sługami a nawet i z kapłanami materyalizmu, nigdy ich nie brał w szczególności na oko, tylko uważał za cząstkowe objawy tego materyalnego prądu, który dziś cały Zachód porwał ze sobą i niesie. A widok ten nigdy go nie przejmował zbyt dużą trwogą. W krajach tych bowiem, w których dotąd mieszkował, prąd ten wielkimi bieżącymi strumieniami, ogarniając sobą prace i interesa całych społeczeństw, bieżąc najczęściej i do celów społecznych. Tego rodzaju prądy ogólne, lubo częstokroć wielkością złego wywołują oburzenie opinii powszechnej, nie dotyczą jednak nigdy tak bardzo boleśnie serca jednostek; a to nie tylko dlatego, iż widać w nich błędy całych społeczeństw albo całej ludzkości, a nie obrzydliwą zwierzęcość naszego brata, człowieka; ale także dlatego, iż wielkość ich grzechów równoważy zazwyczaj choć w części wielkość osiągniętych przez nie pożytków. Tak n. p. jeżeli Anglia nieprawie wyciąga zyski i z kontynentu i ze swoich kolonii, to przez to bogaci się i potężnieje cały naród angielski; tak jeżeli Amerykanie cierpią u siebie ohydny niewolę murzynów, to ta niewola jest jednym z najdzielniejszych środków wzbogacania całego kraju. Są to bez wątpienia kolosalne występki, czasem

ogromne zbrodnie; ale już sama ich wielkość, dając im cechę ogólnego obłądu, odbiera im przez to samo przynajmniej pozór obrzydliwości. Są to zresztą owe wielkie grzechy ludzkości, których od początku świata nigdy na tej ziemi nie brakło — a które, jak nas ku wielkiemu dla nas uspokojeniu naucza historia, ustępują zazwyczaj z ogólnym postępem ducha ludzkości. Takimi grzechami były niegdyś tak głośno wielbione podboje starego Rzymu, mordercze zagony światoburców na Zachód, Xiążęta frymarczący tronami, przywileje rycerstwa, przewagi miast, niewola rolnego ludu... Wszystko to było, wszystko zostawiło po sobie jakieś szkody i jakieś pożytki, i wszystko to swego czasu zniknęło. Z takiego stanowiska uważany, i dzisiejszy prąd materyalny Europy zachodniej jest takim wielkim grzechem ludzkości, który wyrządzi niejedną szkodę, niejedną przyniesie pożytek, i zniknie. Sprzeciwiać mu się stanowczo, mianowicie w tym celu, ażeby go w całości powstrzymać, było-by pracą daremną; choć przed naciskiem jego przewagi tylko tem skrzętniej zaopatrywać potrzeby serca i ducha, jest bez wątpienia pożyteczną a nawet i najzastępczą dzisiaj zasługą. Takiego zdania był Dobiesław.

Oprócz tego ogólnego prądu zdarzało mu się także spotykać czasem i pojedyncze sługi materializmu. Widział ich podłość i obrzydliwość, ale istnienia ich wcale sobie nie brał do serca. Znachodził ich bowiem nietylko po za granicami swojej ojczyzny, ale najczęściej tylko w żydach, przekupniach, faktorach i tym podobnych szachrajach, których zawsze bywało dostatkim; a lubo ich teraz bez porównania jest więcej, niż było kiedykolwiek, nie widział nic w tem dziwnego. W czasach średniowiecznego rycerstwa roiła się ziemia od giermków i paziów; w czasach scholastycznych od mnichów i mniszek; w czasach przemysłu i handlu roi się od przekupniów i faktorów. Tych ludzi zresztą bez czci i wiary, a goniących tylko za chlebem, widywał on tylko w Europie zachodniej, gdzie wyższe cele narodu mają sług i kapłanów dostatkim; gdzie przeludnienie jest wielkie i gdzie istotnie chleb bardzo jest trudny i drogi.... Lecz żeby w kraju takim, — gdzie właśnie ziemi jest wiele a ludzi mało, gdzie jeszcze ów prąd materialny nie ogarnął narodu i nawet go tak nie powinien ogarnąć, bo naród ten w wyjątkowem jest położeniu i ma przedniejsze cele przed sobą, gdzie wreszcie właśnie wyższe i moralniejsze cele narodu tak mało mają sług i kapłanów, — żeby w kraju takim i właśnie

w tej klasie, która ma chleb gotowy, miał spotykać takie charaktery i takich ludzi, o tem ani zamarzył...

Ale spotkał takiego człowieka na samym wstępie — i znalazł go w swoim rodzonym bracie. To go niezmiernie boleśnie dotknęło, to mu całą duszę zatruiło. Jakoż istotnie jak gdyby struty, gorzki nawskrós i nawet mało przytomny, zjechał przed Grodowską plebanią....

* * *

Tymczasem obadwa xieża, którzy go z wielką niecierpliwością oczekiwali, wybiegli ku niemu z otwartem sercem i otwartemi ramionami. Porwali go zaraz z wózek, prawie na rękach zanieśli w wnątrz domu i zarzucili od razu tysiącem pytań. A jak tam? a co tam? czy rzecz skończona? jaki jej ostateczny rezultat? — pytali razem obadwa. Rozjaśniła Dobiesława cokolwiek ta nieudana serdeczność, ale przecież odpowiedział im tylko krótkimi słowy:

— Pod względem pieniężnym wyszedłem może nawet lepiej, niżeli się można było spodziewać; ale pod względem moralnym nigdy nie spodziewałem się tego, com zastał.

— Cóż tedy? — pytali znowu obadwa.

Nie potrzebując tajemnicy robić przed ludźmi, którzy obadwa od lat najdawniejszych należeli

prawie do składu jego rodziny, Dobiesław im opowiedział to wszystko, co znalazł w swym bracie, i z głęboką boleścią odmalował im jego postać wewnętrzną. Dobiesław go jeszcze nie znał w całości, bo i my go tak jeszcze nie znamy; ale już go rozumiał w części a zresztą przeczuł; zaczęł rozwiódł się bardzo boleśnie, nie tyle nad nim, ile nad krajem, jeżeli w nim czołga się więcej takich jednostek....

Wszakże wymowne i bardzo trafne jego uwagi nie wielkie sprawiły wrażenie na xiężach, z dwóch mianowicie powodów. Więc najpierwej dlatego, iż zrozumienie niebezpieczeństwa, jakie krajowi grozi z powodu tej materyalnej zarazy, nie było jeszcze dla ich powierzchownych umysłów na czasie; a powtóre dlatego, iż im obudwom w tej chwili nie chodziło ani o losy Krzesława, ani o widoki kraju na przyszłość, tylko o los Dobiesława i przywiązany do niego w ich sercu los zaprzędanych Niemcom Grodowisk. Zaczem obadwa przypuścili teraz szturm nowy do niego, mówiąc z uciechą:

— Cóżkolwiekbyś, zawsze trzeba Pana Boga pochwalić za to, co się stało, bo przecież już teraz nie brakuje ci środków do wykupienia twojej fortuny a razem i nas z tej niezdolnej niewoli.

— A jakto? — zapytał Dobiesław, — czyż rozumiecie, że ja odebrałem od Krzesława wszystko, co mi się należało? Ledwie połowę... Wszystkiego razem trzydzieści i dwa tysiące.

— A indemnizacya? — zapytał x. Grzegorz ciekawie.

— Jeżeli ją kiedyś wypłacą, to połowa jej do mnie będzie należeć.

— A to odnieśliśmy tryumf zupełny! — zawołał wikary z radością, — Grodowiska są twoje.

— Ja tego nie widzę, — rzekł z roz wagą Dobiesław; — proszę policzyć. Ileżby trzeba dać za Grodowiska?

— Kupisz je za sto tysięcy ze wszystkimi inwentarzami i porządkami — a może nawet i taniej...

— No, więc gdzież ja mam środki po temu? Na Grodowiskach jest dwadzieścia tysięcy długów instytucyjnych, które mogą pozostać przy gruncie; trzeba-by więc mieć jeszcze ośmdziesiąt tysięcy, a ja mam na to trzydzieści, z indemnizacyą niechaj będzie pięćdziesiąt. Gdzież jeszcze trzydzieści? a gdzież fundusze na prowadzenie gospodarstwa tak obszernego?

— Ale to wszystko jest bagatela! — mówili xięża, — połowę długu mieć na majątku to u nas rzecz prawie zwyczajna. Zajrzyj do xiąg

hipotecznych, a przekonasz się, ilu jest takich, którzy ich mają mniej? A iluż takich, którzy ich mają daleko więcej; a przecież żyją i nikt ich nie wyrzuca z majątków, i nie wyrzuci, bo każdy wie, że w latach złych mogą zawsze opłacić prowizyą, a kilka lat dobrych wszystkie ich długi popłacą.

— Mój xieże Grzegorzu, — rzekł na to Dobieśław, — wy dziwne macie tak o posiadaniu ziemi, jak o gospodarstwie, wyobrażenie. Zapewne że dzisiaj w całej już Europie zachodniej jak nie masz Państwa, tak nie masz i posiadłości bez długów; lecz trzeba wiedzieć, że długami takimi, które się dadzą z posiadłością ziemską pogodzić, są tylko długi instytucyjne, to jest długi takie, gdzie się kapitał procentami umarza. Prócz długów takich dopuszczalnych jest dla rolnika tylko dług jakiś bieżący, chwilowy, zaciągnięty w banku rolniczym na rachunek dochodów i płatny w terminie krótkim. Wszelkie zaś długi inne, procentowe, wypowiedzialne, nie dadzą się w żaden sposób z posiadaniem ziemi pogodzić. Zapewne, że kto takie długi już odziedziczył, ten musi je cierpieć; chociaż i ten także daleko lepiej-by zrobił, gdyby się obliczył zawczasu i odciał część swojej posiadłości dobrowolnie, niżeli-by ją miał kiedyś w całości utracić. Ale

długi takie zaciągać i za ich pomocą większe kupować dobra, niżeli się ma środków własnych, jest to poprostu i świat oszukiwać i siebie; czyli mówiąc wyraźniej, udawać właściciela kawałka ziemi, na którym się jest właściwie tylko ekonomem kapitalistów. Jeszczeż gdyby tylko o to chodziło, to w pewnych wypadkach można-by się i na to zdecydować; ależ tu na tem nie dosyć; bo pytam się was, jakież może być koniec takiej roboty? Przecież dług taki wiecznie na dobrach ciężać nie może, bo ma swój termin wypłaty; a czyż jest podobieństwo spłacić go dzisiaj z dochodów rolnych? Dobrze lata, zapobiegliwość, praca, oszczędność i t. d. wszystko to są w tem razie tylko puste frazesy — i przepraszam was, że to powiem otwarcie, — frazesy takie, na których jeszcze tylko w Polsce budują się tak wielkie widoki, gdzie wogóle wszystkie przedsiębiorstwa podobne bywają daleko częściej skutkiem zachcenia albo kapryśnej chciwości, niżeli roztropnego wyrachowania. Ale ja, który całą młodość strawiłem w podobnych pracach, mogę was o tem zapewnić, że z taką rachubą zamiast kapitałów, nigdy się w zawód rolniczy puszczać nie można.

To rzekłszy, wyczekiwał Dobiesław odpowiedzi od xięży.

Ale obadwa sięgła milczeli.

I milczenie to trwało chwilę przydłuższą.

Dopiero po chwili i po kilku ciężkich westchnieniach zabrał głos wikary i rzekł:

Prawda — i wielka prawda. Ale mój Dobiesławie! czy ta prawda powinna być do naszego położenia zastosowaną tak ściśle, że nic już nie można powiedzieć? Czy chodzi tu o to, ażebyś ty, zakupując Grodowiska, zrobił koniecznie korzystny interes; czy tylko o to, ażebyś się przy nich choć jakkolwiek, choć-by i z trudem, choćby i z poświęceniem utrzymał? Czy wykupienie twojej rodzinnej ziemi, czy wyjarzmienie tylu tysięcy dusz szczeropolskich z cudzoziemskiej niewoli, czy wreszcie danie tak pięknego przykładu psowającej się braci, nie warte jest twoich poświęceń a choćby nawet i strat majątkowych? —

— A! to co innego! — zawołał na to radośnie Dobiesław, — tak do mnie gadajcie! Tak wam trzeba było do mnie przemawiać od razu! Nie do rolnika z zawodu, który waży rozumem, ile ziarn która ziemia przyniesie, — nie do kapitalisty, który pragnie jak najlepiej umieścić swe kapitały, — nie do realisty, który w każdej sprawie szuka tylko realnych korzyści, — trzeba wam było w tej sprawie zapukać; ale do człowieka, do Polaka, do obywatela — a wtedy-byście byli

wszystko od razu zyskali. Ale wy, żyjąc w tych czasach fatalnych, już-eście się sami nie wiedząc o tem tak zmateryalizowali, że-ście mnie nawet do tak idealnej sprawy, jaką w tym razie jest wykupienie rodzinnego majątku, nie umieli znie-walać czem innem, tylko materyalną korzyścią.... Dobiesław chciał mówić dalej; ale tymczasem wikary rzucił mu się na szyję, wołając prawie ze łzami:

— Przepraszam cię, przepraszam z całego serca; ale taki dziś świat, tacy ludzie.... Więc nie opu-ścisz nas? wykupisz nas z tej niewoli?

— Oczywiście, że was nie opuszczę, — rzekł na to wesoło Dobiesław, — i podzielę z wami te losy nasze, choć-by były najgorsze. Tylko nie wymagajcie odemnie więcej nad możność i nad to, co każe zrobić roztropność. Czasy rozpaczli-wych uczynków już przeminęły i nie powinny powrócić. Niecierpliwością, nadmiarem fantazyi, zbytciem wiary w szczęście minionych wieków, jużśmy zanadto wiele stracili, aby nam wolno było jeszcze na nowe narażać się straty. I cóż mamy do utracenia? — oto tych kilka kawałków ziemi, tych kilka groszy — ostatnich! To jeszcze straciwszy — już tylko w grób nam się położyć i wzniesć nad sobą krzyż zapomnienia.... Miejcie tedy cierpliwość i przede wszystkim dajcie mi

czas do dokładnego zbadania istoty rzeczy. Co zrobię? Czy Grodowiska wykupię? czy, wezmę w zastaw, w administracyą albo dzierzawę? sam jeszcze nie wiem; ale możecie być przekonani, że zrobię wszystko, co będzie przy moich środkach i siłach możebnem.

— Będziemy cierpliwi i wyrozumiali, — zawołali obadwa xięża, — ale zmiłuj się, nasz kochany, nie trać już czasu ani momentu. To nie jest pora do wyczekiwań. Niemcy są w położeniu krytycznem, drżą z trwogi, upadają prawie w rozpacz. Z takiej chwili trzeba korzystać — i trzeba korzystać raźnie, bo za lada momencik może im przyjść jakiś ratunek; a wtedy może trzeba będzie dać sto za pięćdziesiąt, a może i nie zrobić nie będzie można. Tak samo jak my czuje i cała gromada — i patrz! oto już przybiegła do ciebie....

To mówiąc wikary wskazał na okno. Dobiesław spojrział — i w samej rzeczy obaczył cały dziedziniec plebanii zalany wiejskim ludem Grodowskiego państwa. Dobiesław jeszcze w czasach swojego pacholęctwa starał się zasługiwać na miłość i poszanowanie u ludu, i był od niego rzeczywiście kochany. Pamiętano mu tę miłość do dziśdnia. Toż dziś, kiedy się dowiedziano o jego przybyciu, przybieżono ku niemu. Mężowie

i parobczaki, starcy, niewiasty i dzieci, wszystko to się zbiegło chmurami, ażeby swego ukochanego panicza powitać.

Dobiesław wyszedł ku nim na ganek. Rozgłosnym szmerem powitała po cała gromada; jedni krzyczeli, drudzy ściskali go za kolana, trzeci płakali. Dobiesław wszedł między nich, jednych poznawał, o drugich się pytał, a każdemu umiał powiedzieć coś takiego, że chłopci mówili: — Choć-byśmy pana nie poznali po twarzy, to-byśmy poznali po głosie, bo takim głosem jeno wy potraficie przemówić. — Nareszcie zgromadziła się koło niego starszyzna i zaczęła radzić o sprawie powszechniej.

— Cóż tam, panie nasz drogi? — pytali poważni gazdowie, — jakieście-ta wyszli przy dziele?

— Żle, moi drodzy, — mówił Dobiesław, — mój brat powikłał się w interesa i niewiele mi mógł udzielić.

— Tak'eśmy to sobie myśleli! — rzekli chłopci, kiwając smutno głowami. — Z tym waszym bratem niełatwa sprawa. Już tu i żydzi się skarżyli na niego... No, ale przecieście tyle zdobyli, że ojcowiznę wykupicie od Niemców?

— Trudno to będzie, — rzekł im Dobiesław, — mam tak mało pieniędzy, że nie ma się z czem porywać.

Niezmierznie się zfrasowała starszyzna tą wiadomością, ale go otoczyła jeszcze tem cieśniej. I zaczęli go badać: ile ma? ile jeszcze mieć może? ile żądają Prusacy za Grodowiska? i t. d. A wyrozumiawszy wszystko, nabrali dobrej otuchy i tak mówili:

— Ej! jakoś to będzie! Prusacy giną, dadzą się pociągnąć. Kupisz Jegomość to państwo za bezcen. A byle tylko kupić, to już się ta jakoś zapłaci. Coś dasz Jegomość gotówką, coś przejmiesz w długach, a wierzyciele wam poczekają, a kiedy-by trzeba, to i u nas coś się ta znajdzie; więc pożyczmy Jegomości choć-by i bez procentu. A już o resztę się Jegomość nie frasuj, choćbyś się został i bez grosza. Będziemy wam robić jak sobie samym, a o zapłatę nikt się nie upomni...

Dobiesław był zdumiony tą gotowością ich do takich ofiar, zdumiony do tego stopnia, że nie mógł im od razu uwierzyć, i rzekł:

— Dziękuję wam z całego serca za tę ofiarę; ale zmiłujcie się, cóż też wam na tem zależy, żebym koniecznie ja Grodowiska zakupił a nie kto inny? Czy ten pan siedzi we dworze, czy drugi, przecie wam to na jedno. Jesteście wolni, nie macie żadnych względem dworu obowiązków ani dwór względem was, cóż was ten pan może obchodzić?

Nie umieli mu się chłopci z tego usprawiedliwić dokładnie, tylko mówili poprostu:

— Ale gdzież nam panie na jedno! Jeszcze wy tego nie wiecie. Nie jedno to człowiekowi, czy swój mu sąsiadem, czy mu taka obczyzna wonieje pod nosem. Oj! nie jedno to, panie! nie jedno! Już nam te zawłoki kością w gardle stanęli! Jużbyśmy może i do pańszczyzny wrócili, gdyby tylko ich lichy zabrało nam z karku....

Tak mówiła gromada.

A Dobiesław miał najlepszą sposobność przekonać się, w której-to warstwie jest najgłębsza ku obczyźnie odraza, jeżeli nie w tej, która się nie rządzi wyszlifowanym rozumem, tylko sercem i tradycjami. I tu mu się jeszcze tem jaśniej przedstawiły obowiązki tych, którzy z położenia swego są powołani, i wprowadzać oświatę pomiędzy lud wiejski, i stać na straży jego zbawienych dla przyszłości narodu tradycji....

Takie usposobienie wiejskiego ludu, przechodzące się pomimo tak ważnych zmian społecznych w jego umyśle i sercu do dziś dnia, ujęło tem bardziej Dobiesława dla niego. Uwierzył w ich obietnice jak w starodawne słowo szlacheckie. I długo jeszcze potem z nimi rozmawiał. A kiedy wszedł do plebanii napowrót, to powitał xięży rozpromienioną twarzą i rzekł do nich wesoło:

— Z takim ludem żyć i umierać! Z takim ludem można też coś przedsięwziąć...

Był-by mówił dalej; ale tymczasem dostrzegł, że kanonik miał nowych gości. Wszyscy trzej Prusacy siedzieli na kanapie, rozmawiając z gospodarzem domu. Obaczywszy Dobiesława, powstali z miejsc i witali go więcej może z ciekawością, niżeli z uszanowaniem. Niebawem zastawiono herbatę, a razem z nią wino kipiące, ulubiony napój Prusaków. Przy herbacie i winie rzucili księża projekt zakupu Grodowisk przez Dobiesława. Nie byli od sprzedaży Prusacy i nie był od kupna Dobiesław. A lubo to był dopiero projekt, na co się obiedwie strony zgodziły, niecierpliwi w swojej radości księża kazali wносить wazę za wazą — a nim wybiła godzina dziesiąta, pito już zdrowie nowego dziedzica Grodowisk.

Do roku 1859.

Że z Prusakami zawsze nie łatwa jest sprawa, wiadomo jest każdemu, kto z nimi kiedykolwiek miał do czynienia. Wiadomo to i temu, który z nimi nigdy nie miał do czynienia, a tylko zna historią stosunków Polski z Krzyżakami. Wiadomo to wreszcie i takim, którzy nawet i tej historii nie znają, a tylko przypatrują się pilnie ich teraźniejszym robotom w W. X. Poznańskim.... Dobiesław znał ten przezacny naród oddawna; znał go nawet lepiej od innych, bo widział ich zachowanie się w swoim własnym majątku; ale przecież się nie spodziewał, ażeby miał z nimi sprawę tak trudną, jak się to okazało w rzeczywistości.

Jakoż w istocie, chociaż ci ludzie znajdowali się w położeniu tak rozpaczliwem, iż zdawało się, że brzytwy się chwycą, kiedy im się nawinie: przecież gdy przyszło do rozmowy na serio,

postawili mu tak twarde warunki, iż niepodobna mu było ich przyjąć ani nawet w połowie. Co było tego powodem? czy uzyskali tymczasem jakiś chwilowy ratunek? czy jakiś nowy spółnik zabłysnął im obietnicą pomocy? czy sobie uroili, że Dobiesław ma krocie w kieszeni i musi Grodowiska zakupić? było to tajemnicą; to wszakże pewna, iż stanęli tak do tej sprawy, jak gdyby im na sprzedaży Grodowisk nic nie zależało, a ich istnienie było ubezpieczone na wieki. Jest starodawne przysłowie: że najgorszy diabeł jest na wychodnem, — i to przysłowie się teraz sprawdziło; Prusacy wystąpili przeciw Dobiesławowi jak diabli.

Widząc to xięża, niezmiernie się tem sfrasowali. Dobiesław był trochę spokojniejszym i mówił: — Miejmy cierpliwość. Każdy chce zrobić jak najlepszy interes, tak też i oni; ale jak się przekonają, że dobrego interesu zrobić nie mogą, to zrobią i mniej dobry....

Wszakże Prusacy mieli także cierpliwość. Cierpliwość była główną ich cnotą; przecież byli Niemcami. Toż trzymali się stale raz postawionych warunków i zrazu nie chcieli ani na jotę od nich odstąpić. A dziwnie twarde-to były warunki. Żądali za Grodowiska sto pięćdziesiąt tysięcy, a oprócz tego *Herr von der Ecke*, jako ich głowa,

ządał dla siebie renty dożywotniej po tysiąc talarów co roku. Nie brakowało i innych pomniejszych wymagań, jako utrzymania piwowara i gorzelnika przy ich dotacyach, przejęcia zaległości instytucyjowych, podatkowych, drogowych i t. d. Zgoła byłoby wymagania takie, że gdyby było Dobiesławowi na kupnie tych dóbr nie zależało, to był-by nawet z nimi nie mówił. Ale on chciał kupić Grodowiska — i dlatego targu nie rzucał. Ofiarował im wprawdzie od razu tylko osmdziesiąt tysięcy, ale postąpił na dziewięćdziesiąt, a nareszcie na sto tysięcy. Spuścili coś i Prusacy.... ale niewiele. Targi te trwały przez cały tydzień — i nareszcie tak zmęczyły Dobiesława, że zaczął już tracić cierpliwość. Nie można jej było nie tracić, a to nie tylko dlatego, że sprzedający wymagali sum niemożliwych, ale także dlatego, że postępowanie ich było tak brudne, iż samą brudotą swoją nużyło. Ilekroć wszyscy trzej byli razem, wtedy zdawali się być zgodni ze sobą i wierni ogólnie przyjętym dążnościom; ale ilekroć który z nich się sam znalazł z Dobiesławem, każdy gotów był swoich towarzyszy zdradzić i zaprzedać. Tak *Herr von der Ecke* proponował mu w sekrecie, iż jeżeli mu tylko jego renty zapewni, to on to zrobi, że Grodowiska zostaną sprzedane za bezcen. To

samo proponował mu *Düsseldorfer* za sześć tysięcy talarów, — to samo trzeci spółnik za dzierzwę jakiegoś folwarku. Najwierutniejsze obrzydliwości! — Dowiedziawszy się o tem xięża, mówili Dobiesławowi:

— Wiesz co, korzystaj z tego szelmostwa. A co ci to szkodzi? Są położenia, w których się nie jest obowiązany do bardzo skrupulatnego wyboru pomiędzy środkami....

Dobiesław się nad tem namyślał, ale nie mógł się zdecydować. I odpowiedział xiężom:

— Nie, ja tego nie potrafię. Przekupstwo w tym razie może-by nie było grzechem śmiertelnym; ale takimi środkami nigdy nie walczyli Polacy.. Ja, jeżeli sobie w wyborze środków, przeciw nim służyć mogących, rozgrzeszę sumienie, to inną wybiorę drogę. Wystąpię do walki otwartej: kto będzie miał więcej przyjaciół, ten zmoże; tak zawsze u nas bywało....

Xięża byli niezmiernie ciekawi tej walki; ale Dobiesław milczał. Tymczasem, zniecierpliwwszy się do ostatniego stopnia, zwołał Prusaków do siebie i postawił im ostateczne od siebie warunki. Ofiarował im sto dziesięć tysięcy za Grodowiska z inwentarzami i porządkami. Rozhovor o to trwał przez całą godzinę; ale się skończył na niczem. Prusacy warunków tych nie przyjęli. Dobiesław

się zgniewał, a żegnając się z nimi, dał im słowo, że już ich nigdy nie zaczepi. Tak się skończyły targi o Grodowiska.

Po odejściu Prusaków w komnacie proboszcza głucho zapanowało milczenie. Obadwaj xięża siedzieli w krzesłach z pozwieszanemi głowami i nie śmieli ani słowa przemówić. Dobiesław nie był smutnym, ale tym zawodem się tak zirytował, że nie miał także ochoty do konwersacyi. Uważał pilnie na niego wikary i czekał, póki się nie uspokoi; a potem rzekł:

— Nieszczęśliwi są ci Polacy! nic im się nie wiedzie.... Uważając losy pojedynczych ludzi w dzisiejszej Polsce i widząc, jak jednego, któremu się jakokolwiek powodzi, otaczają zazwyczaj tysiące nieszczęsnych — i widząc dalej, jak ten jeden najczęściej nie wart trzech groszy, a pomiędzy tysiącami znajduje się mnóstwo takich, którzy kiedyś wiele zaważą u Boga, i w innym kraju zaszli-by bardzo wysoko: przychodzę prawie do przekonania, że nad nami wszystkimi jakaś zła gwiazda zawisała, że jest jakaś fatalność, że w xiędze naszych wyroków stoi zapisane to straszne słowo: Przepadli! Myśląc nad tem, przypominają mi się niezmiernie trafne słowa Lelewela, które o naszym ostatnim krolu napisał: „Stanisław August, jak każdy Polak nieszczęśliwy.“ Ja

nad temi słowami kilka godzin siedziałem. W nich leży ogromna prawda dziejowa, w nich się zamyka cały system historyo-zoficzny...

— Tak, — rzekł na to Dobiesław, — w tych słowach zamyka się cały system historyo-zoficzny... Ale Lelewel te słowa podobno spiący napisał, bo nie licują one wcale z jego wiarą i zasadami. Niech też nas Pan Bóg broni od przyjęcia takiego systemu. Podług niego zwalili-byśmy wszystko na naszą nieszczęśliwość; a wtedy nie pozostałoby nam nic, jak ugiąć nasze karki pod brzemieniem nieszczęścia i milczeć. Żeśmy nieszczęśliwi od wieków, któż tego nie widzi? Ale każdy skutek ma swoją przyczynę. Więc dlaczegośmy nieszczęśliwi? Bośmy jako Naród i Państwo upadli i jesteśmy dziś wystawieni na igraszkę złych losów i ludzi. Ale dlaczegośmy jako Naród upadli? Bośmy nie chcieli i nie umieli naszemu upadkowi zaradzić. W tych słowach, mój xiężu Grzegorzu! leży ta wielka prawda dziejowa, która powinna urodzić cały system filozoficzny, dziś dla nas potrzebny, ale nie w tamtych, które ukochany przezemnie Lelewel raczej jako litościwą jałmużnę dla króla, niżeli jako prawdę dziejową napisał. Nie radziliśmy sobie wtedy, nie radzili potem, nie radzimy dziś; i w tem leży całe nasze nieszczęście. Ale zaprawdę

czas już jest wielki, ażebyśmy zaprzestali wierzyć w takie pogańskie przesady, jak fatalne nieszczęście, i w takie chorobliwe fantomy, jak miłosierdzie sąsiadów, — a zamiast tego uwierzyli nareszcie w siebie i w tego jedyne Boga, który powiada: „Kto sobie pomaga, temu ja pomogę.“ Ja przynajmniej mam zawsze tę wiarę i jestem zawsze gotów do pracy. Z taką pracując wiarą, nie przypominam sobie ani jednej rzeczy, którą-bym zamierzył a której-bym nie osiągnął. Tak-by się działo każdemu, gdyby miał taką wiarę i pracę; i tak-by się działo nam wszystkim, gdybyśmy wszyscy wzbudzili w sobie tę wiarę i wzięli się razem do pracy....

Te kilka słów otrzeźwiły wikarego jak ze snu. Wprostował się w krzesło i rzekł:

— Powiedziałeś prawdę, której nikt nie zaprzeczy. Ale czy i to prawda, że ci się wszystko zawsze powiodło, co przedsięwziąłeś? A zamiar kupna Grodowisk? —

— To jeszcze rzecz nie skończona.

— Jakto? zapytał wikary, zrywając się z miejsca, — wszakże zerwałeś z Niemcami?

— Zerwałem umowę dobrowolną, ale przecież jeszcze nie odstąpiłem zamiaru.

— Nie odstąpiłeś? — O! mój najdroższy! jakże

cię kocham za to marne słóweczko! — Ale proszę cię, cóż teraz poczniesz?

— To... obaczmy — rzekł na to Dobiesław. — Rzecz ta jest godną dokładnego rozmysłu, bo tajemnicą jest dla mnie, dlaczego Prusacy, pomimo że się znajdują w położeniu tak rozpaczliwym, odrzucają moje oferty w każdym razie takie korzystne? O ile rozpoznałem ich stan finansowy i ich wzajemne do siebie stosunki, zdaje mi się niepodobieństwem, ażeby im mogła być jakaś stanowcza pomoc przypłynąć z kądinną. Jestem prawie pewny, że mógł tu zajść tylko następujący wypadek. Oto rozeszła się wieść po okolicy, że ja przyjechałem, że przyjechałem z wielkimi pieniędzmi, że może nawet liczę na jakąś pomoc pieniężną z Francyi i że chcę Grodowiska koniecznie zakupić. Na podstawie tej wieści, którą zapewne sami rozsiali, uzyskali u swych wierzyteli spokój chwilowy — a uzyskawszy czas, myślą że wszystko zyskali, bo im się zdaje, że ja się zniecierpliwę i dam im się ze skóry obedrzeć. Jeżeli tak jest, to omyłka ich będzie szkaradną. Bo ja się pewnie nie zniecierpliwę — a teraz nawet przeciwnie, ich zniecierpliwę. I bodaj-by to tylko nie było ze znacznemi dla nich stratami.... Nie chciałem tego, Bóg mi jest świadkiem. Za wyniszczenie mojej ojcowizny, za

znieważenie moich rodzinnych pamiątek, za krzywdy naszego ludu, chciałem im się dobrą wolą wywdzięczyć; ale mnie odtrącili od siebie. Teraz pójdziemy uporem na upór, ząb za ząb i oko za oko. Och! jakże-by mi tu mógł być pomocnym Krzesław! Pomocą swoją mógł-by połowę swoich przewinień odkupić! Ale to trudno. Dlatego, że on brata odstąpił, ja moich braci nie odstąpię — i pójdę w tę drogę bez niego....

Niezmiernie się temi widokami Dobiesława zajęli obadwaj xięża i długo w noc z nim rozmawiali. Nareszcie wygodny kanonik zaczął drzemać pomału i skończył na tem, że się do snu ułożył; ale staruszek z młodzieńcem nie spali przez całą noc, naradzając się nad dalszem postępowaniem przeciw Prusakom.

Od tego czasu jakieś dziwne nieszczęścia zaczęły prześladować właścicieli Grodowisk. Wszystko w polu wyginęło marnie. Nie było rąk do roboty. Napróżno wypytywali się Prusacy o Dobiesława — nawet wieść o nim zaginęła!

Tymczasem Dobiesław był od Grodowisk bardzo niedaleko i wszyscy o nim wiedzieli; tylko tym obcym przybyszom, nie mającym ani stosunków, ani przyjaciół w kraju, trudno go było odszukać. Zerwawszy z nimi i chcąc ich zostawić do czasu ich własnemu losowi, zaczem będąc zupełnie wolnym w tej chwili, pojechał odwiedzić swoich krewnych, Wapnowskich. Odwiedziny te były nawet jednym z jego obowiązków najpilniejszych, — a to nie tylko dla tego, iż byli to bliscy jego krewni i nieszczęśliwi, — ale także dla tego, iż jego brat Krzesław obszedł się z nimi tak niegodziwie, że pewnie tam jego imię zostało przeklętem, co wymagało koniecznej ze strony Dobiesława naprawy.

Gdzież byli Wapnowscy? — Czy byli już dzisiaj nędzni, czy tylko ubodzy? — Czy w swoim materialnym upadku popadli za przykładem Niemców w brudy, występki i zbrodnie? czy potrafilili swoją zacność zachować nawet i w nieszczęściu? — Wszystko to nas nadzwyczaj zbliśka obchodzi, nie tylko dla nich, ale także dla tego, iż dziś takich podupadłych rodzin jest w naszym kraju bardzo wiele, a wszystkie mniej więcej zachowują się jednakowo.

Otóż o parę mil od Starodzięk, trochę głębiej ku góróm, ale w dość położystej okolicy a

w miejscu nadzwyczajnie zacisznem, leży niewielka wioska, która nazywa się Wierzbna. Wioska ta należała wtedy do pewnego prawnika, który niegdyś, dopóki piastował urząd publiczny, zajmował się interesami Wapnowskich. Był to człowiek obcego niegdyś nazwiska i pochodzenia, ale pomimo to nie był wcale Galicyaninem; bo urodziwszy się na ziemi polskiej, wychowawszy i wyżywiwszy się na niej, stał się już zmlodu, jak wielu innych jemu podobnych, najwierniejszym jej synem. Był on też człowiekiem zacnym i powszechnie kochanym — a nawet swemi cnotami i zasługami doprowadził do tego, że jego nazwisko, aczkolwiek obce, brzmiało w uszach całej prowincyi dźwiękiem zupełnie swojskim i daleko piękniejszym, niżeli niejedno z tych nazwisk rodzinnych, które zna jeszcze Paprocki, ale które pomimo to wywołuje bardzo nierodzime oddźwięki. Jest to wielkim dla Polski zaszczytem, że mimo swych cierpień, ubóstwa i poniewierki, w której dziś żyje, umie tak miłościwie przygarbiać do siebie nawet obce rodziny; wszakże jeszcze daleko większym zaszczytem jest to dla owych rodzin, bo trzeba bardzo wzniosłą mieć duszę, ażeby się zbratać z nieszczęściem...

Takiej też cnocie miał Stanisław Wapnowski do zawdzięczenia los swój dzisiejszy. Albowiem

znalazłszy się nagle bez dachu i posiedzenia, a znając wypróbowaną zacość swego dawnego patrona, wprowadził się nawet bez zapytania do Wierźbnej. Pojechał potem do niego i uzyskał bez żadnej trudności nietylko dzierzwę tej wioski za cenęumierną, ale nawet swobodę płacenia rat z dołu. Wszystko to było dla niego z nieobliczoną korzyścią; bo najpierw, zostawszy się po nagłej sprzedaży Starodzieńk prawie bez żadnych funduszów, nie był-by był w stanie wziąć żadnej innej dzierzawy; a powtóre, zamieszkawszy we Wierźbnej, pozostał się blisko Starodzieńk, na czembardzo wiele mu zależało, bo tam nietylko miał jeszcze znaczne na gromadach zaległości bierne, ale także nadzieję odmówionej na teraz indemnizacji.

Jednakże jakież-to los jest dzierzawcy? — Zapawne że teraz mało które przedsiębiorstwo jest korzystniejszem niż dzierzawa w Galicyi, choćby tylko dlatego, iż wypuszczają zazwyczaj swe dobra tylko właściciele tacy, którzy sami nie z nich wyciągnąć nie mogli, a zatem wypuszczają je tanio; ale te korzyści stoją otworem tylko dla dzierzawców takich, którzy mają znaczne kapitały i są gospodarzami z profesyi. Dzierzawca ubogi, bez odpowiednich funduszów, do dzierzawy zmuszony, to nędzarz wieczysty.... Przecież Wap-

nowskich łaska Boża, pomoc pocziwych ludzi, a głównie ich własna roztropność ochroniła przynajmniej od tej nędzy, która jest odrażająca; owszem, zachowała ich przy tem ubóstwie, które dla serc niezsutych ma w sobie coś pociągającego....

Bardzo pocziwym był przez całe życie właściciel Wierzbnej, wielkiego majątku nie zrobił, zaczęła jego wioska była dosyć chudobną. Na niewielkiej wyniosłości, nie opodal od rzeki, stał mały dworek drewniany, słomianą nakryty strzechą, z gankiem opartym na czterech słupach. Stał on po staroświecku w ciasnocie gospodarskich budynków, ogromnych sadów i rozległych warzywnych ogrodów, a na małym dziedzińcu rozlegała się lipa tak ogromna, że swemi rozłożystemi konary zacieniała prawie całe obejście. Do tego jeszcze całe to obejście było jakby obmurowane sążnistemi płotami z gęstą, cierniową koroną, a wjazdu strzegła olbrzymia brama, drewnianemi zjeżona kolcami. Wjechawszy tutaj, zdawało się jakoś tak ciasno i duszno, i tak bardzo ubogo, że się aż smutno robiło na sercu. Jednak po krótkiej chwili całkiem inne opanowywało przybyłego gościa wrażenie. Była tu bowiem przedewszystkiem taka cisza.... jaką na tej ziemi tylko grób jeden dać może. Na taką uroczystą, wspa-

niałą ciszę zdobywa się także czasem natura; a wtedy wyrastają człowiekowi jakoby skrzydła od ramion, jego duch wznosi się na nich wysoko, i widzi tęczowe brzegi zakrytych przed nim zaświatów. Są to jedyne chwile, w których duch ludzki, brzemieniem ciała przykuty do ziemi, ma jasne widzenie swojej wiekuistej przyszłości. Chwile takie pozostają nam zwykle na zawsze w pamięci, i w każdej ciszy wracają do nas jako daleko więcej uroczyste i zachwycające wspomnienia, niżeli najpiękniejsze sny naszej młodości.

W takiej chwili, w dzień letni, gorący, ale już dobrze schylony ku wieczorowi, zajechał Dobiesław do Wierzbnej. Zajechał przed bramę, a zastawszy ją zamkniętą, zszedł z wózka i wszedł pieszo przez furtkę. Przy furtce spotkał człowieka, od którego się dowiedział, że pana nie masz w domu, ale że wyszedł tylko na pole i niebawem powróci. Dobiesław pomimo to wszedł na dziedziniec, i chcąc na gospodarza zaczekać, siadł na ławeczce pod lipą. Siedząc oglądał się po obejściu z uwagą, ażeby ze szczegółów tam znalezionych zrobić sobie pojęcie o położeniu swych krewnych. Jego oko, przyzwyczajone we Francyi do błyszczących dachów i murów, do szpalerów i trotoarów nawet w siedzibach ubogich rolników, widząc tu strzechy słomiane i węgły drewniane,

uczulo się dotkniętem bardzo niemile. Przypomniał sobie pyszny pałac w Starodziekach, tamtejsze budynki, dziedzińce, ogrody — i przykro mu się zrobiło, bo zdało mu się, że widzi głodną, obdartą i niezaradną nędzę przed sobą. Ale pomału to pierwsze wrażenie zaczęło przemijać. Ten spokój poważny, ta uroczysta cisza, którą tu znalazł, a która się nędzy nigdy nie trzyma, zaczęła jego duszę całkiem inaczej nastrojać. W tej ciszy zniknęły mu prędko z przed oczu zagraniczne wspomnienia, a objawił się przed nim tylko kącik ojczystej ziemi, może niejednem przyciśniony cierpieniem, ale nawet w cierpieniu Bożym ubłogosławiony spokojem. I zniknęły mu wszelkie murowane, kryształowe, złożone przybory człowieka, podług których zmateryalizowane oko dzisiejsze mierzy nieszczęście lub szczęście; a stanął przed nim człowiek sam, jak się jego dusza i serce na otaczającej go naturze wyciska. A wtedy obaczył, iż było tutaj ubóstwo, ale nie brakowało piękności ubóstwa. Domek był mały, lecz wybielony czyściutko; przez okna wyglądały jasne firanki, pod oknoma kwitnące bujały krzewy, a dziedziniec był umieszczony jak pokój. Duch porządku i pracy był tutaj widocznym, — a przy nim nie było widać wcale niedostatku lub głodu. Owszem przeciwnie,

w przytykającym tuż do dziedzińca ogrodzie było widać grządki pouprawiane starannie, a na nich jarzyny porozrastane prawie potwornie. Pomiedzy spiętrzonemi na sobie olbrzymiemi liśćmi buraków i brukwi wystrzelała kukurudza wysmukła jak sosna; wędrownie dynie powyłaziły na zarośnięte bujnym powojem płoty i świeciły swojemi żółtymi łysinami jak słońca; w gęstwinę leśną rozbijały na tykach wiecznie kwitnące fasole — a brzegiem ciągnęły się jak tanecznice w balecie różnobarwnemi kwiaty błyszczące malwy i ślasy. Środkiem tego wszystkiego prowadziła ścieżeczka zielonym po obu stronach bryzowana barwinkiem — a na jej końcu znajdowała się obszerna baniasta altana, okryta bujnemi liśćmi dzikiego chmielu. Za altaną i w koło domu był sad, — ów sad staropolski prawdziwy, gdzie-to gałęzie drzew starych, obwieszane owocami tak gęsto, że liści nie widać, zginają się pod ich ciężarem do ziemi, — gdzie grusze stare przenoszą swemi pochylonemi czołami wysmukłe topole, — gdzie całe gaiki malin płaczą się między drzewami, ułaskawiona sarna wita przychodnia błyszczącemi oczyma, zając się pasie na koniczynie, a mchami zarosły dąb, niosący na swoim czole gniazdo bocianie, strzeże od kilku wieków tego ubożego dobytku. Od tych ogrodów roznosiła się woń,

owa woń pimieszana, pełna, sycąca, woń tłustej, rumianej, obładowanej owocami natury, — a w koło lipy brzęczały roje roboczych pszczołek, świadcząc jawnie, że nie brak tu nawet słodyczy...

Dobiesław przypatrywał się pilnie tej bogatej chociaż tak małoznanej światu naturze, — przypatrywał się pracy tych ludzi, którzy może niezręcznie i nieumiejętnie, jednak pracują tyle, że praca ich zaspokaja głód i pragnienie, a nie staje się namiętną, nienasyconą, zwierzęcą pogonią za zyskiem, — przypatrywał się wreszcie tej staropolskiej zagrodzie, która może od czasów Bolesławowskich nie zmieniła swojej postaci, lecz z której za to Bolesławowski duch jeszcze dzisiaj zawiewa.... W tej uroczystej, poważnej ciszy dusza jego się nastroiła na ton wysoki, jego uczucia rozlały się po ziemi rodzinnej, jego duch cały zebrał się w sobie i zbił się około jednej myśli, jednej idei, jednego pragnienia. I przypomniały mu się wszystkie obrazy, jakie napotkał na ziemi ojczystej; i odezwał się w jego sercu jakoby jakiś niepokój, jakaś niepewność, jakaś obawa; i uczuł się jakoby zbłąkaną sierotą, przeczuwającą gdzieś niedaleko pewne schronienie a niemogącą go znaleźć...

O duchu ojczysty! gdzież ciebie szukać? —

A. wtem przez okno, zapewne otwarte, ale nie wychodzące na otwarty dla całego świata

dziedziniec, odezwały się głośnie i dźwięczne akordy. Ktoś, jakby zniecierpliwiony długiem czekaniem, lub może dotąd do innej niemiłej pracy przykuty, dorwał się wreszcie fortepianu i rzucił się drżącymi rękami na jego klawisze. Przepyszny-to był instrument, miękki jak puchy łąbędzie, rozlewające swe śpiewne tony jak wietrzyk oddechy wiosny, a grzmiący przytem w potrzebie jak ocean w burzy; zaledwie się można było takiego instrumentu w takim ubogim dworku spodziewać.

Dobiesław zbudził się nagle jak ze snu i całą duszę swoją uwieził w uchu... Z początku trudno było coś wyrozumieć. Widać tylko było, iż ręka mistrzowska, wszechwładna i pewna, targa swawolnie tę arfę stojącą, jak wichher letni targa zwierchnemi szatami tej ziemi, zanim sprowadzi burzę i po niej odsłoni nowe i świetne obrazy. Tak i w tym świecie tonów tały się z sobą gradowe chmury, grom uderzał po gromie, sypały się iskry palące, aż wreszcie rozlała się sroga ulewa długimi strumieniami jęków i łez.... Klimakteryczny wybuch targającego swe więzy serca przejął się pomału, ulewa zmieniła się w deszczyk kroplisty, nareszcie w mgłę; lecz słotro i szaro było na ziemi. Mglistą oponą okryły się pola, schylone płakały drzewa, w dali

było widać jakby dymiące lasy, a w pobliżu jakby kościółek z cmentarzem. Na tem zamglonem tle coś słyhać. Jakieś piosnki ludowe, pomieszane ze sobą, urywane i znów poczynane... To pacholeta wiejskie, owinawszy się w płachty, usiadłszy w koło, śpiewają na polu, a echo powtarza ich dźwięki. Na tem zamglonem tle coś widać. Sierotka idzie, w szarą okryła się płachtę, idzie po pod płoty za drogą i płacze. Zaszła na cmentarz i uklękła na grobie pod krzyżem. Cichutkie tony, jak szemranie deszczu, jak szmer liści na drzewie, szepcą sierocą modlitwę. Modlitwa się wzmacza, jak wiatr kołyszący drzewami; jeszcze się wzmacza i w żal się rozgłosny rozlewa... — O matko moja! tak mi tu duszno na świecie! tak ciężko w tej pracy! tak tęskno za tobą, za ducha swobodą, za grobem! Gdziekolwiek jesteś, na łasce Boskiej, na zmiłowaniu ludzi, czy w niebie: och! weź mnie do siebie! oh! weź mnie do siebie! — I łzawym rozniosła się płaczem.... I słyhać było jęk bólu i ciche kwilenie, i łzy padające i łzy połykane... A potem cisza na chwilę. — Lecz zaraz cudowna arfa odezwała się w głosy zaziemskie. Stubarwna tęcza się rozwinęła na niebie, promień słońca się przedarł przez chmury, duch spłynął po nim i mówi: — Dzieciątko moje! na skronie swoje znów własną

ręką cierniową wciskasz koronę! Wznies wzrok twój ponury i serce do góry, i spojrzuj śmiało za podniesioną w tej chwili zasłonę! Jam jasna, świetlana, od Boga kochana, lecz tylko cierpienia mnie moje zbawiły. I twoje cierpienia są krzyżem zbawienia, lecz do ich zniesienia trza siły. Rzuć płacze, rozpacze, żalości i jęki; to wszystko bez dzięki! to wszystko bez dzięki! A wtomiast wzbudź siłę, wzbudź wolę, i z gwiazdą nadziei na czole idź na tve cierpienia i bole. Oh! ciężka-to droga! Ale u Boga ten tylko nagrodę posiedzie, który ją mężnie przebedzie, kogo nie zdejmie ni rozpacz ni trwoga! Oh! ciężka-to droga i zmudna, ale dla ciebie nie trudna... — Tak mowił duch — a z jego głosu wylało się całe morze spiewnych i coraz weselszych akordów. Szumiała taka swawolna burza przez chwilę, wśród niej odzywały się porozrywane dźwięki różnych piosnek ojczystych, rosło serce i rosła fantazyja....

Dobiesław się wzdrygnął w tej chwili, bo uczuł jakby magnetyczne wstrząśnienie. Ale wesoło się wzdrygnął; tak wesoło, że aż mu się dusza rozsiała. Cisza już była; a jemu się zdało, jak gdyby wciąż jeszcze słyszał tę pieśń natchnioną, ten chorał pobożny. Cisza już była; lecz jego myśli biegły jeszcze ciągle tym torem, którym

je wiodły ostatnie tony owej arfy cudownej.... O duchu ojczysty! Nie trzeba Cię szukać! Ty jesteś! Ty jesteś wszędzie! Każde serce Cię czuje; tylko Cię oko zwątpienia nie widzi.... Ciebie chwast przysiadł obcy w Grodowskiem dworzysku, Ciebie chwast przysiadł domowy w dawnym Wapnowskich pałacu; ale Ty i tam żyjesz. Ty żyjesz w tym czerstwym ludzie, który pod chwastem nawet jak kleszczem żelaznym trzyma się swojej mowy i wiary i ziemi, ty żyjesz w sercach zacnych kapłanów, ty żyjesz w każdym dworku i dworze!

I już się nie czuł zbłąkanym sierotą, szukającym napróżno schronienia, bo widział się swoim, na swojej ziemi i między swoimi. O Boże! dajże, ażeby już został przy tem uczuciu; daj, aby go z niego nie rozczarowali ludzie....

Lecz nie masz tutaj o to obawy.

Bo oto właśnie słyhać przy furtce głos gospodarza, pytający wesoło:

— A gdzież ten gość! A gdzież ten gość!

Dobiesław zerwał się z miejsca i ujrzał Wapnowskiego biegnącego ku sobie. Był on odziany w kubrak z szarego płótna, szeroki kapelusz słomiany miał na głowie i kij laskowy w ręku, ale za to tem szerzej jeszcze otwarte ramiona.

— Jak się masz, kochany tułacz! jak się masz!

— wołał on, biorąc Dobiesława w swoje objęcia i przyciskając z całej siły do piersi.

Przez długą chwilę trzymali się tak obadwaj bracia w milczeniu; poczem się odsunęli od siebie, przypatrując się jeden drugiemu.

Dobiesław patrzył na Wapnowskiego prawie ze smutkiem. W tej biedzie bowiem dziwnie się ten człowiek odmienił. Jego wąsy, dzisiaj już niestrzyżone, zesiwiały zupełnie, a głowa, jeszcze zawsze strzyżona, białym okryła się śniegiem. Na twarzy zmarszczki, już prawie starość, a po niej ślizgał się wyraz nieprzetrawionej dotychczas bolesti. Ale w tej biedzie, w tej pracy, bolejący duch jego zrównoważył się z ciałem, bo widać było na jego twarzy rumiane dziś zdrowie, a nawet jakoby uśmiech spokojnej swobody.

— Ach! ale jakiś ty młody, mój Dobku! — mówił do niego Wapnowski, — mój Boże! już przeszło ośm lat temu, jak cię widziałem, a zdaje mi się, jak gdybym cię wczoraj dopiero pożegnał. Musiało ci się dobrze powodzić w Paryżu.... z czego serdecznie się cieszę.

— Tyś się cokolwiek podstarzał, — rzekł na to Dobiesław, — musiałeś sobie zanadto przypuszczać do serca twoje niepowodzenia... Ale musiałeś przytem pracować pilnie, z miłością i wiarą, bo mi wybornie dzisiaj wyglądasz. Ja ciebie nigdy nie pamiętam z rumieńcem, a dziś jakie rumieńce! Tyś nawet otył i zmężniał;

jest tedy zdrowie, a kiedy zdrowie jest, to jest prawie wszystko, a czego nie ma, to jeszcze będzie.

— Wierzę ci, wierzę, — przerwał prędko Stanisław, — przecież i ty przetrwałeś biedy nie-mało, a był-byś jej pewnie nie przetrwał bez wiary. Ale dosyć o biedach. Powiedz-że mi, kiedy przyjechałeś? Słyszałem o twoim przyjeździe, czekałem i prawie już czekać przestałem....

— Przepraszam ciebie, mój Stasiu! Chciałem, ale nie mogłem. A kto temu przeszkodził? tylko bieda, interesa, rachunki, o czem wszakże jeszcze będziemy mieli dość czasu pomówić....

— Tak się spodziewam, bo przecież zabawisz czas jakiś u nas. Tylko nie z takimi ceremoniami. Przyjechałeś i zasiadłeś w dziedzińcu. Przecież Klotylda jest w domu....

— Klotylda? — rzekł Dobiesław jakby do siebie, — słyszałem ją grającą. Grała cudownie... Musiała już pięknie wyrosnąć. Pewnie-bym jej nie poznał.... Ale dobrze mi było i tutaj. Podziwiałem tę bujność naszej rodzimej ziemi. Jakież-to drzewa, jakie kwiaty, jakie jarzyny!

— I myślałeś sobie: co-by z tej ziemi mieć można, gdyby ją umiejętnie uprawiać!

— Przeciwnie! podziwiałem bujność ziemi, ale podziwiałem i waszą pracę. Czegóż ty chcesz,

mój Stanisławie! ten wasz ogródek warzywny jest tak obrobiony, że można-by go posłać na pierwszą wystawę świata. Jeżeli macie takie urodzaje i w polu, to chociaż niby jestem jakimś agronomem, ukłonię wam się do kolan i gotów jestem przyjąć u was terminowanie.

— Oh! pracujemy! ciężko pracujemy, — rzekł na to z westchnieniem Stanisław, — smutne-to rzeczy! Ale przyznam ci się, — dodał wesoło, — że w tym moim smutku mam wielką pociechę, a tę pociechę przynosi mi właśnie praca. Jakże-to dzisiaj ulatują mi dni, miesiące i lata! Ani wiem, jak ten czas mija, a przecież mija nie bez pożytku dla mnie i dla drugih. Czemuż mi tak nie minęło całe życie!

— Tak, — odpowiedział Dobiesław, — praca jest jedynym żywiołem, który może to życie nasze uczynić znośnem nawet w największych złąd innad nieszczęściach. Praca to godność, to cała wartość moralna, to siła, to zdrowie, to szczęście, to źródło niewyczerpanych pociech człowieka. Najszcześniejsi i najweselsi ludzie są ci, którzy pracują. I obaczysz, jak cały humor naszego narodu się wtedy odmieni, kiedy już raz przyjdziemy do jasnego pojęcia wartości pracy....

— I ja tak sędzę, — podjął Wapnowski, — dodam wszakże do tego, iż tylko wtedy praca

wpłyne istotnie na zmianę naszego humoru, jeżeli ją odżywimy w sobie w duchu naszym rodzimym. Pracownicy dzisiejsi, zwłaszcza w materialnych zawodach, są to najczęściej ludzie smutni, z zachmurzonymi czołami, z ciemnicą w duszy, z jakimś nieznośnie mglistem powietrzem w umyśle. Patrząc na nich, zdaje mi się zawsze, jakoby widział w nich cudzoziemców obcej twarzy i ducha, chociaż wiem dobrze, że nasza krew ich zrodziła. Przecież i u nas od najdawniejszych czasów znano się na wartości pracy, i nie brakowało nam ani pilnych rolników, ani zapobiegliwych ekonomistów, ani nawet spekulantów, handlarzy, dusigroszów i skąpców; ale jakoś mi oni wyglądali inaczej. Oddawszy się swoim specjalnym zawodom, choć czasem także popadali w skrajne ostateczności, przecież nigdy nie zabijali w sobie polskiego ducha i polskiej fantazyi — a to bardzo ważne są rzeczy....

Dobiesław zamyślił się nad tem, bo podobno nie zupełnie zrozumiał; kiedy w tem otworzyła się brama dziedzińca na ścieżaj i przedstawiło mu się widowisko, które właśnie stwierdzało zdanie Stanisława faktycznie. Zajmujące-to było widowisko. Na czele szedł znajomy nam kapitan Mateusz, w płóciennej kitli z amarantowym koł-

nierzem, na głowie zaś miał mały słomiany kapeluszek z kipiącą fantazją przewieszony na bakier. Zawsze jeszcze cierpiał na astmę, romatyzm i kolki, i kulał jak dawniej, ale mimo to niósł swoją kulę wysoko jak sztandar, i prowadził całą kompanię żniwiarzy z takim zapałem, jakby miał na armaty uderzać. Prowadził ich nawet w porządku, bo wszyscy parobcy, baby i dziewczki, byli uszykowani w szeregi i musieli krok trzymać jak wojsko. Brakowało mu bębna; lecz i na to sobie poradził, bo śpiewał sam jakąś piosnkę wojskową, a parobcy mu wtórowali. Tak raźnie, wesoło i lekko powracał zawsze kapitan z pola; tak przechodził zazwyczaj przez całą wieś, — około jego szeregów biegły wiejskie chłopięta śpiewając i skacząc, a za nimi wlokły się zwolna ciężkie, ładowne wozy fornałskie. Tak też wmaszerował i dzisiaj w dziedziniec; a za nim zamknęto natychmiast bramę, bo taki był rozkaz. Stanąwszy w dziedzińcu, uszykował wszystkich w trzy oddalone od siebie szeregi i zaczął je prostować okiem i kulą. Przy tej robocie zawsze tysiące figlów wyprawiał — a lubo przy tych figlach uraczył jednego szcztukiem w nos, drugiego potraktował szturchańcem, na trzeciego milion wysypał piorunów, nikt przecież się na niego nie gniewał, owszem tem hałaśliwsza pa-

nowała wesołość. Dopiero uszykowawszy i zlustrowawszy dokładnie szeregi, szedł niezmordowany Mateusz meldować do dworu, że wszystko już do wypłaty gotowe; ale jak zawsze, tak też i teraz, czekała już Klotylda z woreczkiem pieniędzy przed oficyną — i zaraz przy pomocy dwóch polnych zaczęła się wypłata.

Dobiesław stał z gospodarzem niewidziany pod lipą i przypatrywał się tej scenie z wesołym zajęciem. Widząc kapitana skaczącego jak frygę wokoło, pilnującego, aby kto nie wziął zapłaty po dwa kroć, i zamawiającego robotników na jutro, nie mógł się nim nacieszyć i mówił:

— Przedziwny jest ten twój Mateusz. On będzie żył trzysta lat i zawsze będzie jednaki.

Tymczasem Wapnowski zawołał:

— Kapitanie! a prosimy Wpana do siebie.

A kiedy się kapitan do nich przybliżył, Stanisław rzekł:

— Patrzaj-no Mateuszu, kogo-to Pan Bóg nam przyniósł; poznajesz?

Przypatrzył się kapitan zbliska Dobiesławowi, lecz odpowiedział:

— Niech mię wszyscy diabli wezmą, że nie wiem....

— Jako? — zawołał Wapnowski, — nie poznajesz-że Dobiesława?

— Dobiesław! — zawołał na to Mateusz, wyciągając swoją kościstą rękę ku niemu, — tyś-to? brat tego zdrajcy Krzesława, co nas z Starodzieńk wyrzucił? Tyś-to? ten człowiek pocziwy, co się tyle nacierpiał? co był we Francyi, na wygnaniu, w tułactwie? Ty z Francyi powracasz? — mówił kapitan coraz powolniej i czulej, i patrząc mu przytem w oczy jak w tęczę, — hej! hej! mój Boże! a cóż tam we Francyi?... Czy żyje tam jeszcze Mikołaj Szubin, mój podchorąży, co mi życie ocalił pod Ostrołęką? A stary Maciej Kowadło bez ręki zdrów jeszcze? A Kuba Włodek, co słyszę kamienie musiał łupać na szosie, czy jest jeszcze na świecie? Hej! hej! mój Boże! oni tam nadzy, odarci i głodni, oni! tacy żołnierze, tułacze, ludzie zasłużeni! a mnie tu błaznowi jak w raju! — I ty tam byłeś pomiędzy nimi? ty od nich wracasz? tyś sam cierpiał wraz z nimi? Jam nie wart rozwiązać rzemyka u twoich trzewików....

To mówiąc zacny Mateusz cisnął coraz mocniej Dobiesława za rękę, i cisnął tak mocno, że aż łzy sobie wycisnął z oczu, i pociekły mu strumieniami po twarzy....

Rozczulony tą sceną Dobiesław ujął go za rękę i rzekł:

— Siadajmy, kochany mój Mateuszu! będziemy rozmawiać o Francyi. Będę tobie opowiadał wszystko, co każesz.

— Siadajmy, — odpowiedział Mateusz, — ja się tobie napatrzeć nie mogę. Ja ciebie ztąd nie wypuszczę; musisz wysiedzieć w Wierzbnej choć ruski miesiąc....

Mateusz już całkiem zapomniał o robotnikach; w obec tak żywych wspomnień o rzeczach ojczyńskich znikało mu wszystko z pamięci. Jakoż widząc to, rzekł zaraz Wapnowski:

— Siedź-że sobie zdrów, Mateuszu! a ja pójdę cię przy wypłacie zastąpić.

Trwało milczenie przez chwilę, śród którego Dobiesław się przypatrywał kapitanowi z wielkiem zajęciem, kiedy wtem kapitan zmienił nagle wyraz twarzy do niepoznania i rzekł:

— A wiesz ty, co się tu stało?

Dobiesław siedząc przy nim patrzył na niego, lecz milczał. On zaś ścisnąwszy go silnie za rękę powyżej kostki, tak mówił:

— Tu paskudne porobiły się rzeczy. Twój brat Krzesław okazał się łotrem wierutnym. Wiesz ty, co on porobił? Zaprzedał Niemcom Grodowiska, a nas, spisawszy się na to z nimi, paskudną sztuką ze Starodzieńk wyrzucił! Czy słychana to rzecz? —

Tu umilkł na oka mgnienie, patrząc Dobiesławowi w oczy tak zbliska, jak gdyby o nim samym to mówił; poczem odsunął się znowu i tak rzecz swą prowadził:

— To łotr na wielki kamień! To taki sam łotr, jak ci, co ojczyznę ryczałem sprzedali. Oni ryczałem, a on zaprzeda je ją po kawałku: czy to nie jedno? — To taki sam łotr, jak ci, co to ich niegdyś w Warszawie....

To mówiąc, podniósł głowę, wyciągnął szyję i przejechał palcem po szyi.

— Hej! — mówił dalej, — chciałem ja jemu sprawiedliwość wymierzyć! Miałem już dubeltówkę nabitą i zasiadłem na niego przy bramie. Byłbym mu w łeb strzelił jak psu, niech-by mnie potem i rozstrzelano! A co tam! pal go kat! już mi się i tak nie wiele należy.... Ale mnie Kłodzia wyszpiegowała i zakłęła. Więc mu się jeszcze teraz upiekło....

Wytrzymał chwilę, mrużąc; poczem palec przyłożył do nosa i grożąc tak mówił dalej:

— Ale co się odwlekło, to nie uciekło. I obaczysz, że on będzie wisiał. Ja sam wezmę go za kark i powieszę na własnym dębie, ja! jak mnie widzisz! jak'em Mateusz!

Znowu wytrzymał chwilę, sapiąc mocno jak miechem, poczem tak skończył:

— Bo co to! Jeden szmat ziemi ojczystej zaprzedał cudzoziemcom, drugi szmat ziemi wysmyknął z pod swego brata i rozsiada się na nim ze swoim plugastwem; i to mu ma uchodzić bezkarnie? I jeszcze śmie pokazywać się ludziom na oczy, i ludzie go cierpią pomiędzy sobą, kłaniają mu się i bywają u niego; czy to jest rzecz? Ludzie nasi już tak zgałganieli, że już nie mają zdrowego sensu w głowie, ani zdrowego uczucia w sercu; ale jam nie zgałganiał, i są jeszcze tacy, którzy ze mną trzymają i trzymać będą do śmierci. I będziesz widział, że ten zdrajca źle skończy. Skończy jak zdrajca, bo też nim jest — i chyba ślepy tego nie widzi! —

To rzekłszy, zaczął kapitan tak mocno sapać astmatyczną swą piersią, że aż coś w niej skrzypiało....

Tymczasem ta przemowa smutne sprawiła na Dobiesławie wrażenie. Sąd wyrzeczony o jego bracie był wprawdzie tylko zdaniem pojedynczego człowieka, a nawet człowieka takiego, który jak widać z jego wyrażeń stał na niskim szczeblu oświaty; człowiek ten był przytem nieogłędnym, nierozumnym, gwałtownym a w sądach swych osobistym; ale mimo to wszystko trudno mu tego zaprzeczyć, iż miał serce w gruncie swym zdrowe, a sąd, chociaż zanadto gwałtowny i

nieogłędny, a oprócz tego w dość ciasnym obracający się zakresie, lecz w gruncie rzeczy także nie chorowity. Ogół społeczeństwa ma także serce i sądy takiej samej natury. Serce to dzisiaj spi, bo go ukołysały biedy, uciski i inne nieprzyjemne okoliczności; lecz lada chwila to serce ogólne się zbudzi, choćby tylko dlatego, że taka olbrzymia potęga na wieki zasnąć nie może. A kiedy się zbudzi, to jakim-że głosem przemówi? Cóż powie o takim Krzesławie i całej garści jemu podobnych? —

Dobiesław zamyślił się nad tem, i bardzo smutno mu było. Przykład ten bowiem obudził w nim wiele myśli niezmiernie ważnych, myśli żywotnych i że tak powiem koniecznych. Myśli te nie były w nim jeszcze w tej chwili zupełnie jasne; lecz przywoławszy sobie na pamięć to wszystko, co dotychczas znalazł w swym kraju, stworzył przed sobą już dosyć jasne widoki. Ztąd już w tej chwili obaczył w tym kraju jakoby dwa prądy duchowe, oznaczone wybitnie pod względem polityczno-społecznym, a całkiem niepodobne do siebie. Czyli obadwa te prądy były tylko dwiema emanacyami jednego i niepodzielnego ducha żyjącego w historyi? czyli się pod wpływem zewnętrznym wyrobiły z pomieszania pierwiastków i swoich i obcych? z tego sobie nie

mógł zdać sprawę na razie. W każdym jednak wypadku zdawało mu się rzeczą pewną, iż obadwa te prądy biegły niegdyś ze sobą w kierunku równoległym — a dopiero z postępem czasu i okoliczności zaczęły się rozbiegać ze sobą, aż wreszcie się tak rozstrzeliły, iż dziś widać nawet obustronne promienie biegnące wprost przeciw sobie i stojące jakoby do walki ze sobą. Widok ten był dla niego, pragnącego nie zwycięstwa stronnictw nad sobą, ale zwycięstwa ducha narodowego nad obcą przewagą, niezmiernie prze-rażającym. Jakiegokolwiek bowiem Bóg nam zgotował chwile, sposobne do nowych na rzecz ducha narodowego zdobyczy, w każdej z nich widział przed-wszystkiem innem rozdzielenia narodu, gwałtowne wybuchy i starcia, przekleństwa i pomsty...

I czuł to, jak ważną, jak konieczną było-by rzeczą te myśli zawczasu zdrowo i trzeźwo roz-patrzeć; lecz czuł zarazem, że tu ni miejsce ni pora po temu. Jego niecierpliwe serce parło go ku myśleniu; a tuż za sobą słyszał już głos go-spodarza wracającego ku nim. Spamiętał sobie tedy tylko ten przedmiot myśli, aby go zachować na później — teraz odwrócił się ku Stanisławowi, który mówił:

— Przyprowadzam ci jeszcze trzecią osobkę naszej rodziny, ostatnią już, ale bez kwestyi naj-

lepszą. Patrz, jakie ma ręce zaczernione od miedziaków, którymi wypłacała żniwiarzy....

Była to Klotylda.

Dobiesław spojrział na nią i uczył się pod wpływem niezmiernie miłego wrażenia. Klotylda była piękna w całym tego słowa znaczeniu, łącząc w swojej piękności świetność pysznego kwiatu z świeżością dojrzałego owocu. Była przytem ubraną niezmiernie skromnie: miała szeroki słomiany kapelusz na głowie, a na sobie szlafroczek z szarego płótna, od lnu na grządkach aż do tkackiego warsztatu sprodukowanego we Wierzbnej. Wyglądała dlatego tem piękniej, bo jak wspaniała stulistna róża zaszczerpiona na prostym głogu i stojąca samotnie na samorodnym gazonie. Czemuż o tej prostej i naturalnej sztuce podniesienia piękności nie chcą wiedzieć nasze kobiety! Ileż-by przez to drogiego czasu zyskało się dla uczuć szlachetnych i wzniosłych, który dziś się wypala na ołtarzu próżności! Ileż-by się przez to zyskało pieniędzy na książki, ryciny i nóty, na upiększenie domku ojczystemi pamiątki, na wychowanie dzieci, tej jedynej nadziei dobrej przyszłości narodu. Ileż-by przez to zyskało szczęście rodzinne, ile ginące już dzisiaj dobre pożycie sąsiedzkie, ile okoliczne ubóstwo, ile w ogóle cała w ubóstwie żyjąca ojczyzna! — Do-

biesław, pomimo to a raczej właśnie dlatego, że miał oko zepsute na najwyszukańszych strojach niewieścich, był zachwycony tą niezrównaną prostotą. Już dlatego samego uczuł się silnie pociągniętym ku Klotyldzie; lecz jeszcze więcej dlatego, iż słyszawszy ją niedawno tak cudnie grającą, mógł się napewne domysleć, jak piękna i wykształcona pod tą wiejską skromnością kryje się dusza. Jakoż ściskając jej rękę, zaraz po pierwszych grzecznościach, rzekł do niej:

— Chociaż pani nic o tem nie wiesz, myśmy się przecież już dzisiaj bardzo zbliska widzieli...

— Pan byłeś przy oknie... rzekła z rumieńcem Klotylda.

— Oh! gdzie tam! ja tu siedziałem pod lipą, ale słuchałem pilnie kiedyś pani grała. I jeżeli mnie zarozumiałość moja nie łudzi, to byłem z panią wszędzie, gdzie cię ówczesne myśli i uczucia poniosły.

— W takim razie byłeś pan bardzo daleko.

— O! bardzo daleko, bo aż tam, gdzie serce stęsknione ziemskiego śpiewaka rzuca się z taką niecierpliwością na swoją arfę, jak spragniony wędrowiec w pustyni na źródło wody krynicznej, — i tam, gdzie dusza sieroty skarży się z swoich cierpień i bólów, — i tam, gdzie się modli na grobie umarłych, — i tam, gdzie duchy niebieskie

spływają po promieniach modlitwy na ziemię i przynoszą sierotom pociechę... Ale pociecha ta nas orzeźwiła, i wróciliśmy potem na ziemię, spiesząc do domu z pieśnią nadziei na ustach. Czy tak?

Klotylda słuchała go patrząc mu w twarz z nietajonem zdziwieniem; wszakże potem spuściła oczy ku ziemi i zamyśliła się.

— Chodźmyż już nareszcie pod dach — rzekł na to Stanisław — bo i herbata już nas oczekuje.

Szli tedy do dworku. Dobiesław szedł koło Klotyldy i milczał; ale ona przerwała milczenie i rzekła:

— Pan musisz być bardzo muzykalnym...

Dobiesław uśmiechnął się na to i odpowiedział:

— O! bardzo. Przed laty piętnastu umiałem grać gamy i „Jeszcze Polska nie zginęła“, a dziś już tylko „Wlazł kotet na płotek.“

— Jako? nic? — spytała Klotylda.

— Nic a nic, — odpowiedział Dobiesław.

Wszakże wtedy siedzieli już za stołem, na którym stały półmiski i filiżanki — a Klotylda nalewała herbatę. I nalała najpierwej Dobiesławowi, co było bardzo w porządku, potem nie nalała ojcu, który zawsze herbatę pijał, a nalała Mateuszowi, który jej nigdy nie pijał, co jej

się po raz pierwszy w życiu zdarzyło. Spojrzał na nią podniósłszy głowę Mateusz i rzekł:

— A asińdzka co robisz?

Złękła się jego głosu Klotylda, zerwała prędko nalewkę i połała Mateusza kipiátkiem po ręce i ramieniu. Syknął kapitanisko jak wąż, ale rzekł ze śmiechem:

— Całuję rączki asińdzki dobrodziejki! I zalałaś mi filiżankę temi ziółkami, i jeszcze mnie poparzyłaś...

— Sama nie wiem, co mi się stało — odpowiedziała na to zmieszana Klotylda.

Ale wiedziała dobrze, co jej się stało. Ona się tak bardzo zapatrzyła na Dobiesława, że aż straciła przytomność — a to wszystko z powodu tej jego niemuzikalności a przecież tak muzykalnej przenikliwości. Niczem bowiem mężczyzna nie potrafi tak pewnie zwrócić na siebie uwagi kobiety, jak kiedy jej myśli odgadnie. Wiadome-to rzeczy!

Wiedział o tem także Dobiesław. Ale właśnie dlatego, że wiedział, udał, że nic nie wie i nic nie widzi, i zaczął rozmowę obojętną o wszystkim. W rozmowie tej, która trwała do późna w noc, unikał starannie tego wszystkiego, co-by mogło bliżej dotyczyć Klotyldy, udając względem niej obojętność zupełną. Srogi-to był człowiek ten zresztą dosyć pocciwy Dobiesław. Ale tak być

musiało, właśnie dlatego, że w gruncie serca nie był już wcale obojętnym dla Klotyldy. Miał on już bowiem lat przeszło trzydzieści. W takim wieku ma się już pewne zasady i umie się nawet najgorętszym uczuciom silne zakładać pęta. Nie kocha się kobiety, dopóki się jej nie pozna — a chcąc ją poznać, właśnie nie trzeba dać jej poznać, że się ją chce poznać.

Ale Klotylda, daleko mniej się znająca na grze uczucia niżeli na fortepianie, zawsze nie wiedziała, co się z nią dzieje. Była więc tylko smutną przez cały wieczór i poszła daleko wcześniej spać, niżeli to miała w zwyczaju, a nawet niżeli na dziś wypadało. Zadziwił się temu ojciec, zadziwił się nawet Mateusz; ale Dobiesław się wcale nie dziwił, bo doskonale rozumiał, o co rzecz chodzi. Wiedział on dobrze, ile każda kobieta ma do tego pretensyi, aby się nią zajmowano. Tak ją Bóg stworzył; taką jest jej natura, bez niej nie osiągnęła-by nigdy swojego celu. Dobiesław więc wiedział o tem, dlaczego Klotylda wpadła w humor tak kwaśny, i wiedział także, ile jej swoim zachowaniem sprawia przykrości; ale chodziło tu o rzeczy ważniejsze, dlatego swego postępowania względem niej wcale nie zmienił i wytrwał w niem blisko tygodnia....

Wszakże ośm dni czasu były dla niego aż nadto dostatecznymi, nietylko do poznania całego domu, ale nawet Klotyldy...

Jakoż po ośmiu dniach przekonał się nieszczęśliwy tułacz ku swemu szczęściu, że ani takiego domu, ani takiej rodziny, dawno już nie widział.

Ubóstwo tam było, wielkie ubóstwo; trzeba było ciężko i bezustannie pracować, ażeby tyle zarobić, ile potrzeba było na utrzymanie skromnego życia. A życie to musiało być skromnem koniecznie, bardzo skromnem, ani podobnem do tego, jakie się niegdyś wiodło na Starodziejkach. W najlepszym razie zaledwie wystarczało na ubiór płócienny w lecie, na grube sukno w zimie, na chleb pytlowany, na filiżankę herbaty.... Ale mimo to wszystko im trudniejszym było ich położenie, tem pilniejszą ich praca — a im głębszem uczucie potrzeby pracy, tem sumienniejszą uczciwość. Dobiesław badał pilnie wszystkie domowe i gospodarskie stosunki, bo im lepiej poznawał Klotyldę, tem więcej na tem mu zależało. Ale nietylko, że nie znalazł nigdzie nic takiego, co-by mu się nie podobало, lecz owszem znalazł wiele rzeczy takich, któremi nawet sam mógł się zbudować. Dobiesław, jako człowiek oświecony gruntownie a przytem głęboko moralny, był niezmiernie ścisłym we wszystkich pojęciach, a zatem

także niezmiernie surowym; ależ tam była także surowa moralność we wszystkich kierunkach. Bruździło wprawdzie w ich ładzie domowym Mateuszowe skąpstwo i jego żołnierska wolność sumienia w postępowaniu z ludźmi; bruździła znów z drugiej strony czasami idealna szlachetność Stanisława i jego hojność; ale za to nad obudwoma czuwał tak pilnie rozsądek Klotyldy, iż żadna z tych wad nie pociągała nigdy za sobą złych skutków. A czego jej rozsądek dokazać nie mógł, tego dokazała jej miłość, którą umiała natchnąć, przejąć i związać ze sobą dom cały. Toż uważał Dobiesław z niemałym zbudowaniem dla siebie, jak tam przy tem ubóstwie każdy człowiek był okryty i syty, jak każdy sługa z serca przywiązany do domu, jak dla wspólnego dobra godziły się z sobą wręcz sobie przeciwne przymioty Mateusza i Stanisława, jak wreszcie w domu nigdy nie brakowało niczego, jak było zawsze miejsce wygodne dla gościa, jak był czas do pracy i czas do rozrywki, jak nawet nie brakowało w tym domku książek i dzienników, i były zaopatrzone wszystkie potrzeby moralne! A wszystko to działo się sprawą Klotyldy, zawsze rozsądnej, nigdy niespracowanej, dźwigającej widocznie ciężar nad swoje siły, lecz dźwigającej go tak, jak to prawdziwej uczennicy Chrystusa przystało...

Przekonawszy się o tem Dobiesław, zmienił swoje postępowanie — i odtąd można ich było widzieć codziennie oboje, czy to pod lipą, czy w ogrodowej altanie, wiodących długie ze sobą rozmowy....

Jednakże przez ten czas Stanisław sam, który nie wiele miał przy gospodarstwie zajęcia, także nie mało nagadał się z Dobiesławem. Wychodzili oni obadwaj codziennie w pole i trawili po kilka godzin za domem. Na takich wycieczkach Dobiesław obznajamiał się z trybem gospodarstwa tutejszym i dawał Wapnowskiemu stosowne a zawsze bardzo praktyczne rady; — nawzajem zaś Wapnowski opowiadał mu historią tych wszystkich zdarzeń, przez które przeszedł podczas jego tułactwa. Był on oczywiście tak delikatnym, iż usiłował wszystkie te krzywdy, jakich od Krzesława doświadczył, jak najogłędniej przedstawiać; ale są fakta, których brutalnej natury nie zdoła zmienić żadna ogłędność w opowiadaniu. Dobiesław tedy dowiedział się wszystkiego o swoim bracie — a to go głębokiej nabawiło goryczy. Zrozumiał go Wapnowski i starał się go pocieszać; ale on tylko ręką machnął na to i rzekł:

— O tyle tylko będę się mógł z tych postępów mojego brata pocieszyć, o ile je będę w stanie naprawić.

Za to szlachetne przekonanie Wapnowski go tylko ścisnął w milczeniu za rękę i odtąd już o Krzesławie ani wspominał.

Wszakże po kilku dniach musiał się Krzesław stać znowu przedmiotem ich rozmowy, bo przecież musiano także nareszcie pomówić o losie Dobiesława. A wtedy znowu Wapnowski dowiedział się o nowych Krzesława występkach, co-by mu było może jakąś ulgę przyniosło, gdyby nie to, iż z serca pragnął, ażeby się Dobiesławowi wiodło jak można najlepiej, a dowiedział się właśnie, iż mu się powiodło najgorzej. Nie długo jednak debatowano nad tem, opowiedział bowiem Wapnowskiemu z kolei Dobiesław, jakie ma zamiary względem Grodowisk i na czem ta sprawa stanęła. Dowiedziawszy się o tem Wapnowski i wyrozumiawszy całe jego postępowanie z Prusakami, pochwalił mu to, lecz rzekł niecierpliwie:

— Postąpiłeś sobie bardzo rozumnie, ale bodaj czy nie z zanadto wielką pewnością siebie...

— Nie obawiaj się o to, — odpowiedział mu Dobiesław — sprawa Grodowisk jest dziś w takim stanie, że jej się nikt chwycić nie może. Ja się obawiam raczej o co innego.... Obawiam się o to, iż kupiwszy Grodowiska, przepadnę w nich ze wszystkim co mam i mieć mogę....

— Oh! to najpróżniejsza obawa! — zawołał Wapnowski, — ani ci się śniło o tem, z jaką łatwością wybrniesz z tych długów, które ci pozostaną. Ja byłem w daleko trudniejszym położeniu na Starodziekach, a gdyby nie Krzesław... lecz dajmy pokój. Tylko się spiesz, mój kochany! o! spiesz się, bo szczęście jest bardzo kapryśne.

Dobiesław już na to nic nie odpowiedział, ale był niezmiernie uradowany z tego, że Wapnowski mu jego zamiary pochwalił. Ztąd można było się domyśleć z łatwością jeszcze i dalszych jego zamiarów; ale ojciec Kłotyldy, człowiek najbezinteresowniejszy pod słońcem, niczego się nie domyślał...

Tymczasem niebawem już okazało się, że Dobiesław we wszystkim sobie rozumnie postąpił. Albowiem już w kilka dni potem, nie dowiedzieli się wprowadzić Prnsacy o jego teraźniejszym pobycie, ale dowiedzieli się ich wierzyciele. I zbiegli się tłumem do niego, prosząc go, błagając, nudząc i narzucając mu się ze swemi długami...

Jest dosyć upowszechnione mniemanie, że tylko złe wieści rozchodzą się lotem błyskawicy po ludziach. To prawda, ale nie całkowita; bo takim samym lotem rozchodzą się także i wieści dobre; tylko na tamte, jako na rzecz wyjątkową, więcej zazwyczaj zwracamy uwagi.

Tak samo dzieje się także i z reputacją pojedynczych ludzi. Zła reputacja bardzo się prędko rozszerza; i jest to dobrze, bo zyskuje na tem bezpieczeństwo ogółu. Reputacja dobra zyskuje się powolniej, co także jest dobrem z tegoż samego względu na ogół. Wszakże są wypadki, gdzie reputacja dobra rozchodzi się jeszcze daleko prędzej niżeli zła, a to natenczas, kiedy zostanie gotowy już kontrast przed sobą. Tutaj był także taki wypadek. Wierzyście Prusaków, oszukawszy się na nich i straciwszy w nich wszelką wiarę, dość mieli na tem, kiedy się tylko cokolwiek dowiedzieli o Dobiesławie, ażeby się go chwycić rękami i nogami i ślepią go obdarzyć ufnością. Tak też się stało. Kiedy się go jedni prosili, ażeby ich długi kupił za połowę wartości, a drudzy rozkładali wypłatę na długie przeciągi lat, trzeci oddawali mu swoje obligi, mówiąc:

— Weź tylko, a dasz nam co zechcesz i kiedy ci się będzie podobać.

Tak w kilku dniach Dobiesław stał się właścicielem prawie wszystkich długów ciążących na Grodowiskach, a przez to już jakby właścicielem Grodowisk. Do zakończenia tej sprawy brakowało jeszcze tylko ostatniej z Prusakami rozmowy. Jakoż i to się stało niebawem. W kilka dni bowiem przyjechał do Wierzbnej *Herr von der Ecke*,

a treść jego przemowy do Dobiesława zamykała się prawie w tych słowach.

— Panie! weź Grodowiska, a puść grzeszną duszę moję!

Wtedy Dobiesław mógł wszystko zrobić z Prusakami, co-by mu się podobało. Mógł im wziąć Grodowiska za bezcen, mógł ich trzymać w więzieniu, mógł się mścić na nich jeszcze i w inne a najrozmaitsze sposoby. Zasłużyli oni nawet na pomstę; któż tego nie wie? — Ale człowiek szlachetny nigdy się nie mści; postępowanie jego może się stać podobnem do zemsty, ale tylko natenczas, jeżeli jedyny środek wiodący go do celów obowiązkowych, musi z konieczności iść tą samą drogą, jaką-by była szła zemsta. Tu zaś nie było tego wypadku, bo cel już był osiągnięty. Więc nie mścił się na nich; owszem przeciwnie, mając dość na tem, że odzyskał swą ojcowiznę, postąpił sobie z nimi pod każdym względem tak szlachetnie, jak tylko było podobna. Krzywił się na to Mateusz, mówiąc do niego swym niekiełzanym językiem:

— Ot! polskie głupstwo! ambicya nad ambicyą, szlachetność nad szlachetnością! Gdybym ja był dostał tych Niemców do ręki, był-bym ich zerznął jako kotów we worku. Ząb za ząb, a oko za oko! Albo nie zasłużyli?

Ale Wapnowski, który wiedział dobrze, że to nie była ambicya tylko pokora, ścisnął za to Dobiesława z całej siły za rękę i rzekł:

— Postąpiłeś sobie tak, jak Polakowi przystało. Niech ci Bóg za to odpłaci! —

Tak wreszcie Dobiesław stał się właścicielem Grodowisk. Wielka ztąd była we Wierzbnej pociecha! Na wieść o tem przybiegli obadwaj xięża, pozbiegały się Grodowiskie gromady, poprzyjeżdżali nawet nieznajomi Dobiesławowi sąsiedzi, ciesząc się wszyscy tem zwycięstwem swojskiego żywiołu nad obcym. Ubogi dworek Wapnowskiego był przez ten dzień jak karczma zajezdna — a szpiżarnia Klotyldy została wymiecioną do czysta...

Nazajutrz pojechał Dobiesław z ojcem Klotyldy i kapitanem odbierać swoje dziedzictwo. Odebrał je wprawdzie w wielkiej ruinie, ale przecież nie w takiej, jakiej się po ostatnich zdarzeniach należało spodziewać. Były jeszcze inwentarze i sprzęty gospodarskie w jakiejkolwiek całości; było już coś w stodole i było coś jeszcze na polu. Aby to wszystko utrzymać i żniw jakośkolwiek dokończyć, powinien był Dobiesław pozost-

stać się w Grodowiskach i całą siłą się zabrać do pracy; ale się stało inaczej. On sobie u Wapnowskiego tymczasem kapitana pożyczył i jemu oddał komendę placu — a sam powrócił do Wierzbnej.

Dziwił się temu Wapnowski i zaczął na niego spoglądać bardzo ciekawie — lecz milczał.

Tymczasem trzeźwo myślący Dobiesław, jak zawsze, tak też i teraz wiedział dobrze, co robi.

Z tego, co już pod tym względem, chociaż tylko nawiasem wspomniano, nie trudno się domyśleć, iż Klotylda otoczyła stęsknionego tułacza pewnym urokiem. Tu trzeba dodać, iż był to urok wcale nie pospolity... I nie ma to być dziwnym nikomu, nawet i temu, który się domyśla, że Dobiesław widział już w swoim życiu niejedną piękność i znał niejedną najznamienitszych przymiotów kobietę. Ale nie będzie to dziwnem tylko temu, który poznawszy świat przekonał się dowodnie, jaka jest wielka różnica pomiędzy polską a każdą inną dziewczyną. Wiele-by o tem rozprawać a miejsca za mało; rozumiem wszakże, iż różnica ta da się i krótkimi słowy określić. Jest oto w naszych dziewczynach dziwnie uderzająca, prawie biblijna prostota, połączona z tą wykwinnością wykształconego umysłu i serca, jaką gdzieindziej trzeba szukać tylko w sferach naj-

wyższych, — i oto co je tak mocno odróżnia od kobiet całego świata, iż stają się wszędzie po za swoją ojczyzną niepospolitem zjawiskiem. Jakoż można gdziekolwiekbądź na kontynencie tysiąc kobiet przerzucić, a ani jednego takiego typu nie znaleźć, jaki się u nas znachodzi prawie w każdym dworze i dworku. O ileż jeszcze typ taki staje się doskonalszym, jeżeli w nim jak w Klotyldzie połączy się jasny rozsądek, szlachetny umysł i to spokojne, pełne miłości serce, które zmieniawszy całe swe życie w nieustający łańcuch poświęceń, jest jakby uwiecznionem natchnieniem! Dobiesław, który pojęcie takiego ideału wyniósł w swej piersi z domu, szukał jego urzeczywistnienia przez cały czas swego tułactwa; ale napróżno. Na owem rozgwarnem targowisku pracy i kapitału, po którem mu tułać się przyszło, ideałów nie szukać. Tysiące kobiet przesunęło mu się przed oczy, niejedna może zdołała go zająć, niejedna nawet zniepokoiła mu serce; ale żadna z nich nie zdołała wypełnić sobą tej wielkiej duchowej formy, jaka się dla przyszłej towarzyszki jego żywota wyrobiła w jego umyśle i sercu. Wielu dzisiejszej młodzieży znalazło się w tem samem położeniu, i byli tak nieszczęśliwi, że swego ideału nie znaleźli, — i rozbłąkali się z razu, — a potem zamknęli się w sobie i pozo-

stali samotni na zawsze. On był szczęśliwszym: on znalazł Klotyldę. Pojął ją i zrozumiał, — i wypełnił nią całą wnątrz swego ducha, — i był pełen miłości i szczęścia.

W innym zupełnie położeniu była Klotylda. Ona nie utworzyła sobie żadnego ideału tego mężczyzny, którego-by miała wybrać towarzyszem przyszłego życia. Wierna niewieściej naturze; miała zanadto pokory, ażeby się mogła była wdzierać w kierownictwo swoich przeznaczeń. „Otom ja służebnica Pańska, niechaj mi się stanie według słowa Twego;“ to było jej hasło. Wszakże miała pewne zasady, podług których sądziła ludzi i podług których sądziła każdego, który-by się starał o jej serce i rękę. W dawniejszych stosunkach jej rodziny, kiedy jej się zdawało, że jej zamażpójście przyniesie ulgę troskom rodziców, była w przestrzeganiu tych zasad nadzwyczaj wolną; dowodem tego, że chciała iść nawet za Krzesława; dzisiaj, kiedy się przekonała, jak dalece jest swemu ojcu potrzebną, wyrobiła owe zasady w sobie jeszcze dokładniej i przestrzegała ich jeszcze surowiej. Ale Dobiesław, człowiek wykształcony gruntownie i wielostronnie, z charakterem skończonym i wyrobionym, poczciwy i szlachetny na wskrós, mógł zadość uczynić nawet najsurowszym zasadom. Miał on

prócz tego jeszcze ową zręczność i słydyecz obejścia, z pomocą której, nie popadając wcale w ową miodową nudność salonowych galantów, która na ludzi myślących womitujące sprawia wrażenie, umiał się łatwo podobać kobietom. Dobiesław tedy podobał się bardzo Klotyldzie, zrozumiany przez nią odpowiedział zupełnie jej wymaganiom — a jego szlachetne zachowanie się względem Krzesława, względem swojego rodzimego majątku, względem Prusaków a nawet względem zubożałej i zapomnianej przez wszystkich jej własnej rodziny, dokonało reszty.

Tak, na podstawie powinowactwa zasad, uczuć i myśli, zawiązało się pomiędzy tem dwójgiem ludzi ściśle i sympatyczne porozumienie duchowe — a z niego wyłonił się bujny, silnie zakorzeniony i rozwinięty wspaniale, kwiat obojczy miłości.

Taką miłość, rodzącą się z wolna i przy zupełnem spokoju duszy i serca, należy dobrze rozróżnić od owej krewkiej miłości, która się jako iskra zapala i płomieniami wybucha. Były-to bez wątpienia czasy piękne i pełne uroku, kiedy tylko taka zapalna miłość się rozbudzała po sercach. Były to czasy młodości serca, czasy natchnionych zapałów i w niebo porywających uniesień. Ale te czasy już przeminęły — i taka

miłość minęła. Trzeźwiejący z każdym dniem więcej umysł ogólny, który się stara wszystko zrealizować, i tą miłość zrealizował. Co było w niej duchowego, przeszło w skarbnicę duchowych nabytków — reszta została oznaczona piętnem swem własnem i odrzucona jako ziarno zepsucia pomiędzy obyczajowe osady. I dobrze się tak stało; bo nie urodzi się nic wiecznie trwałego z roztargnionego ducha, unoszącego się nad krwią kipiącą i rozstrojonemi nerwami. Wszystkie wielkie i wieczne dzieła tego świata zostały stworzone w spokoju; spokojną ręką rozdzielił Bóg zakłócone ze sobą żywioły — z głębokim spokojem ducha stworzył i opowiedział Chrystus swoją wieczną naukę.... Na taką drogę weszła i miłość dzisiejsza. Nie zrywa się ona jak wichur szalony, nie szaleje jak burza, nie rozdziera ludzkiego serca bez względu na to, choćby miała rozedrzeć samego człowieka; nie porywa ze sobą całej istoty moralnej, nie stawia ślepo na szalę losu obustronnego szczęścia, byle tylko sobie dogodzić na chwilę, choćby się potem znowu rozerwać i unieszczęśliwić na wieki. Ona się rodzi spokojnie i zwolna, rozwija się stopniowo od ziarenka do listka, od listka do kwiatu, myśli nad sobą w każdej chwili swego rozwoju i rozmyśla troskliwie nad całą swoją przyszłością,

do grobu. Dopiero wtedy, kiedy zespoli ze sobą dwa serca, dwie dusze, we wszystkich uczucia i myśli kierunkach, kiedy się sobie uprzytomni na dziś i wytknie swe drogi na jutro — uderza radośnie ręka w rękę, odsłania się światu i jako najwspanialsze zjawisko ludzkiego życia, uświęcone błogosławieństwem rodziny i pobłogosławione przez kościół, puszcza się na ciernistą tego żywota wędrówkę.

Tak prowadził także tę miłość Dobiesław.

I doprowadził ją już prawie do końca. Właśnie dniem przedtem, nim się zjawili Prusacy, stał na tym punkcie, że już się we wszystkim zrozumieli oboje, choć sobie jeszcze nie nie powiedzieli wyraźnie. Za jeden dzień byli-by już sobie ręce podali na zawsze. Ale tymczasem Niemcy wleźli im w drogę — i ostateczne porozumienie się rozwlekli.... Straciwszy z nimi dni kilka, Dobiesław musiał zaczynać na nowo. Mianowicie chodziło mu o to, ażeby się porozumieć co do sposobu życia na przyszłość. Położenie ich było niełatwe; ona nie miała nic a on bardzo mało. Nie brakowało materyału do urobienia sobie pewnej materyalnej podstawy, bo Grodowiska już były kupione: ale był to materyał nadzwyczaj wiotki — i trzeba było wielkiej pracy i wielkiego zaparcia się siebie, ażeby się

ten materyał nie rozchwiał. Klotylda dała już wprawdzie najpiękniejsze dowody tego, iż umie poświęcać się i pracować; ale poświęcała się dotychczas tylko dla ojca, zawsze pod wpływem tej ożywczej choć nieświadomej nadziei, że to poświęcenie się, kiedyś się skończy — a poświęcenie się dla męża i swojej własnej rodziny nie ma końca aż w grobie. Myśląc nad tem i widząc, że Klotylda idąc za niego, w pierwszej chwili mienia lepsze na gorsze, zastanawiał się nad tym krokiem i chwiał się i mówił: — Biedne to dziecko! Oh! czemuż nie mam milionów, ażebym jej mógł Starodzieki odkupić, pałac jej wyszkląć i wyzłocić, owinać ją w jedwabie i złotogłowy i otoczyć całym tym zbytkiem tego świata, w którym się urodziła! — I łzy mu w oczach stawały, i tracił odwagę i siły. Ale się zrywał, łzy z oczu ocierał i szedł dalej, bo jakiś duch dobry mówił mu głośno: — Idź tylko naprzód z odwagą i mężstwem. Złe, jakie jest, przetrwasz i zwalczysz, a potem będziesz miał więcej szczęścia, niżeli sam się spodziewasz. — Więc szedł i powiedział wszystko Klotyldzie. Ale ona przyjęła ten wylew jego zacnego serca, to troskliwe wejrzenie w przyszłość, daleko spokojniej i mężniej, niżeli on potrafił je wypowiedzieć. Przyjęła je nawet z zadziwiającą pogodą w duszy,

z wesołym uśmiechem na ustach, a całą odpowiedź swoją zamknęła w wierszach naszego starego wieszcza, mówiąc:

Któż tak mądry, że zgadnie

Co nań jutro przypadnie?

Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek troszcze więcej niżli trzeba.

Zrozumiał ją w zupełności Dobiesław, bo w tych kilku słowach odbiła się cała jej dusza, spokojna, jasna i pewna siebie, bo ufna w swoją pokorę i pracę; zaczął ujął jej rękę, przycisnął do ust i rzekł:

— Chodźmyż do ojca.

A ojciec siedział pod lipą w dziedzińcu zadumany i smutny. Widział ich rozmawiających z sobą przez okno i domyślał się, jaka tam sprawa ostatecznie się rozstrzyga w tej chwili. Był on rad temu z całej duszy, jak był rad każdej łasce Boskiej; ale zarazem bolesna miotła nim trwoga, ażali to nie jest łaska ludzka. Dobiesław był tak niebaczny, iż wspomniął o tem i nieraz, że pragnie wszystko naprawić, cokolwiek popsuł brat jego; a on, ojciec Klotyldy, był tak ambitny, iż nic na świecie nie było tak ciężkiem dla niego jak dobrodziejstwo. Nie mało ma do strawienia wygórowana ambicja

wtedy, kiedy jej towarzyszą dostatki: ale dla popadłego w ubóstwo jest ona kulą więzienną.... Wszakże prócz tego był on jeszcze ojcem ulubionego dziecięcia. Jeżeliż to dziecko miało swój los terażniejszy tylko dla tego zamienić na inny, ażeby się wypełniły szlachetne Dobiesława zamiary względem jego własnego imienia: to bodaj-by był raczej nigdy tu nie przyjeżdżał! — Tak czarne myśli, takie niedowierzanie, tak rozpaczliwe usposobienie serca, przynosi z sobą ubóstwo, pamiętne swoich straconych dóbr i szczęścia!

Wapnowski przyjął młodą parę, idącą ręką w rękę ku niemu, prawie ze smutkiem w oczach i ściągniętymi ustami. Lecz obaczywszy, jak byli rozpromienieni, weseli i szczęśliwi oboje, jak szli leciuchno, trzymając się silnie a prawie nie-dotykając się ziemi, cóżkolwiekbaż, i on musiał się uśmiechnąć i rozweselić. I nie pytał już o nic, bo odpowiedź na każde swoje pytanie widział wymalowaną w ich twarzach. Jakoż zamiast długiego badania, które już sobie był w części ułożył, objął ich tylko w swoje ramiona, rżęsiłemi pobłogosławił ich łzami i rzekł, powtarzając słowa swego dziada Tobiasza:

— Cicho dzieci! cicho! ażeby się nie dowiedzieli źli ludzie, że tyle jest szczęścia pomiędzy nami.

W ósm dni potem, w pałacowym kościółku Grodowskim, gdzie były groby wszystkich Żydowskich i grób ś. p. Klaudyi, odbył się ślub Dobiesława z Klotyldą. Był to ślub dosyć dziwny w tym kraju, gdzie nawet ubóstwo i nędza nie szczędzi bezpotrzebnych wydatków na zachowanie starodawnych kosztownych zwyczajów. Nikt bowiem z gości nie był na tym obrzędzie, najzacniejszy z gospodarzy Starodzień służył starostą, najsmuklejszy parobek z Grodowsk był drużbą a najpiękniejsza dziewczeczka z Wierźbnej za drużkę. Lecz za to gromady z wszystkich tych trzech majątków przybiegły w tak licznych tłumach na to święto sąsiedzkie, że się zdawało, jakoby odpust był w Grodowskich. Dlatego też zacny wikary, po odprawionym przez miejscowego proboszcza obrzędzie, nie miał kazania z ambony, tylko mówił ze wchodów kościółka — i mówił cudnie do stojącej przed sobą pary i otaczających ją tłumów, kończąc wzniosłemi słowy:

— Idźcie i mnożcie się! Lecz przedewszystkiem mnożcie się w cnoty waszych praojców, wzajemną miłość, braterstwo i jedność, ażebyście waszą ojczyznę odbudowali duchowo, zanim podoba się Bogu rozkazać, ażeby słowo stało się ciałem!

R o k 1 8 6 0.

Szczęśliwemu szczęście, — powiada stare przysłowie. Kiedy szczęśliwy się żeni, oh! ileż-to szczęścia otwiera się przed nim! Ileż-to środków ma on w swych ręku, ażeby to szczęście upięknąć, pomnożyć, urozmaicić, przedłużyć. Jeżeliż jeszcze do tego umie mądrze użyć tych środków, to słońce to, które wzejszło w dzień jego ślubu, już nigdy na jego niebie nie zajdzie — i świecić mu będzie przez całe życie i opromieni twarz jego w godzinę śmierci, i z grobu jeszcze, gdzie duże marmurowe trumny stoją w nierozzerwanem zbratanu przy sobie, odrzucać będzie rozrzewniające wspomnienie miłości i szczęścia na oddalone potomstwo... Ale nie tak się dzieje ubogim. Z troską o szatę weselną podaje ubogi rękę swej ulubionej, z trwożliwym wspomnieniem swojego ubożuchnego domku wraca od ślubu z drzącą

niespokojnością o chleb powszedni na jutro rzuca się w miłościwe objęcia swej żony; a ledwie nieśmiało ustami dotknął się brzegu kielicha szczęścia, ledwie na oka mgnienie o swoich troskach zapomniął, ledwie-co zasnął, ażeby spokojnie i błogo o swoim raju zamarzyć, — jużci odzywa się dzwonek i budzi go swoim przerażającym głosem do pracy. Tak potem przez całe życie; troski i praca to rzeczywistość — a szczęście to sen, unoszący się nad nią wysoko i znikający w błękitach....

Dobiesław był ubogim i gorzej jeszcze niżeli ubogim, bo zapomniawszy o swoich troskach, mógł stracić nawet swoje ubóstwo. Jakoż zaledwie dzień oświł po jego cichej nocy weselnej, on już się wyrwał z miłośnych objęć swej ulubionej i zaprzął się do swej pracy. Przez kilkanaście dni potem ledwie późnym wieczorem powracał do domu, ażeby znowu przed wschodem słońca z ciężkim toporem w ręku naprawiać wiosła, zesztywniać żagle, związywać splekane boki swego skołatanego okrętu....

Wszakże po kilkunastu dniach przekonał się, iż jego sprawa nie stała tak źle, jak sobie ją wyobrażał. Wprawdzie na rok bieżący nie można było obiecywać sobie choć jakichkolwiek dochodów z gruntu, bo większa połowa zbiorów uległa

zepsuciu; ale Prusacy zostawili mu inwentarze i sprzęty gospodarskie w jakimkolwiek porządku, zostawili mu nawet niejaki zapasy w drzewie, w materiałach fabrycznych i zbytecznych narzędziach, a nadewszystko włożyli oni tak w fabryki, jak też i w ziemię, znaczne summy pieniędzy i pieniądze te tam były, i można je było ztamtąd jeszcze wydobyć. O to więc tylko chodziło, ażeby je rzeczywiście wydobyć....

Zapewne, że kto inny na jego miejscu byłby sobie w administracyi tego majątku postąpił inaczej. Jeżeli gdzie, to tu właśnie można było zaprowadzić od razu gospodarstwo forsowne, połączone z przemysłem i fabrykami, bo pierwsze lody już były przełamane i do wszystkiego założone podstawy gruntowe. Ale na to, ażeby takie gospodarstwo przedsięwziąć w roli, ażeby fabrykę materiałów drewnianych, gorzałki i piwa, prowadzić na własną rękę, potrzeba było znacznych funduszków; a on, nietylko takich funduszków nie miał, lecz nadto jeszcze miał długi. Jemu też przedewszystkiem innem nie powinno było chodzić o podniesienie dochodów, tylko o utrzymanie się przy majątku. Wszakże zrozumiał on swoje położenie dokładnie i wedle niego sobie postąpił. I trzeba mu było przyznać, iż sobie postąpił bardzo roztropnie.

Główną przyczyną, dla której ci, co kupują większe majątki niż ich fundusze, pogrążają się w wiekuiste kłopoty lub wreszcie popadają w bankructwo, nie jest to, że się oszukali na realnej tychże majątków wartości; ale zawsze i wszędzie to, iż z powodu braku należytej opieki nad rolnictwem, dochody własności ziemskich są nadzwyczajnie niestałe. Kto zaś ma długi na karku, których prowizya jest niezmienną i stałą a na jej spłacenie ma tylko dochody wiecznym a czasem nawet ogromnym ulegające zmianom, temu nic łatwiejszego, jak brnąć w długi coraz większe a wreszcie upaść zupełnie. Czy jest na to jaki ratunek? — Jeżeli jest, to oczywiście tylko ten jeden, ażeby przynajmniej tyle dochodów ustalić, ile wynosi roczna prowizya od długów. Zapewne, że takie ustalenie dochodów bardzo często jest niekorzystnem, ale porównawszy tę niekorzyść z niekorzyścią wynikającą z niebezpieczeństwa utraty całego majątku, zawsze trzeba pierwszej oddać pierwszeństwo. Zapewne także, iż takie ustalenie dochodów nie w każdym się da uskutecznić majątku: lecz u nas, gdzie prawie żaden majątek ziemski nie składa się z samych dochodów z roli, i gdzie przy tak wielkiej ilości żydów a ciągle się pomnażającej przemysłowej ludności, nie masz żadnej intratnej gałęzi, na

którą-by tuż pod ręką nie było dzierzawcy, prawie każdy dochodzik da się ustalić z łatwością. Wydzierżawiamy propinacye i młyny, gorzelnie i piwowarnie, tartaki i folusze, wręby lasowe, kamienio-łomy i cegielnie — a kiedy sobie chcemy zapewnić dochody z pastwisk, z łąk, z kawałków ornego pola, z mleka od krów, ze słomy i siana, z ogrodów warzywnych, to i na to znajdujem dzierzawców, Dobiesław zrozumiał prędko te okoliczności miejscowe — a mając tak wiele odrębnych źródeł dochodu w swoim majątku, oprócz nich nawet całkiem odrębne folwarki, dał sobie radę z łatwością. Jakoż poustalał sobie zaraz na samym wstępie wszystkie dochody, które tylko ustalić się dały — a zrozumiawszy wreszcie i tę okoliczność miejscową, iż wydzierżawiając niektóre ważniejsze przedmioty, można było wziąć kilkoletnie pieniądze z góry i niemi, zamiast corocznych prowizyi, kapitalne długi pospłacać: i na to się zdecydował, chociaż powypuszczawszy nareszcie wszystko, został się sam tylko przy głównym Grodowiskim folwarku. W skutek tego poddał się tej wielkiej niedogodności, iż jego majątek napęłnił się nieskończoną liczbą dzierzawców, w którym on sam nareszcie wyglądał prawie jak dzierzawca; ale za to osiągnął tę wielką korzyść, iż stanął odrazu na pewnych

nogach, miał z kąd z pewnością opłacać prowizye i ubezpieczył sobie posiadanie swego obdłużonego majątku na zawsze.

Stało się nawet jeszcze daleko więcej. Albowiem będąc należycie oględnym i cierpliwym przy wydzierzawieniu wszystkich źródeł dochodu, osiągnął z nich tak znaczną tenutę, iż ta, nietylko że przenosiła o wiele sumnę ciężącą na dobrach corocznej prowizyi, ale nawet, obrachowawszy wszystko z dokładną ścisłością, wyrównywała procentom od całego kapitału, który wydał za Grodowiska, i to w ten sposób, iż dochód z tego folwarku, który sobie zostawił, a który był dosyć znacznym, był już czystą korzyścią.... Skutek ten nadzwyczajny miał głównie do zawdzięczenia wybornie urządzonej gorzelni i głośnej już reputacyi równie wybornie urządzonego browaru; jakoż pocziwy kapitanisko, wykrywszy tę tajemnicę, cieszył się tem w dwójnasób, raz że się Dobiesławowi dobrze powiodło, a drugi raz, że mógł wykrzykiwać codziennie:

— Ot! głupie Prusaczyska! sami nie wiedzieli co mieli. Ale-to taki ten naród niemiecki! Kładź w łeb jak łopata, a łeb zawsze jak w rogu. Znam ja ich dobrze; byłem przecież u nich w niewoli. Ale co? Kałmuki, baszkiry i kabardyńce, troglodyty i bucentaury, u których także bywałem,

zawsze mnie zrozumieli, a z nimi zawsze jak z kobyłą w błocie. *Szrajben, szrajben*, mospanie Prusak! ale nie do gospodarstwa, a przynajmniej nie w Polsce, bo tu matnia na Niemcy.

I słuchali go wszyscy wesoło, bo i taki głos, lubo szorstki, zda się przy gospodarstwie. Najweselej go słuchał Dobiesław, bo była to przecież zawsze pochwała dla niego, który odniósł takie zwycięstwo nad Prusakami. Ze swego powodzenia w ogóle cieszył on się wprawdzie z umiarkowaniem, bo wiedział dobrze, iż możliwość płacenia procentów nie jest jeszcze zwycięstwem nad długami. Długi są jako śmierć; trzeba je zapłacić koniecznie. Jakoż widział on doskonale dalszą swą drogę. Nieustająca praca i jaknajściślejsza oszczędność były dla niego jedynymi środkami, mogącemi go zaprowadzić do celu. To też oszczędność i praca stały się jego hasłem, od którego postanowił sobie odstępować tylko o tyle, o ile na to zezwalać będzie dalsze jego powodzenie. Jednakże zawsze odniesione już dotąd zwycięstwo było dla niego źródłem nieocenionej pociechy. Albowiem przez uporządkowanie interesów przyniosło mu pewność siebie i spokój — a przez osiągnięte korzyści otworzyło nadzieję dalszych powodzeń, i dało mu wielką w jego własnem gospodarstwie swobodę. Jakoż z wesołym sercem, z śmiejącą twarzą,

przystąpił on do urządzenia swego gospodarstwa i domu — i postąpił sobie tu także tak oględnie i mądrze, jak wszędzie indziej.

Przedwszystkiem tedy usiłował on wyrobić to, ażeby teść jego wraz z kapitanem porzucili dzierżawę Wierźbnej a osiedli u niego. Dzierżawa ta bez Klotyldy była-by nie mogła iść dobrze, — rozerwanie rodziny było-by pociągało za sobą niemałe straty czasu — fundusze obracające się w Wierźbnej zdały się lepiej w Grodowiskach — a oprócz tego zdali mu się jeszcze obadwaj ci ludzie, którzy tam pracowali. Pomnożywszy tym środkiem swoje gospodarskie fundusze i siły nadzoru, uczuł on się jeszcze daleko swobodniejszym w urządzeniu swego gospodarstwa i urządził je rzeczywiście bardzo pięknie i systematycznie. Zaraz w pierwszych dwóch leciech okazały się rezultaty zadziwiające. Z pozostawionych przez Prusaków chudych i nędznych owiec, skutkiem umiejętnego przebrakowania i starannego żywienia, zrobiła się bardzo piękna i intratna owczarnia. Również przebrakowane i sownie żywione bydło zrobiło jego oborę wzorem dla sąsiadów; jego woły robocze wyorywały dziennie dwa razy tyle niż inne, jego rozkoszne krowy, obudzając zazdrość sąsiadów, przynosiły nieustającą pociechę Klotyldzie, a wyrabiane pod jej dozorem, a za

jego przepisem holenderskie sery uzyskały zaszczytny medal na wystawie rolniczej. Zgoła o niczem tam nie zapomniano w jego gospodarstwie — a czy-to trzody chlewne, czy ptactwo domowe wszystko to było duże, okrągłe, wesołe i już na pierwszy rzut oka dawało świadectwo gospodarzowi, iż udzielonego sobie od Boga królowania nad rodem zwierzęcym używa na chlubę swojego serca i rozumu.

W trzecim roku zrobiło to wszystko już znaczne postępy. Pan Bóg dał Dobiesławowi dwoje dzieciątek; trzeba było domek rozszerzyć, sług trochę przymnożyć i kuchnię powiększyć — stało się to wszystko bez najmniejszej dla Dobiesławowej kieszeni trudności. Owszem, popuścił on nawet sam cugle swoim wydatkom i wiele sobie rzeczy pozwolił, których musiał sobie dotychczas odmawiać. Tak kiedy dotąd obchodzono się u niego o trzech tylko dziennikach, dwóch polskich a jednym francuzkim, a kupowało tylko po kilkanaście książek corocznie, w tym roku leżało już sześć dzienników na stole Klotyldy, i wolno jej było całą pulkę zastawić nowo zakupionemi książkami. Poczyniono również niektóre upiększenia około pałacu, zrestaurowano część zniszczonego angielskiego ogrodu, założono piękny ogródek kwiatowy, Klotylda miała już parę ładnych

koni do swego powozu, jej ojciec otrzymał w darze wierzchowca i dwa charty wyborne — Dobiesław mógł wreszcie rozpocząć założenie nowego sadu, plantacye lip i pasieki podług metody Lubienieckiego. I było przytem szczęścia i pociechy niezmiernie wiele; bo Dobiesław już był pewnym, że wybrnie z długów pomału; miał już dochodów daleko więcej niżeli wydatków, dochody jego się ciągle zwiększały, i było rzeczą niezawodną, że się tak będą powiększać i dalej. Jakoż szczęśliwy nad miarę, miał jeszcze tylko jedno życzenie — a mianowicie to, aby mógł bez uszczerbku w swoim budżecie zawieźć swą ukochaną Klotyldę choć na cztery tygodnie do Francyi. On tyle lat tam przepędził, tyle tam przetrwał pracy i nędzy, powodzenia i szczęścia, tyle razy jej opisywał te kraje, te miejsca, tych ludzi, — ona go zawsze z taką uwagą słuchała, tak serdecznie te jego wspomnienia ukochała, tak drżała na to, ażeby mogła to wszystko własnymi obaczyć oczyma: — ach! jakże-by on był szczęśliwym, gdyby ją mógł tam zawieźć, wszędzie ją sam oprowadzić i wszystko to jej pokazać! — Wszakże przy takiej wytrwałości i pracy nic nie jest niepodobnem — a przy takiej zgodzie serc i umysłów każdego dosięga się celu. To też pod koniec czwartego roku, jednego szczęśliwego wieczora, przy zwy-

kłej przy herbacie rozmowie, ujął Dobiesław swą żonę za rękę i zawiadomił ją i jej ojca: że cały tegoroczny zbiór rzepaku i pszenicy może być wymazany z jego budżetu, a jeżeli tylko te obadwa produkty będą stać po czterdzieści złotych na targu krakowskim, to ich oboje w tym roku z pewnością do Paryża zawiezie.

Westchnęła na to z głębi serca Klotylda, — westchnął także jej ojciec. Ach! on tak dawno już nie był w Paryżu! i w swem ubóstwie przestał już nawet marzyć o tem, ażeby tam jeszcze mógł kiedy być w swoim życiu. Ale westchnawszy, uśmiechnął się przytem, a odjąwszy lulkę od ust, rzekł do Dobiesława:

— Życzę ci, ażeby pszenica i rzepak były po ośmdziesiąt złotych; ale przecież tak mi się zdaje, iż podobno pierwaj ja was oboje do Paryża zawiozę, niżeli ty się na to zdobędziesz.

— W takim razie, — odpowiedział na to Dobiesław, — cieszyć się będziem w dwójnasób, bo wtedy nasze pieniądze obrócimy na tysiące najrozmaitszych sprawunków.

— I tego wam nie pozwolę, — zakończył Wapnowski, — bo jeżeli ja was do Paryża zawiozę, to wtedy wszystko, co tam wydamy, pójdzie na mój rachunek. Czyż wy już od tylu lat nie pła-

cicie wszystkiego za mnie? Przecież się godzi, żebym ja choć raz za was zapłacił.

Na tem się skończyła ta pobieżna rozmowa, która wyglądała niby na żart, ale nim wcale nie była. Wapnowski bowiem, jak o tem na swoim miejscu wspomniano, miał jeszcze do żądania całą indemnizacyą z Starodzieńk. Starodzieńki poszły w zupełności na długi, ale indemnizacya została. Nie przyznano mu jej swojego czasu, jak każdemu takiemu, który pańszczyznę dokumentnie darował; ale jak wszyscy inni tak i on starał się wszelkimi drogami o jej przyznanie. Jeździł w tej sprawie kilkakrotnie do Wiednia i zawsze przyjeżdżał z nadzieją; lecz teraz miał już więcej niżeli nadzieję, bo miał pewną obietnicę, że mu cała indemnizacya ze wszystkimi zaległościami zaliczek i prowizyi wypłaconą zostanie. Jakoż istotnie w kilka dni potem wyjechał do Wiednia, Krakowa i Lwowa, i bawił blisko trzech miesięcy w tej drodze; lecz kiedy wrócił, przywiózł ze sobą sto czterdzieści i kilka tysięcy guldenów w papierach.

Wielki tryumf, wielkie szczęście i niewysłowiona uciecha! — choć u każdego z innych powodów. I tak Wapnowski cieszył się przedewszystkiem dlatego, że odtąd nie będzie już Dobiesławowi ciężarem, a za doznane od niego usługi będzie

mu się mógł dobrze wypłacić. Klotylda cieszyła się dlatego, iż doświadczywszy od męża tyle miłości, troskliwości i poświęcenia, będzie mu mogła wnieść jakiś posag, że go choć w części uwolni od tak ciężkiej pracy, że będzie mogła swe dzieci wychowywać starannie i zostawić im jakąś fortunę po sobie. Kapitan cieszył się także, ale dlatego, że przecież Polak choć raz uderł Niemców potężnie. A Dobiesław tylko bardzo pomiernie się cieszył; owszem, jego uciecha mieszała się z pewnym rodzajem trwogi. Trwoga ta mianowicie pochodziła ztąd, iż mu się pomimowoli nasuwała myśl, że Stanisław powróci teraz do dawnych swoich narowów i zacznie tracić. Nie chodziło mu przytem o pieniądze; on ich już teraz wcale nie potrzebował; owszem, był-by był daleko szczęśliwszym, gdyby Klotylda miała wszystko tylko jemu do zawdzięczenia. Tak się tem cieszył, że ją uszczęśliwił; jakże-by był szczęśliwym, gbyby był mógł to szczęście zachować do końca! Jemu tedy chodziło o to, że Wapnowski, począwszy żyć teraz inaczej, cały dom mu wywróci, wszystko odmieni i zburzy, a jego spokój tak ulubiony wypędzi z jego domu na zawsze. Ale było to mylne mniemanie. Inaczej sobie postąpił Wapnowski. Chociaż miał tak wiele pieniędzy, zaraz powrócił do domu, a już

nazajutrz odliczył Dobiesławowi ośmdziesiąt tysięcy i rzekł:

— Jest was dwoje, a ja tylko jeden, więc wam daję większą połowę i powierzam ją tobie, bo jestem aż nadto pewnym, że jej użyjesz rozumnie. Dałbym wam wszystko, ale dopóki żyję, chciałbym mieć przecież coś swego, ażebym wam, od których tyle odebrałem usług i poświęceń, mógł czasem sprawić choć jakąś przyjemność. Bądźcie wszakże pewni, że i części tego nie stracę, bo ja już teraz dla siebie potrzebuję bardzo niewiele.

Bardzo się wszyscy rozczulili tą prostą przemową; wszakże to rozczerzenie podniosło się jeszcze daleko wyżej, kiedy Wapnowski obróciwszy się do kapitana i wetknąwszy mu także jakiś pakiecik, objął go w swoje ramiona i rzekł do niego ze łzami:

— Mój Mateuszu! wiem ja to dobrze, że taka przyjaźń jak twoja nie jest do opłacenia pieniędzmi. Tyś mi przez lat trzydzieści służył jak matka swojemu dziecku — a jam cię za to karmił głodem i nędzą. Tyś nie spał i nie jadł, tyś chodził w łachmanach, tyś pracował jak ostatni wyrobnik, ażebyśmy mieli herbatę i świece woskowe. Oh! ja wiem wszystko! Takiego człowieka nie opłacić górami złota. Ale weź to odemnie, nie za nagrodę, lecz na pamiątkę....

Reszty nie mógł domówić — a tymczasem Mateusz beczał jak dziecko. I wydarłszy się z jego objęcia, mówił do niego przez łyzy:

— Ale fe! fe panie Stanisławie! co też ty pleciesz! Tyś mnie nagiego, tułacza, niedołęgę, kalekę, wziął w dom swój i gościł jak brata! Mnie było u ciebie jak w raju. Anim ja sobie na to u Boga, ani też u was zasłużył! Ot! co też pleciesz! — Potem zaś cisnąc ów pakiecik w swych rękę, dodał spokojnie: — A to co? i to niepotrzebne! Oddałbym ci zaraz, i chyba weź! na co mi tego!

— Oh! już co to, to napróżno.

— No! to niechże zostanie, — odpowiedział Mateusz. — Pójdzie to i tak do jednej skrzyni po mojej śmierci....

Głuche potem zapanowało milczenie, bo więcej było rozrzewnienia w tej chwili niżeli radości. Ale tymczasem Mateusz zaraz zasiadł pompatycznie za stołem, wdział okulary i zaczął rozkładać otrzymane pieniądze. Nie były to listy zastawne, tylko same banknoty — i było ich kilka tysięcy. Z dziwnem zajęciem rozkładał je staruszek na stole i układał w trzy kupki, choć były to same setki. Wszyscy na niego patrzyli z ciekawością. A on tylko kiwał głową i mówił do siebie:

— Jest tego porządna porcja.... Właśnie tyle. ile mi trzeba...

— Dlaczegoż to tak rozkładasz? — spytał z uśmiechem Wapnowski.

— Hm! — rzekł Mateusz.

— No, to ja ci powiem, — podjął Wapnowski i wskazując na kupki, dodał, — to się zmieni na dukaty....

— A zgadłeś! — zawołał kapitan, podnosząc ku niemu głowę tak nagle, że aż pokrzywione okulary spadły mu z nosa.

— A to na talary....

— A zgadłeś! a to?

— Za to się kupi czamara, bielizna....

— O! nie głupim! Tem, — rzekł pompatycznie Mateusz, powstając z miejsca, — pokaże się wam coś.... ale to sekret. Bo i ja też wiem sobie, jak można użyć pieniędzy, nie tylko Dobiesław. Dawno już o tem marzyłem, ale nie było *de quibus*.... Teraz ja wam pokażę.

Wszyscy byli niezmiernie ciekawi, co też on zrobi. Tymczasem Mateusz nie zrobił nic. Bo w samej rzeczy z tych pieniędzy kupił sobie tylko nowe okulary i kazał sobie uszyć dwie pary butów, wytargawszy przy ich robocie szewcowi po staremu połowę czupryny. Zresztą chyba tylko ta jedna widoczna zaszła w nim zmiana, że

odtąd częściej przychodził we fraku do herbaty, skarżył się częściej na szlachtę sąsiednią, że go nie estymuje, i nazywał ich hołyszami, grywał z wikarym maryasza po trzy grosze, co była rzecz stara, ale to była rzecz całkiem nowa, iż kiedy przegrał, to płacił. Dopiero później wydało się, co robił Mateusz. Oto pożyczał pieniądze żydom na zastawy a chłopom bez zastawu, ale darł ich ze skóry... Podszedł go w tem kilka razy Dobiesław i rostrząsał sumienie, przedstawiając wymownie, że lichwa to rzecz bardzo niezacna i niehonorowa. Ale nigdy go nie mógł zrozumieć Mateusz, owszem burzył się przeciw niemu, wołając:

— Ot co mi waść gadasz! przecież ja ludziom uczciwym nie pożyczam. A jeżeli już ani żyda ani też chłopą obdrzeć nie można, to kogoż drzeć będę? he? —

— Ależ nikogo! rzekł śmiejąc się Dobiesław.

— A ba! na całym świecie drze jeden drugiego ze skóry, a ja będę siedział z załamaniem rękami! Co mi tam waść pleciesz! —

I nie było na to żadnego ratunku....

Tak użył swoich pieniędzy Mateusz. Całkiem inaczej postąpił sobie Wapnowski. On, który nigdy przez całe życie nie myślał o robieniu pieniędzy, i teraz o tem nie myślał, lubo miał

środki i sposobność potemu; lecz chociaż tracił prze całe życie, jednakże teraz, przebywszy tak wiele i tak ciepłych doświadczeń, także i tracić nie myślał. Jakoż istotnie oprócz tego, co go kosztowała dwumiesięczna podróż do Francji ze swoją rodziną, nie prawie nie wydał. Kupił sobie parę koni wierzchowych, kilka kłaczy angielskich, kilka sfór psów, wziął od Dobiesława jeden folwareczek w dzierzawę, ażeby miał jakieś zajęcie; lecz zresztą niczego nie zmienił. Zawsze mieszkał przy swoich dzieciach, zawsze ich kochał, zawsze Dobiesławowi w gospodarstwie pomagał; tak było dobrze przez kilka lat — i na cóż to zmieniać? —

Jeszcze inaczej użył swoich pieniędzy Dobiesław. On był ojcem rodziny, o której przyszłość powinien się być troszczyć ze wszystkich sił swoich; on miał zawód dla siebie obrany! był silnym i młodym, praca była jego obowiązkiem; a kiedyż pracować, kiedyż fortuny przymnażać, jeżeli nie wtenczas, kiedy się jest młodym, kiedy dzieci jeszcze są małe i kiedy się ma tak mało wydatków? — Jakoż przedewszystkiem rozszerzył on zakres swej pracy. Poodbierał wszystkie folwarki z dzierzawy, objął gorzelnię na siebie, puścił browar na własną rękę, młyn wielki wystawił, inaczej pourządzał tartaki. Jakoż wtedy gospo-

darstwo jego całkiem inną przybrało postać i inne rozmiary. Mogąc się rozeprzeć na tysiącu morgów ornego pola, mając dwa tysiące częścią jeszcze istniejącego a częścią wyniszczonego lasu, mając znaczne fabryki własne a do tego odpowiednie fundusze, mógł teraz wiele rzeczy przedsięwziąć takich, o których dotychczas wolno mu było tylko czasem zamarzyć. Tak przedewszystkiem pomnożył i znacznie poprawił swoje owczarnię, — zaprowadził chów bydła na większą skalę i czynił z niem doświadczenia dokładne i umiejętne, — urządził kilka machin gospodarskich w sposoby tutaj nieznane, — wziął się do fabrykacji sztucznych nawozów na większe niż dotąd rozmiary, — poirrygował łąki stare a zabrał się do zakładania łąk sztucznych, — rozszerzył swoją szkółkę nasion pastewnych, ogród owocowy i pasiekę, — zabrał się wreszcie do zmiany gruntownej w lasach a rudując te, które mogły być zamienione w orne pola, zasiewając zaś inne, stał się jednym z pierwszych, którzy o tej ważnej gałęzi gruntownie myśleć zaczęli. Prowadząc jednak z energią i wytrwałością tak trudne i wielostronne prace do swego celu, t. j. do pomnożenia korzyści z ziemi, był stale wiernym dwóm ważnym myślom, które sobie wytknął razem z tym celem, a z których mianowicie pierwszą była ta, ażeby

we wszystkich doświadczeniach postępować jak najostrożniej i żadnego nakładu nie wystawiać na hazard, a drugą tą, ażeby panując dla pożytku swego, służyć zarazem ku pożytkowi pospolitego dobra. Jakoż istotnie niezmiernie on wiele przyniósł korzyści tak swoim uboższym, jak i bogatszym sąsiadom, i był w tem niespracowanym. Nauczył swoich niegdyś poddanych umiejętniej uprawiać rolę, popoprawiał ich gospodarskie narzędzia, pozapomagał ich w lepsze nasiona, porozszerzał pomiędzy nich lepszą rasę bydła i koni. Znalazłszy pomiędzy nimi kilkunastu skłonniejszych do przyjmowania wszelkich ulepszeń, popoprawiał im domy z kominami, z piecami oszczędzającemi paliwo, pozakładał im sady, pourządzał ogrody. Opiekując się zaś od samego początku ich szkołą, założył dla ich dzieci u siebie szkołę rolniczą, sposobiąc je na dobrych parobków, karbowników i ekonomów.

Również uczynnym był i dla swoich bogatszych sąsiadów. Nie masz może kraju w całej Europie, w którym-by wszelkie innowacye na tak twardy trafiały opór, jak u nas. Nie pochodzi to z gruntownej przeciwko wszelkiemu postępowi niechęci, ani z nierozwiniętej jeszcze do pożądanego stopnia oświaty, ani, jak chcą niektórzy, z wrodzonego słowiańskiej naturze lenistwa; ale

raczej ze zniechęcenia, wynikającego z towarzyszących naszemu życiu okoliczności. Zdaje się, jakoby w każdym sercu odżywała jakaś odziedziczona tęsknota, która mówi: Dopóki tęsknię, nie chcę niczego, dajcie mi cierpieć w spokoju! — Tak to jest — i tu leży powód naszej ociężałości. Cóżkolwiekby, na każdego, co jakiegokolwiek nowości ze sobą przynosi, cały świat patrzy zżymem. Bodaj nawet, czy nie masz takich, którzy mu życzą w skrytości, aby kark skreślił czemprędzej i nie robił nieprzyjemnego dla nich hałasu.... Otóż tak także patrzano zrazu na Dobiesława. Nie wierzono w skuteczność jego gospodarstwa z sztucznymi nawozami i pastwiskami, stawiano na równi rozum pruski i rozum francuski, a Bóg go strzegł, że go nie spotkało jakie nieszczęście, bo był-by mu pewnie, tak jak Prusakom, zawtórzyl śmiech homeryczny.... Ale kiedy pierwsze lata prób i doświadczeń szczęśliwie minęły, a Dobiesław nie ginął, lecz owszem podnosił się w dobrym bycie, zaczęła się zwracać na niego coraz przychylniejsza uwaga. A kiedy wreszcie urządził kilka machin nadzwyczaj prostych a bardzo praktycznych, kiedy jego wełna z owiec na sztucznych utrzymywanych pastwiskach stanęła wysoko w cenie, kiedy barany z jego owczarni a wołki z jego obory zaczęły się rozchodzić po

świecie, kiedy za jego zboże zaczęto płacić o kilka złotych więcej na korcu: to niedowierzenie całkiem ustało, a sąsiedzi zaczęli gęsto przyjeżdżać do niego, przypatrując się jego gospodarstwu, wypytując o wszystko i ucząc. Zaczęły się też po kolei odzywać wymagania do niego; ten potrzebował zboża na nasienie, inny zażądał nasion pastewnych, trzeci go prosił o pomoc w urządzeniu młyna, czwarty zasięgnął jego zdania co do sposobu osuszenia gruntów i łąk, piąty zapragnął jego rady w administracyi całego majątku. A kiedy Dobiesław nie tylko nie wymówił się nikomu, lecz owszem sprzedanym produktom naznaczał ceny skromne i słuszne, a jaką radę dał, ta zawsze się okazała skuteczną: natenczas, jak to się u nas dzieje najczęściej, dawne niedowierzenie zamieniło się w ślepą wiarę, obojętność w miłość serdeczną, a niechęć w powszechny u sąsiadów szacunek. Toż postępując tak dalej, wzrastał się coraz więcej w miłości, wzrastał w szacunku, i stał się wreszcie powszechnie uznaną powagą dla swojego sąsiedztwa. Od roku już cała okolica się ogląda na niego, jego głos jest przeważnym, jego zdanie prawie stanowczem dla wszystkich; w razie potrzeby potrafiłby porwać całe swoje sąsiedztwo i poprowadzić wedle swej woli....

Ze zmianą swoich stosunków majątkowych, zmienił on także urządzenie swojego domu i domowego budżetu. Był on zawsze oszczędnym, zawsze się bardzo ściśle z każdym groszem rachował, zawsze rachunki swoje utrzymywał w pedantycznym porządku; ale już teraz nie potrzebował się tak bardzo oszczędzać jak dawniej, bo na innych stał nogach i inne miał teraz dochody. Jakoż teraz już jego pałac był wyrestaurowany i odnowiony w całości, i były w nim sprzęty wykwintne; już teraz cały park był utrzymywany w porządku, odnowiona oranżerya ojcowska i brzoskwiarnia. Już się znalazły u niego konie powozowe i znalazł się konik wierzchowy; już było w domu kilkanaście dzienników, już były wszystkie książki co lepsze, i były częstsze relacje ze światem. Już się tam kilkakrotnie co roku powtarzały prośzone obiady i herbaty, już był gość częstszy ze stron oddalonych, już się to wreszcie zrobił dom taki, w którym się gromadziły wszystkie nowiny z całego świata, w którym muzyka i literatura, sprawy obywatelskie i polityczne, miały stałą gospodę dla siebie, a w którym przy nowożytnym polorze każdego głównie chwytają za serca nasza starożytna gościnność i polskość. I przypomniały się całemu sąsiedztwu świetne niegdyś czasy Grodowisk za życia ś. p.

Seweryna i Klaudyi — i przypominały się zarazem świetne czasy Starodzieńk za życia matki Klotyldy. A przypominały się te czasy może głównie dlatego, że jak tu niegdyś Klaudya a tam matka Klotyldy, tak teraz tutaj tak samo niewypowiedzianej słodyczy i wdzięku dodawała swojemu salonowi Klotylda. Artystka tak znakomita na fortepianie, jak ś. p. Klaudya, a tak samo uprzejma, grzeczna, serdeczna, jak jej nieboszczka matka, umiała ona nietylko tak samo przyjmować gości, tak ich zająć i ująć i przywiązywać do swego domu, jak obydwie kobiety tamte, ale także samo jak tamta umiała zachować siebie na zawsze w tym poważnym, pół-świątobliwym uroku, który się tylko wyższością umysłu i znamienitemi cnotami osiąga, a który się prawie wyłącznie tylko u naszych polskich spotyka niewiast. Takie zdanie miano powszechnie o Klotyldzie — i dlatego jej salon przypominał tak żywo salony jej matki i Klaudyi. Jednakże ci, którzy tamte czasy zapamiętali, przyznawali również powszechnie domowi Dobiesława znaczną wyższość nad obudwoma tamtymi. Na pierwszy rzut oka było widać postęp ogromny. Postęp ten zaś leżał wogóle w tem, iż kiedy tam można się było tylko przyjemnie rozerwać, tu można się było tak samo rozerwać, ale także i czegoś nauczyć.

Tam bowiem była przedewszystkiem tylko zamożność wynikająca z intratnego z natury majątku — a tu były dostatki, wynikające z zapobiegliwości i pracy. Tam mieszkali panowie, którzy spożywali szczęśliwie swoje dochody — a tu mieszkał rolnik z zawodu, który swoje wydatki zastoso- wywał ściśle do swoich ciężko zapracowanych dochodów. Tam wreszcie spotykało się tylko pęk wiadomości może błyszczących lecz luźnych, — a tutaj spotykało się gruntowną naukę. To też z tamtejszych odwiedzin wywoził każdy tylko przyjemne wspomnienia — a ztąd przykłady pouczające, przekonania dowodne o potrzebie nauki i pracy, a często nawet pomysły takie, które się stawały przedmiotem zajęcia na czas dłuższy, czasem na całe życie. Dobiesław bowiem zrozumiał gruntownie swe powołanie — i służył swoim sąsiadom nietylko w gospodarskim i kuchennym zawodzie, ale starał się także o to, ażeby dom jego był wzorem cnót domowych, rodzinnych i obywatelskich. Starał się mianowicie o to, ażeby dom jego opierał się głównie na miłości, jedności i zgodzie, — ażeby ta miłość, jedność i zgoda była dla wszystkich widoczną, — ażeby było widocznem, iż tylko te cnoty jego rodziny dopomogły mu do tego, że się ze swego niebezpiecznego położenia wydobył

— i ażeby się wreszcie wzór tych wysokich i niezbędnych cnót dla nas rozchodził pomiędzy jego sąsiadów. I takim w samej istocie był jego dom — i głównie dlatego stał się przedmiotem tak powszechnego szacunku.

* * *

Słyszając wspomnienie o jedności i zgodzie, o której w tej chwili tak głośnie wiodą się rozmowy, powie może niejeden: — Jeżeli tam była taka jedność i zgoda, to tam nie było żadnego życia, bo głównym warunkiem życia jest ruch i tarcie się przeciwnych sobie żywiołów, a jedność i zgoda, to martwota, to śmierć. — Drugi zaś może zgoła zapyta: — Jakto? trzech było Polaków pod jednym dachem, i była jedność i zgoda? Ja temu nie wierzę. —

I ja temu nie wierzę — i jak nie powiadam, ażeby, że tu użyję trafnych słów Mochnackiego, „rozniesienie się mniemań“ nie było koniecznym warunkiem „życia“, — tak nie powiadam także, że w domu Dobiesława była tak szczelna jedność i zgoda, jaka sprowadza za sobą martwość. Owszem przeciwnie, każdy to mógł już od dawna uważać, iż pomiędzy tymi trzema mężami zachodziła bardzo wielka różnica w opiniach.

I tak Wapnowski był to arystokrata nawskróś. Urodzony w domu starożytnym szlacheckim, był on od dziecka przejęty temi zasadami, jakie zazwyczaj w takich rodzinach chowają się tradycyjnie z wieku na wiek, i które nawet w części są ich duchem ożywczym. Ztąd nie pochwałał on żadnego innego rządu jak monarchiczny, — nie pojmował narodu bez szlachty, — nie był na żaden sposób w stanie uczuć się równym człowiekowi takiemu, który-by nie był szlachcicem herbowym. Jako człowiek oświecony pojmował wszystkie nowe nabytki ludzkiego ducha, a więc pojmował i postęp; lecz pragnął, ażeby każdy postęp rozwijał się tylko na zasadach czystonarodowych i tradycyjalnych. I tak n. p. dopuszczał on ciałoobrania idei demokratycznych, ale tylko w ten sposób, ażeby się lud podniósł do szlachty i ażeby się z czasem, że tu znowu użyję słów Mochnackiego, „cała Polska wybrukowała herbami“; tak także dopuszczał on wszelkich możliwych swobód i wolności, lecz pragnął, ażeby te swobody się rozwijały, dziś bez uszczerbku dla historycznej starszyny narodu, a kiedyś pod opieką tejże starszyny i tronu. Nawet w towarzyskiem pożyciu i wszelkich stosunkach z ludźmi trzymał się ściśle tych samych zasad. Obchodził się dobrze z ludem, był z całego serca za jego

usamowolnieniem zupełnem i dał tego dobitne w roku czterdziestym szóstym dowody; był za podnoszeniem jego oświaty, i szczerze dopomagał ku temu; żył przytem chętnie z każdym człowiekiem, który się z ludu wydobył, a odznaczył się wyższą oświatą, osobistą zacnością i miłością ojczyzny, kochał nawet tych ludzi, cenił czasem wysoko i otaczał szacunkiem: lecz przy tem wszystkiem nie mógł nigdy zapomnieć, iż on sam jest także zacnym i kochającym ojczyznę — a nadto wszystko jest jeszcze szlachcicem, chowającym w sobie narodowego ducha, przejętego wprost z dziejów, i dziedziczącym rodzinnie wielkie zasługi i chwałę narodu. Takim był Wapnowski.

Dobiesław był mu w zasadach tak społecznych jak politycznych dyametralnie przeciwnym. Był on demokratą, jak to mówią, *de puro grano*. Jakakolwiek różnica pomiędzy ludźmi co do ich społecznego stanowiska i praw na tej ziemi, — a! ba! ani mu było o tem wspominać. On pod tym względem trzymał się ściśle tego, czego nas uczy anatomia: jeden człowiek jest jako drugi. Na takiej oparty zasadzie, co do wolności i swobód, to pragnął ich jak najobszerniejszych — a co do formy rządu, republiki. A tymczasem, nim się to stanie, to wieczna i nie-

ustająca opozycja przeciw wszystkiemu, co temu stoi na drodze! I wieczna opozycja jeszcze i potem, dopóki jeszcze jakibądź płatek, jakibądź strzępek starego świata będzie zawadzał na ziemi! — Takie były jego zasady. — Ale co innego jest mieć jakieś zasady — a co innego wprowadzać je w życie. Otóż co do wprowadzania tych zasad w życie dopuszczał on pewnych modyfikacji. Powiedziałem już wyżej, że nie był on ani idealistą, ani materyalistą, ale był człowiekiem realnym w najściślejszem znaczeniu. Więc jako człowiek realny wiedział on przedewszystkiem o tem, iż jeszcze żadne społeczeństwo ludzkie od stworzenia świata do dzisiaj nie dało się zmienić w podstawach swojego bytu gwałtownie i nagle; — i wiedział dalej, iż na to, aby się społeczeństwo takie, w których tak radykalne zasady zaledwie się zaczęły zasiewać, całkowicie niemi przejęło i wedle nich urządziło więź swoją społeczną, trzeba bardzo długiego przeciągu lat, trzeba może wieków; — i wiedział wreszcie, że tak człowiek jak pokolenie tylko natenczas swojego przedsięwzięcia dokona, jeżeli go zastosuje do sił swoich własnych i oznaczonej z natury rzeczy ważności w czasie, a jeżeli się zerwie na przedsięwzięcie, którego mogą tylko dokonać wieki, to nic nie robi i samo pod jego ciężarem ulegnie.

Już tedy dlatego samego, lubo nie widział jeszcze potrzeby zmieniania swoich pragnień w zasadzie, jednak widział konieczną potrzebę modyfikowania ich znacznie przy wprowadzaniu ich w życie. Tę potrzebę modyfikacyi wpoił weń jego zdrowy rozsądek, wyćwiczony na dokładnej nauce historii i filozofii. Wszakże do jeszcze daleko znacznie-szych modyfikacyi skłoniło go jego zdrowe oko, patrzące na naród ten, w którym miał zastosowywać swoje zasady, i tego narodu położenie obecne. Badając ten naród, jego więź społeczną dzisiejszą, jego stopień oświaty, jego stosunki zewnętrzne, a głównie te podstawy wewnętrzne, na których się dzisiaj jego żywioł rodziny opiera, i na których się jeszcze długo będzie musiał opierać w przyszłości, przyszedł nawet do przekonania: iż tutaj jego zasady społeczne stają częstokroć w sprzeczności z rzeczą daleko od siebie ważniejszą, bo z głównymi warunkami narodowego bytu na teraz a politycznego w przyszłości. I tak n. p. wedle jego teoryi należało-by pielęgnowanie ducha i spraw narodowych wyrwać z rąk ludzi tych, którzy się tem zajmowali dotychczas, a którzy mają zamało ognia i zapалу dla pojęć nowszych, i należało-by ich całkiem odsunąć na stronę i zastąpić innymi — a tu tymczasem właśnie tych ludzi odsuwać nie można,

bo oni są jeszcze zawsze głównem narodowego ducha objęciem, jego wyrazem i siłą, a nie masz, kto-by ich godnie zastąpił. Wedle jego teorii należało-by wszystkie dotychczasowe powagi obalić, zmiąć i pogrzebać, bo się zużyły, ocieężały, odpoczywają w spokoju i martwy spokój rozszerzają około siebie — a tu tymczasem właśnie tych powag obalać nie można, choćby tylko dlatego, iż są skarbnicami naszych duchowych prac i zasobów, ściągają przez siebie ku nam poszanowanie u obcych, i są naszą chwałą, naszym zaszczytem, naszą reprezentacją na zewnątrz.... Tak rozumując, czuł on się zniewolonym do bardzo wielu modyfikacyi swoich teoryi na dzisiaj. Ale pomimo to zasad swoich w gruncie się nie zapierał — i był zawsze z całego serca za nieustającą pracą, za postępem, za ruchem! — o ile można, bez strat i ofiar, — ale choćby nawet z stratami i ofiarami! byle nie kisnąć, nie martwieć, nie gnić w bezczynnie, a iść wciąż naprzód, naprzód i naprzód bez końca! —

Czemże był wreszcie nasz ukochany Mateusz? — Jego chatakter publiczny bardzo trudno określić, chociaż ludzi usposobionych tak samo jest u nas bardzo wiele. Ale próbujmy. Otóż na pierwszy pozór zdawał on się być niczem, bo nie miał żadnych zasad wyrobionych do tego

stopnia, ażeby się dały zamienić w teorye. On miał tylko wspomnienia, uczucia, sympatyę i antypatyę, które w rozmaitych okolicznościach ku rozmaitym pociągały go zdaniom. Ztąd nie był ani arystokratą ani demokratą, czyli raczej był jednym i drugim: demokratą względem wyższych od siebie a arystokratą względem niższych. Jego demokracja objawiała się głównie przez to, że panów nie cierpiał, ale objawiała się na tej drodze bardzo dobitnie. Spiewał on zawsze jakąś starą piosnkę z czasów Targowicy i Sejmów Grodzieńskich, — zapominał zupełnie, że od tego czasu minął wiek cały, — a natomiast czytywał najchętniej te wszystkie książeczki, gdzie pijany rozpaczą duch społeczeństwa, zamiast pracować rzetelnie około pospolitego dobra, pieni się nienawiścią przeciwko rodzonej braci. I kiedy mówił o tem, to mówił seryo, — dnie takie, jak 10 maja 1794 i 15 sierpnia 1831, czczył jako święta, — a myśląc o Polsce, wzdychał do nich najpobożniejszym westchnieniem. Piekielne wrzaski miejskiego ludu, topory i noże, tłumne wyroki i szubienice, — były to nieodbite dodatki do jego snów rajszych o najszcześniejszej przyszłości... Wszakże trzeba mu to przyznać, iż jeżeli w tych snach było więcej historycznego wspomnienia, niżeli zasady na przyszłość, to było w nich

jeszcze coś więcej: bo on sam siebie w nich nigdy nie widział pomiędzy tłumem ulicznym, ani z toporem w rękę, ani też z nożem, lecz po staremu, w mundurze pułków liniowych, na czele swojej kompanii, przypuszczał szturm do arsenału! Cóżkolwiekby, zawsze panów nie cierpiał — i nawet bardzo niewiele trzeba było na to, ażeby u niego być panem. — Wszakże za to tak samo nieubłaganym arystokratą był względem niższych od siebie. Nigdy nie mógł zrozumieć tego, na co-by było potrzebnem oświecać lud, kiedy chłop wedle niego miał i tak rozumu aż nadto; siedział zawsze jak na niemieckim kazaniu, kiedy debatowano o podniesieniu miast, rzemiosł, przemysłu i handlu — a co nieraz mówił o chłopach-mudiach, o mieszczanach-kołtunach, o ekonomczukach i popowiczach, tego nie trzeba powtarzać. Ale i tutaj należy mu przyznać, że kiedy mu jakiś mieszczanin, chłop albo rzemieślniczek wędrowny, choćby był odarty jak Łazarz i nędzny jak Job, wspomniał o Polsce, to mu łzy w oczach stawały, podawał mu rękę braterską i na serdecznej gawędzie kilka godzin z nim trawił. A cóż dopiero, kiedy mu wpadł w rękę ktoś taki, który cierpiał za Polskę! Mateusz wtedy rozlewał się sercem jak powódź, pokorniał na duchu jak dziecko i gotów był ślady stóp jego całować..... Już tedy

z tych kilku szczegółów nie trudno pojąć, iż zacny kapitanisko nie miał właściwie żadnych zasad, tak pod względem społecznym jak politycznym. Tak jak rzeczy dziś stoją, chciałby był wszystko wywrócić do góry nogami i republikę zaprowadzić, — lecz gdyby otrzymał tylko częsteczkę władzy w swe ręce, to był-by srogim despotą. Jednak z tych samych szczegółów widać także, iż na drodze widoków ogólnych miał on pewne pojęcia jasne i niezmiennie. Nie widział ran szczegółowych, na które nasze społeczeństwo choruje; ale widział i czuł jedną ranę wielką i ogólną. Ranę tę pojmował on radykalnie — i radykalne też na nią podawał lekarstwo. Tego lekarstwa był gotów użyć każdego momentu, choćby dziś, i bez żadnego względu na skutki.... Była-to tedy głowa nieosobliwa, ale serce ogromne; mądry był niezmiernie palny, garnący się zawsze tam, gdzie goręcej, i gotów zawsze do fajerwerku, choćby go puścić w swoją własną stodołę. Takim był Mateusz.

A kiedy mówimy o zasadach i przekonaniach, to nie pominemy i tego, iż w Grodowiskach było jeszcze dwóch ludzi, którzy acz nie pod jednym mieszkali dachem, jednak duchem i sercem do tej samej należeli rodziny. Byli to obadwa xięża miejscowi. Znamy ich już cokolwiek i mamy już

główne typy przed sobą, a więc ich charaktery publiczne kilkoma skreślimy słowami.

Więc tedy wikary, lubo w teoriach zgadzał się szczelnie z Dobiesławem, jednak nie zgadzał się na wszystkie przyjęte przez niego modyfikacye. Nie przeczył temu, iż naraz wszystkiego zrobić nie można, ale był zdania, że zawsze, im więcej się żąda, tem więcej się otrzymuje. Zaczem z teoriami Dobiesława łączył się raczej do fantazyi Mateusza, i wyjąwszy jego przesady, z nim najwięcej harmonizował.

Kanonik zaś trzymał najbliżej z Wapnowskim; ale były i między nimi znaczne różnice. I tak, kiedy Wapnowski, lubo był katolikiem niezmiernie ścisłym, stawiał na pierwszym miejscu interesa narodu a na drugim dopiero interesa kościoła w narodzie, kanonik je ustawiał przeciwnie. I kiedy Wapnowski, nie przecząc wcale a nawet wierząc w skuteczność dyplomacyi, przecież nie pozbywał się wiary w szablę; Kanonik szablę uważał za *pessimum malum* i wszystkiego oczekiwał od zmiłowania Bożego, sprawiedliwości ziemskich mocarzy i dyplomacyi. I były pomiędzy nimi jeszcze i inne pomniejsze różnice, ale dosyć i na tych.

Owo więc, gdzie rodzina składała się z członków w zasadach i przekonaniach tak bardzo się

między sobą różniących, rzecz oczywista, iż tam nie mogła mieć miejsca ta zgoda spokojna i niczem niezakłócona, która jest odrętwieniem i znakiem śmierci. Owszem przeciwnie, tarły się tam ze sobą bez odpoczynku opinie, odbywały się długie dyskusyje, nie brakowało i sporów, — nie brakowało nawet i tego, że ci i owi w szczególnych kwestyach łączyli się z sobą i uderzali na siebie w skupieniu, i znowu się rozłączali, i znów uderzali. O niejedną prawdę szczegółową wojowano ze sobą przez kilka tygodni, — po wyświeceniu innych odwoływano się do książek albo do ludzi specjalnie uczonych — a bardzo wiele z nich pozostało w zawieszeniu do dziś dnia, bo nikt się nie dał zwyciężyć....

Ale pomimo tych sporów, takich zawziętych i nieustających, była pomiędzy tymi ludźmi również nieustająca miłość i jedność i zgoda.

Była miłość, bo każdy szanował zasługi i zacność każdego z swych braci, nikt nie wojował bronią podstępną lub w jakibądź sposób niezacną, i nikt się tam nie zapomniał do tego stopnia, ażeby zapragnął swojemu zdaniu zapewnić zwycięstwo kosztem osobistości kogoś drugiego.

Była jedność, bo mimo tak znacznej różnicy zdań, wszyscy mieli przed sobą jeden i ten sam widok ogólny — i wszyscy mieli wzajemną ufność

i wiarę, iż każdy z nich dąży wszelkimi siłami do niego.

Była nareszcie zgoda, bo wszyscy zgadzali się na to, iż przedewszystkiem należy kochać, nie swoje własne zasady i przekonania, ale wspólną ojczyznę, — że w czasach spoczynku można się spierać o swoje zasady, lecz w każdej chwili ważniejszej każdy spór taki jest zbrodnią, — bo w takiej chwili należy poświęcić wszystkie partykularne zasady celom ogólnym, a podawszy sobie wzajemnie ręce, iść razem, nie taką drogą, jaką sobie każdy w swej wyobraźni uroił, ale tą, jaką się właśnie w tej chwili utworzy.

Jakoż można było być pewnym, iż jakakolwiek-by się zdarzyła sposobność do wspólnego działania, do wystąpienia na scenę publiczną, do przedsięwzięcia jakiejś czynności w celach ogólnych, — nikt-by tam nie zaczynał od wywieszenia swej własnej chorągwi, od zdobywania dla swoich partykularnych przekonań pierwszeństwa, od kłótni i sporów i plwania na siebie nawzajem, — ale wszyscy-by sobie w ten moment podali ręce, a zapomniawszy na teraz zupełnie o różnicach swych zasad, wzięli-by się jak jeden człowiek do pracy, służącej pospolitemu dobru i widokom ogólnym. —

W tem przekonaniu o ich wzajemnej miłości, jedności i zgodzie, w tej pewności tak zwięzłej spójni pomiędzy sobą, leżała ich powaga na zewnątrz, ich siła na wewnątrz, dzielność umysłów, pogoda serca i szczęście. Toż w samej rzeczy była ta rodzina poważaną w całym sąsiedztwie i swoją powagą wywierała nie w jednym kierunku bardzo zbawienne wpływy, — możnością swoją i siłą zrobiła już wiele dobrego i ciągle służyła ludziom, — a przy pogodzie swojego serca była szczęśliwą, szczęśliwą tem przekonaniem, iż kiedy ją okoliczności w jakim bądź celu powołają na scenę publiczną, to wystąpi jako pięcioramienny posąg z jednego wylany kruszcu i dobru pospolitemu nieobojętne przyniesie pożytki.

Najszcześliwszym ze wszystkich był oczywiście Dobiesław. On to sam przecież złożył tę zacną rodzinę, on ją chował pod swoim dachem, on jej głównie dodawał siły i ducha, on prawie nad nią panował. To jego była rodzina — on był ztąd niezmiernie szczęśliwym! —

Ale czy jest jakie szczęście w tem życiu, które-by było zupełnem, którego-by nic nie mąciło, któremu-by żadna chmurka nie zasępiała czoła? —

Nie, nie ma.

A więc i Dobiesław nie był zupełnie szczęśliwym, i on wśród swego szczęścia niejednokrotnie swe czoło zasepiał, i on miał swojego mola, który go często dogryzał.

Cóż mu więc dolegało?

Czy nasze wspólne boleści, które z wyroków Bożych już w naszej znajdujemy kolebce, które na całe życie ciężką nas okrywają żałobą, i które, my nieszczęśliwi! musim zabierać ze sobą do grobu? — O nie! — Boleści te bowiem są częstką składową naszej istoty, są naszą rodzimą chorobą — i więcej, bo są naszym zdrowiem, które ożywiać, wykształcać, rozszerzać, do najwyższej podnosić potęgi, jest naszym obowiązkiem, naszą największą zasługą i chwałą. Dobiesław był zdrow przy tej chorobie i cieszył się, że ją posiada w takim wysokim stopniu...

Jemu dolegała rzecz daleko mniejsza, ale dość ważna. Jemu dolegało to, że miał brata — a żył z nim w niezgodzie, raczej całkiem z nim nie żył, od pięciu lat już go nie widział, już nawet twarzy jego zapomniał! — On, który potrafił tak sprzeczne pogodzić ze sobą żywoły, który całym swym domem i państwem przedstawiał wzór zgody braterskiej, który sam wreszcie był, że tak powiem, wywieszonym sztandarem jedności, — on z swoim bratem rodzonym,

z swoją krwią własną, w wiecznem żył rozdwojeniu! — Jakiemiż oczyma patrzy na to świat? cóż o tem powiedzą ludzie? — Bez wątpienia, że świat, zwłaszcza bliższy, znał dobrze jego brata, znał również tego rozdwojenia przyczyny, a zatem powinien go być usprawiedliwić. Ale już dalszy świat nie znał tych przyczyn. — a zresztą świat cały, jak jest, nie wdaje się nigdy w badanie przyczyn i sądzi tylko fakta, a faktem niezaprzecznym była ich obustronna niezgoda.

Ta myśl przypominała się Dobiesławowi już od roku prawie codziennie, niepokoiła go nieraz wśród najważniejszego zajęcia, zatruwała mu chwile najweselszej zkądinąd pociechy....

Zastanawiał się tedy nad tem bardzo pilnie — i sądził swoje zachowanie się względem Krzesława w sposób dwojaki: raz sercem a drugi raz sumieniem. Wszakże ztąd przychodził zawsze do wyroków dwojakich. Kiedy bowiem brał na sąd swoje uczucie, to znachodził je najsprawiedliwszem. Ten brat jego popełnił tyle występków przeciwko niemu samemu, przeciwko swojej własnej rodzinie i przeciw swojej ojczyźnie, był tak niezwichniętym w swem samolubstwie i tak zupełnie bezpożytecznym członkiem w swem społeczeństwie, tak zaraźliwym przykładem dla drugih, tak ciężkim wrogiem wszelkich spraw dobrych, iż nie zasłu-

giwał na żadne względy, ani na litość, ani na miłosierdzie. Najszlachetniejszą jeszcze karą dla niego była pogarda, ale karą konieczną; bo jeżeli świętymi są obowiązki rodzinne, to jeszcze daleko świętszemi obowiązki względem ojczyzny. — Lecz jeżeli tę sprawę wziął na sąd świadomego swoich wyroków sumienia, to przychodził do wniosków wcale przeciwnych. A wtedy myślał: Krzesław jest winowajcą, to prawda, zasłużył przynajmniej na powszechną pogardę, i to prawda: ale wymierzywszy tę karę przeciwko niemu, czyż osiągnie się tem jakibądź skutek dobry i pożyteczny? Uparty przy swoich grzechach dziś, czyż nie będzie trwał w swoim uporze na wieki, jeżeli zostanie wzgardzonym i odosobionym od świata? Pogarda i odtrącanie od siebie ludzi zamożnych lub zdolnych w jakimkolwiek zawodzie, jest-że to w naszym położeniu rzeczą rozsądną? Czyż nie lepiej jest winy popełnione przebaczyć — postępowaniem szlachetnem z swej strony dać winowajcom pochoć i sposobność do uznania swych win i poprawy, — a czy się poprawią istotnie, czy tylko pozornie — z ich usposobień, majątków i zdolności tymczasem dla dobra pospolitego korzystać? — Tak rozumował Dobiesław. Jego purytanizm patryotyczny ciągnął go kędy indziej, a jego sumienie, jego zdrowy rozsądek, jego

realizm, znów kędy indziej! I chwiał się, i wahał i sam nie wiedział co-by miał począć....

I jak się to zwykle w takich wypadkach wydarza, nic nie postanowił i nic nie poczynił. Natomiast zaś tylko tem pilniej dowiadywał się o zachowaniu się Krzesława i jego usposobieniach dzisiejszych. Ale i to go nie przeważało na żadną stronę. Kiedy się bowiem dowiedział, że Krzesław przez śmierć Nowickiego, jego syna i drugiej córki, jakoteż przez szczęśliwe handle zbożowe, przyszedł do tak znacznej fortuny, iż go dziś miano za najbogatszego obywatela w całym powiecie, to go to pociągnęło ku niemu, bo widział, iż im jest bogatszym, tem łatwiej go skłonić do dobrych na korzyść pospolitego dobra uczynków. Lecz kiedy się przytem dowiedział, że Krzesław z pomnażającym się majątkiem w coraz większe popada nedorzecznosci, że zaczął na pana chorować, że cały swój dom zcudzoziemczył, że nawet podobno się stara o jakieś zaszczyty, na które niczem sobie nie zasłużył.... to go jeszcze bardziej odtrąciło od niego. I znowu chwiał się, i znowu nie wiedział co-by miał począć....

Ale tymczasem przyszły mu w pomoc wypadki. Oto z mgły ciemnej, bezbarwnej i martwej, — z mgły dziesięcioletniego po stratach materialnych i zawodach moralnych spoczynku, — z tej

mgły obrzydliwej, w której publiczność polska, nad mglistymi kiwając się dziennikami, zatapiała się głęboko w subtelne nicości rozpraw o „solidarności państw i wspólności interesów“, a zapomniawszy już prawie zupełnie o sobie, zaczęła przychodzić do wiary w ostateczny rezultat filozofii Hegłowskiej: „że wszystko, co jest, dobre jest;“ — z tej mgły straszliwej, cuchnącej trupem i pogrzebem, zaczęły zwolna wybłyskiwać radośne światła nowego życia i ruchu. Tym razem trzeba podobno koniecznie przyznać to szlachcie, że ona pierwsza, przez nikogo nieobudzona, dała znak głośny, iż już odpoczęła i jest gotową do pracy. Z jej łona bowiem wyszły już wyrobione projekty banków rolniczych, mających wspomózenie naszego ubóstwa na celu, — z jej łona wyszło ruchliwe Towarzystwo ogniowe, mające na celu ubezpieczenie tego ubóstwa od strat niespodzianych, — z jej łona wreszcie wyroliło się tysiąc projektów najrozmaitszych Towarzystw i Spółek, mających na celu skupienie sił i ułatwienie im nabywania wzrostu, i pomnożenia środków materialnych. Cóżkolwiek bądź, nadeszła już wiadomość ta chwila, w której każdy przyszedł do przekonania, że czas już ocknąć się ze snu, czas wielki pomyśleć wreszcie o sobie, a jeszcze większy,

podnieść obwisłe ręce, podać je sobie i wziąć się wspólnie do pracy.

Dobiesław, człowiek tak skrzętnie i wielostronnie myślący, był naturalnie jednym z pierwszych, którzy dostrzegli przyjście tej chwili. Lecz zaraz najpierwszą myślą, która go uderzyła natenczas, była myśl o Krzesławie. Pomyślał on zaś o nim nie dlatego, ażeby go teraz oplwać i rzucić klątwę publiczną na niego, i tak jego kosztem zwrócić uwagę na siebie i wyforytować się na przewódzcę opinii publicznej; ale właśnie przeciwnie dlatego, ażeby w chwili tak ważnej jak najprędzej mu jego winy przebaczyć, pociągnąć go z sobą i połączyć się z nim do wspólnej pracy....

Była to myśl bardzo szlachetna, rozumna i znaczne obiecująca pożytki. Jakoż od tej chwili szukał już tylko sposobności, ażeby się z nim zejść jak najprędzej....

I sposobność ta wprędce mu się zdarzyła. Było bowiem nie mało ludzi, którzy i w Grodowskich i w Starodziejkach bywali, wzajemne nowiny i tu i tam roznosili i mogli łatwo zawiązać nowy pomiędzy braćmi stosunek. Dobiesław starał się o to; wszakże stało się jeszcze daleko lepiej: niebawem bowiem dowiedział się, że i Krzesław, który miał także w tem pewien interes,

stara się o zawiązanie tego stosunku. A jak tylko się o tem dowiedział, — na bok wszelka prywata, gdzie idzie o sprawę publiczną! — i zaraz do Starodzieńk pojechał....

I jechał tam z głową pełną projektów o bankach i spółkach rolniczych, o agencjach i spedyturach, i Bóg nie wie jakich nowych podstawach dla krajowego rolnictwa, przemysłu i handlu. On, tak dokładnie obeznany z temi rzeczami, mógł na tej drodze zrobić niezmiernie wiele; on się czuł w sile, że co przedsięwzięcie, to doskonale wykona, to pozostanie cennym wzorem dla kraju; a pomimo to przecież zgadał już piersi swoje ze sąsiadami, demonstrował, namawiał, prosił, gniewał się i rozpaczał — a nie mógł doprowadzić nawet do najmniejszego zawiązku. Jakże-by dziś był szczęśliwym, gdyby bez obcej pomocy a tylko z samym Krzesławem taką spółkę zawiązał! Mieliby oni razem dosyć sił i pieniędzy, ażeby takie przedsiębiorstwo rozpocząć — a gdyby je tylko poczęli, to już-by była niezawodna wygrana. O ileż jeszcze szczęśliwszym byłby z tej spółki dlatego, że przez nią zawiązał-by ścisłe z Krzesławem stosunki. Wciągnąwszy go w jakibądź związek ze sobą, już-by go nigdy nie

wypuścił — a chyba-by się całe piekło przeciwko niemu sprzysięgło, gdyby go nie przerobił przynajmniej na zewnątrz i nie uczynił choć w części pożytecznym dla sprawy publicznej! —

Tak zajechał przed pałac w Starodziekach.

Jednak chociaż na wiele zmian był przygotowany, musiał niepomału i niejednokrotnie się dziwić, co tam dziś zastał...

Krzesław był już dziś całkiem inny — i przedewszystkiem mieszkał inaczej.

Dobiesław już na dziedzińcu zastał pański porządek. Gazony utrzymane starannie, na nich porozrzucane róże szczepione na głogach, kwiatów wyborych mnóstwo, drzewa utrzymane wzorowo; od tego wszystkiego odbijał wspaniale pałac, zrestaurowany zupełnie, błyszczący jasnym kolorem muru. Ogromne podłużne okna zasłaniały śnieżnej białości story, — cisza była przed ganek — a w ganku, pomiędzy gęstymi rzędami kolumn, oczekiwała gościa suto galonowana liberya w barwie herbownej. Wszakże kiedy Dobiesław zajechał, zaraz odsłoniło się jedno okno w połowie, i Krzesław, zapewne uprzedzony o jego przybyciu, wypadł z hałasem na ganek:

— Jak się masz! jak się masz! sto lat minęło, jak'eśmy się widzieli! jesteś nieoceniony, żeś się nademną zmiłował! Ale jakież masz konie! angliki,

pół krwi a może i więcej! a jaki wózek wyborny! jaka uprząż praktyczna! Wszystko u ciebie jest doskonałe, rozumne, nie zostawiające nic do życzenia; cały świat nie może się ciebie odchwalić! Chodźmyż do pokoju! Jakóbie! fajek, sygarów — a może sobie każesz czem służyć? może lodów, owoców, sorbetu? proszę cię, chciej tylko rozkazać, przecież jesteś u siebie!

Tak go zarzucił Krzesław mnóstwem frazesów, że niepodobna mu było odetchnąć. Jednak nie przerywał mu bynajmniej jego gadatliwego ferworu, owszem sam mu w tem dopomagał; był to sposób najlepszy uniknięcia drażliwych przy powitaniu tłumaczeń, a nadto jeszcze pozwalał mu pilniej się Krzesławowi przypatrzeć. Jakoż nie trudno mu było dostrzedz, iż jego brat zmienił się sam do dnia dzisiejszego tak samo, jak jego całe otoczenie. Nie był on już dziś chudym, wyżółkłym i zzieleniałym, nienasycona chciwość zysku nie zapalała piekielnym ogniem jego zakłęsłych oczu, żydowska rezygnacya i skąpstwo nie ubierały go w bawełniane koszule, w brudny kozuszek i buty zbłocone; ale przeciwnie, był rumiany i tłusty i wygładzony jak wół wyprężony z roboty, a postawiony na stajni, uśmiech zadowolenia błyszczał mu na twarzy i w oczach; wykwinna bielizna i suknie obwijały jego postać

okrągłą — i inny głos już miał dzisiaj, inne maniery i całkiem inną fantazyą!

Weszli do pokojów: ba! i tutaj już całkiem inaczej! Piękne na ścianach tapety, szlifowane posadzki, wiedeńskie sprzęty, modne graciki, lustra, kotary, dywany. Wszystko to było wprawdzie strasznie nowe, strasznie błyszczące a gdzieś niedzie nawet i kuse, — rzadko co było tam w samej rzeczy, czem się być wydawało, wszystko imitacya; ale wszystko to było błyszczące i niezmiernie paradne. Dobiesław niektóre rzeczy oglądał i wszystkie chwalił z grzecznością francuzką, — a Krzesław, zadowolony do najwyższego stopnia, lecz udający, jak gdyby nie, rozpierał się w miękkim fotelu i wznosząc się nad wszelkie poziomości zwykłego życia, mówił o gabinetach i królach, o giełdach i targach pieniężnych, o kolejach żelaznych i statkach parowych.

Przeszli potem z kolei do salonów niewieścich. Tam Krzesławowa, w sukni przeraźliwie jedwabnej i krynolinie rozmiarów bajecznych, otoczona wystrojonemi dziećmi i ich nauczycielami, oczekiwała z niecierpliwością ich rychłego przybycia. I tutaj także taki sam przepych i błyskotki — a nadto jeszcze guwerner francuz i guwernantka angielfka, i ogromne niemczysko, z fizyognomią łokciowej

długości, udający kamerdynera. Przerazający tu można było słyszeć hurkot łamiących się z sobą języków; lecz Krzesławowa zawitała Dobiesława po francuzku, dosyć płynnie i przyzwoicie. Dobiesław przysiadł się do niej i mówił takim językiem, jakim kazano; ale przekonał się niebawem, że lubo jemu tak prowadzić rozmowę było daleko łatwiej, jednak jej nie wszystko się dało tak wypowiedzieć, jak było pomyślanem. Przerzucił więc rozmowę na język polski — a wtedy przekonał się prędko, że Krzesławowa była to bardzo poczciwa i bardzo serdeczna kobieta, zdrowego serca i rozsądku, przywiązana do domu, do dzieci i kraju, nie umiejąca do dziś dnia zgodzić się z nowem swem otoczeniem, bolejąca niezmiernie nad tem, że nie mogła żyć w bliskich stosunkach z owym uroczym domem w Grodowiskach, o którym tyle pociągających rzeczy słyszała, — lecz przytem wszystkiem wierząca w swojego męża jak w ewanielią i poddająca się jego rozkazom jak murzyn, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami. Odkrycie to bardzo ucieszyło Dobiesława, bo widział jawnie, jak nałogi rodziców wyradzają się w dzieciach — i widział już jakby własnymi oczyma, jakie zbawienne wpływy mogła-by na nią wywierać Klotylda.

Wyjątkowym sposobem dano dziś wcześniej herbatę, przy której zastawiono wszystkie rzeczy konieczne i mnóstwo niekoniecznych, a nawet całkiem do herbaty nienależących... Wszystko to zapewne dlatego, ażeby Dobiesławowi okazać, jak miłym i pożądanym był gościem.

Po herbacie znaleźli się wreszcie obadwa bracia sami w pokoju Krzesława — i wtedy dopiero zaczęła się zajmująca dla Dobiesława rozmowa. Ażeby tem pewniej i łatwiej dopiąć swojego celu, t. j. poznać dokładnie dzisiejsze usposobienie Krzesława, postanowił on sobie pozwolić mu mówić swobodnie, tylko czasem mu rzucać pytania i ile możności jak najmniej mu przeczyć. Mówiono tedy przedewszystkiem o interesach — i Krzesław mówił w samej istocie jak najswobodniej....

— Ja na moje powodzenie całkiem się skarżyć nie mogę, — spowiadał on się swojemu bratu, — owszem przeciwnie, powodzi mi się dobrze aż do znudzenia. Oczyszcilem Starodzieki zupełnie, pozaprowadzałem gorzelnie, browary, młyny, fabryki klepek, tartaki, ogrody, pasieki... Starodzieki przynoszą dziś dochody bajeczne. Gdybym żył jak sybaryta, to nie był-bym w stanie ich przeżyć. To też gotówka się mnoży z dochodów ziemi, i mnoży się oczywiście przez obrót. Ale-bo

też-to kraj, jakby stworzony do robienia pieniędzy! Tu dosyć się schylić, ażeby znaleźć pakę banknotów; ale gdzież-tam! i schylać się nie trzeba, bo same się pchają do ręki. Wyobraź sobie, kiedyś tu do mnie przychodzą żydzi i proponują mi, ażebym im pozwolił ich własnym kosztem wyrestaurować na drugim folwarku gorzelnię; zezwoliłem, zobowiązałem się dodawać im pewnej ilości słomy i siana — a oni mi położyli trzydzieści tysięcy na stole. Kiedy indziej przychodzą do mnie chłopci i proponują, ażebym zaprowadził uprawę konopi na większą skalę, a oni je będą zakupywać na pniu; obrachowaliśmy się, zaprowadziłem konopie i to mi przynosi kilka tysięcy co roku. Przywlokła się tu jakaś czeska familia, powiadają się być chmielarzami i chcą mi urządzać plantacyą chmielu; przyjąłem ich, założyłem chmielarnię i z kilkunastu morgów pola mam znów kilka tysięcy dochodu. Przychodzi wreszcie jakiś Włoch od kolei i prosi, żebym mu pozwolił w tutejszych lasach poszukać wapna. Poszedł, znalazł wapno, znalazł glinę na cegły, pali dziś wapno, robi cegły, dachówki, i daje mi także pare tysięcy co roku. I jak zaczął szukać po polach i lasach, to znalazł mi w przeszłym roku węgiel kamienny, a w tym roku kamień; Bóg go tam wie, czego jeszcze nie znajdzie...

Ale cóż to z tego wszystkiego! Wierz mi, mój Dobiesławie! pieniądze szczęścia nie dają. Może gdzieindziej, ale nie u nas.... Dobiesław go zaczął słuchać z coraz większą uwagą, ale on umilkł zamyśliwszy się smutno. Więc go zapytał:

— Nie rozumiem cię dobrze. Przecież zdaje mi się, że w kraju naszym, takim ubogim, pieniądze znaczą daleko więcej, niż wszędzie indziej...

— Ale gdzież-tam! — zawołał Krzesław, — miej ty tu u nas wsi, ile chcesz, miej całe skrzynie banknotów: zawsze ty taki szlachcic nic nieznaczący, którego nikt nie zna, a lada kto boki obszturka, jakbyś siedział na jednej wiosce. O jakiejś wyższej pozycji w świecie, o znaczeniu, o konsyderacji, ani ty nie myśl, bo tego nigdy nie dopniesz....

— A! — rzekł na to Dobiesław, — przecież zdaje mi się, że i o znaczenie u nas nie trudno...

— Ale bah! — przerwał mu Krzesław, — spróbuj tylko o cobądź się postarać, a obaczysz.

Smutno się zrobiło Dobiesławowi, bo już się domyślał, o jakim brat jego mówił znaczeniu; jakoż tylko gorzko spojrział na niego i milczał. Wszakże on zabrał znowu po chwili głos i tak mówił:

— Proszę cię, czy nie wiesz ty, co też spowodowało naszego pradziada Józefata, że hrabstwa

nie przyjął? Ja tego nie mogę zrozumieć. Ten człowiek musiał dostać pomieszania zmysłów na starość.... Ale tak to niektóre rodziny są nieszczęśliwe!

Wytrzeszczonemi oczyma patrzył Dobiesław na niego, bo zaledwie mógł wierzyć swym uszom. Milczał, bo tak postanowił; ale przecież się całkiem nie mógł powstrzymać i rzekł półgłosem do siebie: — *Crétin!* Tymczasem Krzesław mówił dalej:

— A niemałe to jest nieszczęście, bo czy uwierzysz ty temu, że tym jednym krokiem zagwoździł nas przy gołem szlachectwie na zawsze? Oto patrz, co mi o tem piszą z Wiednia! Wszystko tam wiedzą... tak wiedzą, że o mało człowieka diabli nie wezmą.

To mówiąc, dobył list z biórka i dał mu go do czytania. A tymczasem mówił dalej:

— Nawet podobno o szambelanią będzie nam trudno....

— Mnie zapewne, że trudno, — rzekł na to Dobiesław, — ale tobie.... nie wiem istotnie dlaczego.

— Z bardzo prostej przyczyny... genealogii ani rusz wysztukować.

— A! — zawołał na to Dobiesław, — jeżeli naszej genealogii złożyć nie można, to już nie

wiem doprawdy, kto ją mieć może. Przecież my od czterech set lat jesteśmy w posiadaniu Grodowisk; czego nie masz w księgach kościelnych, to jest w naszych papierach.... ale prawda! papiery te tyś sprzedał przez licytację.

— Jam je sprzedał! — zawołał Krzesław z rozpaczą, zrywając się z miejsca, — ja sprzedałem familijne papiery! zmiłuj się... papiery takie były tu w Grodowiskach?

— *Pends-toi, mon cher*, — rzekł Dobiesław spokojnie, — papiery te były, tyś je sam sprzedał i zagwoździłeś się sam przy gołem szlachectwie.

Krzesław zaczął dalej mówić o tych papierach i mówił tak długo i nudnie, że aż Dobiesław, ażeby tylko przerwać tę rozmowę, musiał mu powiedzieć:

— No, ale uspokój się o te papiery. Ja je niegdyś czytałem, nie dla szambelanii, ale dla nauczenia się historyi naszej rodziny, i powiem ci naszą genealogią z pamięci.

— Znasz? wszystkich znasz? — rzekł żywo Krzesław, — nawet i linią Szydłowskich?

— A.... o Szydłowskich nic nie wiem.

— Któż była z domu Szydłowska, nasza babka?

— I tego nie wiem.

— Ba! otóż to jest! — rzekł Krzesław, — resztę i ja wiem, brak mi tylko linii Szydłowskich....

I umilkł. Po chwili dopiero zabrał głos i zapytał:

— Proszę cię, cóż się dzieje z naszym dziadem Szydłowskim? Ja wiem tylko tyle, że za jakieś spiski przeciwko Rosyi wzięto go na Sybir; ale czy go uwolniono z Sybiru, czy jest tam do dziś dnia? czy umarł, czy żyje? nic nie wiem. O ile z opowiadań matki umiem ocenić wiek jego, to zdaje mi się, że jeszcze nie jest tak bardzo stary; mógł-by żyć jeszcze.... Ty nic o nim nie wiesz?

Wspomnienie starego Szydłowskiego, który był zawsze znakomitym człowiekiem, a który przez swoje olbrzymie cierpienia nabierał niewysłowionego uroku w oczach każdego Polaka, rozrzewniło Dobiesława do wysokiego stopnia. Był to przecież rodzony dziad jego i był on zawsze, jak o tem już kilkakrotnie wspomniano, z niezmiernem uwielbieniem dla niego... Więc odpowiedział z żywym zajęciem, ale zarazem z głębokim wyrazem żalu:

— Oh! ten nasz dziad ukochany! Jego święta postać stoi mi wiecznie w pamięci i cięży jak grzech śmiertelny na mojem sumieniu! Ja niestety

także o nim nic nie wiem!... Wiem tylko tyle, iż na Sybirze nie umarł, bo około roku 1842 znajdował się na wygnaniu w południowych guberniach. W tym czasie pisał tu list do naszej matki z Moskwy; ale nasza matka była wtedy już w grobie: odebrał go kanonik. Odpisał mu, donosząc o całym położeniu naszej rodziny, — ale nowego listu nie otrzymał od niego. Dopiero w roku 1853 zgłosił się znowu nasz dziad do niego, dowiadując się o nas, o Grodowiska, o grób naszej matki, donosząc mu, iż ma nadzieję niebawem tu przybyć, tu resztę życia przepędzić i kości swoje złożyć w grobach naszych rodzinnych. Mam ten list, sto razy go przeczytałem. Jest on bez miejsca i daty i pisany nadzwyczaj niewyraźnie... lecz widać z niego, że nasz dziad nowe przeszedł męczeństwa, że długie wytrzymał więzienie, że mieszkał wtedy gdzieś pod górami Kaukazu, gdzieś na wsi, czy w stepie, czy w puszczy. Jest on przytem pełen nadziei; ale bodaj czy ta nadzieja nie opiera się raczej na możliwości wymknienia się ztamtąd, niżeli na łasce cesarskiej... Wszakże nasz dziad nie przyjechał. I pocóż-by miał zresztą przyjeżdżać, kiedy kanonik mu doniósł, że Grodowiska zostały sprzedane, że się w nich Niemcy rozsiedli, pamiątki nasze rodzinne zostały posprzedawane przez licytacją

a nasz kościółek z grobami idzie w rozsypkę!... Kiedy ja Grodowiśka kupiłem — kończył Dobiesław — usiłowałem wszelkimi sposoby dać mu znać o sobie i ściągnąć go tutaj. Pisałem do jego dawnego plenipotenty, pisałem do moich znajomych do Kijowa, do Odessy, do Moskwy, ale wszystko napróżno. Zarządziłem przed rokiem kwerendę przez ambasadę, ale do dziś dnia nie mam odpowiedzi. Trzeba-by tam jechać, oh! trzeba-by jechać koniecznie! Nasza nieboszczka matka tak się tam rwała do niego — ze zgryzoty po jego stracie w tak ciężką popadła chorobę — jej duch wyrwał się z ciała, aby polecieć na Sybir!... Ale cóż! ja jestem tutaj jak więzień uprzęzony do pracy! ja na kilka tygodni, na kilka dni nawet nie mogę oddalić się z domu. Nie zebrałem się dotąd i podobno się nigdy nie zbiorę....

— Wiesz co? — rzekł na to Krzesław — jedź ty tam do tej Moskwy. Przecież cię tu nie rozkradną, masz ludzi. Ja poniosę połowę kosztów podróży....

Ale go Dobiesław nie słyszał, bo popędził wszystkimi myślami za starym Szydłowskim.

Tymczasem Krzesław, nie zważając nic na to, mówił niespracowanie. I Bóg sam wie, o czem tam mówił, a raczej o czem nie mówił.

Przeszedł nareszcie na nasze stosunki krajowe, na które wszystkimi głosami narzekał, na stosunki ludzi do ludzi i na chwilę obecną. O tej chwili niestworzone poplótł androny, a wreszcie rzekł:

— To rzecz niesłychana! takie wdzieranie się w rzeczy prywatne, takie paszkwile, takie zuchowałe zarzuty! I czegoż oni chcą od nas? czy myślą nas wszystkich ogłosić zdrajcami? czy chcą nas może... bo już sam nie wiem, doprawdy.

— Któż taki? — zapytał, budząc się ze snu Dobiesław.

— Jakto? to nie czytałeś? nie czytałeś, co napisano o grobach Sieniawskich w Brzeżanach?

— Czy czytujesz już teraz polskie dzienniki?

— Moja żona je czyta; a zresztą pełno jest mowy o tem w całym sąsiedztwie.

— Więc o cóż ci chodzi? — pytał dalej spokojnie Dobiesław.

— Chodzi mi o to, że jestem jak w rogu. Czego ci ludzie chcą? Chcą, żeby coś myśleć, coś gadać, coś robić. Ależ mój Boże! cóż tutaj robić w takim kraju nieszczęsnym? Przecież każdy coś robi. Kto ma majątek, ten na nim gospodaruje; a kto go nie ma, ten się stara o niego....

— I na tem już koniec?

— No, ja tego nie mówię. Przyznaję chętnie, że kto ma więcej majątku, niżeli go potrzebuje dla siebie, ten może coś zrobić i dla kraju.... chociaż nie wiem istotnie, co tutaj zrobić. Ale dlaczegoż na tych, którzy nie mają głów tak jeniałnych, aby to mogli wymyśleć, wpadać zaraz z takim krzykiem, z takim hałasem, dlaczego ich paskwilować, dlaczego przeciw nim zaraz podnosić krucyatę?....

— Przedewszystkiem innem — przerwał mu prędko Dobiesław — nie dziw się temu. Wiesz bowiem o tem, że my wszyscy Polacy mamy tę wadę, iż bardzo prędko popadamy w ostateczności. Mówmyż otwarcie. Czy ty, kiedyś sobie zamierzył robić majątek, nie popadłeś także w ostateczności takie, które są niepozwolone? Czy dziś, pragnąc znaczenia i konsyderacyi, nie popadasz także w ostateczności? Zacóż się dziwisz, że ludzie, którzy są przeciwnych tobie przekonani, popadają na swojej drodze w ostateczności przeciwnie. Może są ludzie, którzy mają prawo na te ostateczności powstawać; ale jeżeli jest jeden tylko, któremu to prawo żadną miarą nie służy, to tym jedynym ty jesteś. A teraz pozwól mi siebie zapytać, czy ty istotnie nie wiesz, co można zrobić dla kraju?

— Ja nie wiem.

— To ja ci powiem. Czy należysz do Towarzystwa rolniczego?

— Należę do obydwóch.

— Ale ani wkładek nie płacisz, ani na posiedzenia nie jeździsz, ani na wystawy nic nie posyłasz. Idźmy dalej. Czy przystąpiłeś do Towarzystwa ogniowego?

— A nie.

— A czemu? czy nie przysłano ci deklaracji?

— Owszem przysłano; ale jakże chcesz, żebym ja się tam assekurował, gdzie trzeba opłacać premię tak wysoką, kiedy ja się assekuruję w Tryeście za połowę tego?

— Hm! — rzekł niecierpliwie Dobiesław — najpierwej nie zrozumiałeś dobrze projektu, bo przecież zapłacona nadwyżka nigdy ci u nas nie zginie, owszem z czasem sowicie się wypłaci; ale gdyby nawet zginęła, to czyż to, żebyśmy mieli Towarzystwo swe własne, żeby nasze pieniądze nie wychodziły z kraju, żeby garstka naszych rodaków znalazła uczciwy dla siebie zarobek, nie warte jest ani jednorazowej opłaty jakiejś połowy lub trzech ćwierci procentu od małej części twojego majątku? Zastanów się nad tem... przecież to warte zastanowienia.

— No, to cóż tam! to ja to zapłacę....

— A proszę cię, a cóż mówisz o Spółkach handlowych?

— A! o tych Spółkach ja już sam kilka razy myślałem. To bardzo rozumna jest rzecz. Ja jej dla siebie nie potrzebuję, bo ja mam bezpośrednio stosunki z Wrocławiem a nawet z Hamburgiem, ale wziął-bym się chętnie do tego. Bo patrz-no, co-by tu można za jednym cięciem osiągnąć celów. Założywszy taką Spółkę, tak jak ja ją rozumiem, możnaby *primo* żydom okrutną dać cięgę, *secundo* nieźle obracać większemi kapitałami, a *tertio* nadzwyczaj ważny przynieść krajowi pożytek. Ale trzeba-by to zrobić tak jak ja wiem, to znaczy: wziąć całą okolicę w swoją wyłączną opiekę i nie tylko zboże, gorzałkę i drzewo, ale nic zgoła, ani jednej skórki zajęcej nie wypuścić z kraju, tylko przez swoje ręce. Eh! ja-bym to umiał urządzić! Ale cóż, na to trzeba przede wszystkim pieniędzy — a tu święta golizna dokoła.

Uśmiechnął się na to Dobiesław, bo jakkolwiek nie całkiem tak samo rozumiał o Spółkach, jednak jeszcze tylko takiego wyznania mu było potrzeba, ażeby być pewnym, że potrafi swojego brata wciągnąć do pracy pożytecznej dla kraju. Jakoż rzekł tylko:

— Widzisz więc, mój Krzesławie, że było-by się czem zająć, gdyby tylko była wola po temu.

Bo nie myśl wcale, żebyśmy byli tak całkiem ubodzy, aby nas nawet na założenie Spółek nie stało. Ot! jest nas tu tylko dwóch; ileż ty możesz dać do takiej Spółki?

— Co! ja dam sto tysięcy!...

— I ja dam sto, bo razem z teściem zbierzemy je łatwo.

— Ja dam nawet i dwakroć — rzekł prędko Krzesław.

— A ja może dam także dwakroć — odpowiedział Dobiesław, — bo przecież zbiorę coś u sąsiadów.

— Zbierzesz? to może-by nawet można istotnie coś ułożyć i zacząć. Wiesz tedy co, wyrobię ja projekt, a ty wyrób drugi, a za parę dni pomówimy o tem na seryo — i to w Grodowiskach.

— Dobrze, bardzo dobrze, będę cię oczekiwał z niecierpliwością. Bądź tedy zdrow!

— Jakto? jedziesz? noc przecie, może nawet niebawem dzień będzie....

— Na żaden sposób nie mogę nocować, ja o świcie być muszę przy moich fabrykach. Konie moje czekają już od godziny....

Tak tedy się pożegnali, i Dobiesław odjechał do siebie. —

Powróciwszy do domu, lubo istotnie już nie daleko było do świtu, sen ani na chwilę nie skleił

jego powiek znużonych, tak go ta wizyta u Krzesława zajęła, wzburzyła i rozstroiła. Straszne-to rzeczy, w jakim stanie on znalazł swojego brata! Człowiek ten poszedł z duszą i ciałem w niewolę materjalizmu, — samolubstwo wybujało w nim do najwyższej potęgi i zapełniło całą jego istotę — nie miał on już dziś ani pojęcia, ani nawet przecucia obowiązków człowieka względem swych bliźnich, — co gorsza! zdawało się, że już nie miał ani kropli krwi polskiej w sobie! — Czyż jest podobieństwo, takiego człowieka naprawić? — Biorąc rzeczy zasadnie, trzeba przyznać, iż naprawa organizmu tak z gruntu zepsutego może być tylko wyjątkowym wypadkiem; taka nadzieja może się tylko w najlepszym i w najoptymistyczniejszym sercu urodzić. Dobiesław nie był optymistą — i o tej nadziei ani nawet nie myślał. — Ale czyż naprawa jest tutaj, czy powinna być słowem ostatniem? Czyż z człowiekiem takim, który nie obiecuje poprawy gruntownej, społeczeństwo nie ma już nic innego do zrobienia, jak tylko go przekląć, podać wzgardzie publicznej i od siebie na zawsze odtrącić? Ażaliż nie lepiej i dla niego i dla siebie uczyni, jeżeli i z takiego człowieka wyciągnie choć jakikolwiek pożytek? — Prawda ta była dla Dobiesława uderzającą. Jakoż już myślał tylko o tem, czy i Krzesława można-by,

nawet takim jak jest, ku sobie pociągnąć i jakkolwiek upożytecznić. I znalazł, iż było to rzeczą wcale nie trudną. Albowiem Krzesław był przede wszystkim niezadowolonym ze siebie samego, niezadowolonym ze swojej obecnej pozycji, mimo swego bogactwa nie miał ani wyższego znaczenia, ani wyższych widoków, ani nawet mógł znaleźć jakiegokolwiek zajęcie, które-by mu dawało takich widoków nadzieję. Miał tedy łatwą z nim sprawę, bo zawsze łatwa jest sprawa z takimi, którzy zajmąwszy fałszywe stanowisko w swem społeczeństwie i naładowawszy nie mało grzechów na swoje barki, zostali nagle ze snów swoich szczęśliwych zbudzeni, — zbudzeni przez opinią publiczną, która gromkim swym głosem wyrecytowała wszystkie grzechy śmiertelne obecnej chwili i poczęła palcem wytykać grzeszników. A w takim właśnie położeniu był Krzesław. Nakoniec droga ta, na której on mógł się stać pożytecznym pospolitemu dobru, była już prawie otwartą. Miał on znaczne kapitały, próżnujące dziś w skrzyni, miał niezmiernie obrotną głowę do przemysłu i handlu, i z jakąż-to pasją, z jaką fantazją pochwycił myśl Dobiesława o Spółkach handlowych! — Tak, lubo całość Krzesława była dla jego brata źródłem niewysławionej zgryzoty, jednak szczegóły bardzo go pocieszyły. Myśli te były jeszcze nie

dosyć jasne, nie wyrobił ich dobrze, nie zamienił ich jeszcze w postanowienie — zastosowanie ich zresztą nie zależało w całości od niego, tylko od jednozgodnej opinii jego całej rodziny — bez jej przyzwolenia, bez jej pomocy, nie był-by on w stanie wciągnąć Krzesława do żadnej ze sobą wspólności; ale tak myśląc, i będąc pewnym, że w jego rodzinie jest bardzo wiele radykalnych żywiołów, a nawet osobistych ku Krzesławowi niechęci i nienawiści, miał przecież nadzieję, że cała jego rodzina jest szlachetną, roztropną i pełną tak czystej dla dobra pospolitego miłości, iż gdzie tylko iść będzie o sprawę ogólną, tam wszyscy od razu drogi prawdziwej dostrzegą, i wzniosą się razem i bez namysłu nad wszelkie radykalizmy socyalne i osobistość.

Jakoż zaraz nazajutrz tę sprawę na zgromadzeniu plenarnem wniósł i przedłożył. Ale ani się spodziewał, z jak otwartemi ramiony jego projekt przyjęto! Pierwszy głos zabrał najniecierpliwszy, i jak to już wiemy, najoptymistyczniejszy ze wszystkich — wikary, i zawołał:

— A widzisz! widzisz! czy nie mówiłem ci tego już przed pięciu laty? Każdy się już dzisiaj nawrócił, a kto pozostał, ten się nawróci natychmiast, jak tylko będzie miał kogoś, który mu drogę pokaże. Chwytaj-że Krzesława a prędko:

niech-no się tylko między nas dostanie, obaczysz, co my tu z niego zrobimy...

Inaczej mówili inni, lecz opozycyi stanowczej nie było. I tak Wapnowski, który miał najwięcej powodów do unikania Krzesława, rzekł na to:

— Dla mnie będzie to dosyć przykrem, ściskać rękę takiego człowieka, który mi tyle krzywd rozmaitych wyrządził; ale... nie był-bym chrześcianinem, gdybym nie umiał przebaczać, a miał-bym się za wyrodka, gdybym do pojednania serc i umysłów w rodzinie stawał przeszkodą.

Kanonik rzekł:

— „I odpuść nam nasze winy, jako my odpuszczamy naszym winowajcom“,—mówimy codziennie w pacierzu. Tak zawsze postępujemy; mamyż tylko tam stać się kłamcami, gdzie idzie o odpuszczenie win naszemu rodzonemu bratu?

A Mateusz zakończył:

— Co się łyse urodziło, to łyse zginie; święta-to prawda. I jeżeli wy myślicie, że go przerobicie, to was tylko żałuję. Ale jużci i to prawda, że na tym paniczu kożuch nie lada, więc kiedy-by się dał dobrze uskubnąć, to-by to było i nieźle. A kiedyby zechciał w jakibądź sposób służyć ojczyźnie, to mu nie przeszkadzać... Takeśmy i dawniej robili.

Tak tedy bez najmniejszego oporu postanowiono, nie tylko przyjąć Krzesława, lecz owszem wszystkie siły wyteżyć a nawet wszystko, co można, poświęcić, ażeby go oświecić, poprawić a przynajmniej upożytecznić.

We dwa dni potem przyjechał istotnie Krzesław, z żoną i dziećmi i z całym domem; widoczny to znak był, że chciał od razu i jak najbliższe zawiązać z domem swojego brata stosunki. Przyjęto go też niezmiernie grzecznie, posadzono na miejscu zaszczytnem, a nawet dogadzano niektórym jego próżnościom, aby go tylko ile możności ująć dla siebie. Zdarzyło się nawet, iż przypadkowym sposobem najwięcej mówiono o tem, co właśnie jemu dolegało najwięcej. Tak go zajął niezmiernie kanonik swoją zwyczajną a bardzo złośliwą chryją na obecne stosunki krajowe; zadziwił go do wysokiego stopnia Wapnowski swoją odwagą, z którą potępiał wszelkie demagogiczne zasady i wybryki; a w końcu niezmiernie mu zaimponował Dobiesław swoją gruntowną znajomością zasad przemysłu i handlu i praktycznem ich zastosowaniem do potrzeb naszego kraju. Już tedy pierwsze odwiedziny niezmiernie Krzesława ujęły dla całej Grodowskiej rodziny, — a kiedy mu jeszcze do tego jego żona odpowiedziała w domu: jaka-to słodka i nieoceniona kobieta ta

pani Klotylda, jak dzieci jej są miłutkie i grzeczne, jaki tam ład w całym domu, jak wszyscy byli dla niej uprzejmi i uprzedzający: to rzekł sam do siebie:

— Jak to człowiek nawet najrozumniejszy może być nieraz w błędzie! Ja ten dom miałem za jakąś spelunkę demagogów, zawiści, nieporządku, nieładu — a to jest najprzyzwoitszy dom z całego naszego sąsiedztwa. Bodaj-by diabeł wziął tych wszystkich plotkarzy, co tylko bajki roznoszą i rozsiewają ziarna niezgody pomiędzy sąsiedzkimi domami! — Krzesław był już teraz tak bogatym, iż miał dość czasu zajmować się nawet nieintratnemi myślami.

Wszakże nowo zawiązane stosunki z Dobiesławem okazały się nawet i intratnemi. Niebawem bowiem, kiedy Krzesław oglądał z bliska jego gospodarstwo, przekonał się, iż było tam wiele rzeczy tak rozumnych i istotnie praktycznych, że im się nie mógł nadziwić. Już tedy to samo wpoilo weń pewne poszanowanie dla jego starszego brata,—lecz to poszanowanie zamieniło się w uczucie istotnego szacunku, kiedy tenże brat jego przy takim samem oglądaniu gospodarstwa w Starodziejkach zrobił mu kilka uwag i dał mu rad kilka jeszcze daleko cenniejszych dla niego, bo zapewniających mu znaczne pomnożenie dochodów.

Były to rady bardzo proste, bo zmieniające tylko porządek rotacyi i niektóre sposoby uprawy, a przytem tak jasne i pewne w swych rezultatach, że Krzesław postanowił natychmiast je zastosować. A kiedy Dobiesław odjechał, on się uderzył w piersi i rzekł do żony:

— Niech go Bóg kocha, tego naszego Dobka! To człowiek nie tylko gruntownie uczony, ale ma takie jeniałne pomysły, że mi niemi zaimponował. Gdybym był żył z nim w dobrem porozumieniu przez te pięć lat, jak tu mieszka, to-by mi Starodzieki były przynosiły o kilka tysięcy więcej co roku...

Na takich podstawach zaczęło się gruntować istotne zbliżenie się obudwóch braci — i można się było spodziewać najlepszych ztąd skutków, bo Krzesław odtąd zupełnie Dobiesławowi zaufał, uwierzył w jego uczciwość, uwierzył w jego rozum, i kiedy poszedł za jego radami w rzeczach takich, w których miał siebie za mistrza, to zdawało się, iż go tem pewniej usłucha w rzeczach takich, o których nie miał pojęcia.

Jakoż w kilka tygodni za przewodem Dobiesława i jego żony zmieniło się wiele rzeczy w Starodziekach. Otworzono tam dom gościnny, nie tylko dla samych osób utytułowanych, za któremi Krzesław dotychczas niespracowanie uganiał, ale dla

wszystkich ludzi w ogóle, mających przyzwoite obejście się i wychowanie. Krzesław posłał deklaracją do Towarzystwa ogniowego, posłał znaczną sumę pieniędzy na szkołę rolniczą, zaabonował kilkanaście dzienników polskich i dał księgarzowi zlecenie, aby mu książki przysłał. Za radą Dobiesława oddalił nawet nauczyciela Francuza, który mu dzieci psuł a prowadził romans z Angielką, i kazał sobie poszukać nauczyciela Polaka, któryby jego chłopców nauczył przynajmniej historii polskiej. Nie mógł na nim jeszcze tego wymóc Dobiesław, ażeby i Angielkę oddalił; ale zato projekt ich Spółki rolniczej już był ułożony zupełnie, i zbierano tylko akcyonaryuszów; — obadwa domy braterskie żyły już prawie w codziennych ze sobą stosunkach, — Krzesławowa była zakonchana na umor w całej Grodowiskiej rodzinie — a Krzesław żył w najlepszej przyjaźni z wszystkimi mężczyznami, i lubo zawzięcie dysputował z wikarym i Mateuszem, jednak się nigdy na nich nie gniewał, owszem sypał za ich namową całemi garściami pieniądze na rozmaite cele szlachetne i miłosierne...

Tak przez to wzajemne pojednanie się i zawiązanie poufnych ze sobą stosunków zrobiło się daleko więcej i zrobiło-by się nareszcie wszystko,

co się zrobić powinno; ale w tem nowe zaszły wypadki...

* * *

Oto około owego czasu zjawił się w Grodowskich gość nowy i nigdy tu nie widziany, chociaż Dobiesławowi był znany od lat bardzo dawnych. Był to człowiek nie miernego wzrostu, miernej kibici, niewiadomego wieku i nie mający nic odznaczającego w całej swojej powierzchowności. Nawet na jego twarzy nie było żadnego wybitnego i dokładnie odnanzonego wyrazu, i trzeba się było domyslać: iż albo nie masz w jego istocie wewnętrznej nic takiego, co-by się mogło odmalować na twarzy, albo przeciwnie jest w niej takie mnóstwo krzyżujących się z sobą uczuć, opinii i poządliwości, iż twarz jego, pokreślona niemi wzdłuż i na poprzek, stała się jakoby zamazaną i całkiem już nieczytelną tablicą. Wszakże daleko podobniejszem było to drugie, albowiem twarz jego ożywiała się w rozmowie w sposób zadziwiający, i przy najmniejszym uniesieniu drgały na niej wszystkie muszkuły jak w ogniu, trzęsły się usta, a oczy błyskały elektrycznemi ogniami. Jakoż przy pierwszej rozmowie nie trudno było w nim zgadnąć człowieka, obdarzonego wulkanicznym sercem i dziwnie niespokojnym umysłem.

Był on zresztą ubrany dość przyzwoicie, zdradzał obszerne wiadomości, wielkie otarcie się w świecie i dosyć płynną a nawet porywającą wymowę, wszakże tylko dopóty, dopóki go niekiełzana namiętność nie uniosła ze sobą; wtedy tracił głos, tracił nawet przytomność umysłu, i jeżeli jeszcze co mówił, to już tylko rzeczy niezrozumiałe albo zgoła szalone. Człowiek ten nazywał się Walenty Wichr; chodził niegdyś z Dobiesławem do jednych szkół — dawnemi czasy często się z obudwoma braćmi widywał — z Dobiesławem żył nawet chwilami w bardzo bliskich stosunkach — przez bardzo długi czas potem nie dał nic słyszeć o sobie — a teraz do Grodowisk zajechał.

Obaczywszy go zajeżdżającego przed ganek, Dobiesław się jego przyjazdem niezmiernie ucieszył, przyjął serdecznie, ulokował wygodnie i przedstawił go swojej rodzinie jako jednego ze swoich najdawniejszych przyjaciół. Grzeczność gospodarza w przyjęciu gościa staje się obowiązkiem dla jego domowników; jakoż go wszyscy przyjęli jak rodzonego brata pomiędzy siebie i wyścigali się w okazywaniu mu swej uprzejmości. Nowy gość, nowe życie, tysiące nowych do rozmowy przedmiotów. Toż z jego przyjazdem niezmiernie ożywiły się Grodowiska — a to tem bardziej że Wichr był w literaturze bieżącej jak w domu

zajmował się polityką przed wszystkim, lecz oprócz tego miał wiadomości mnóstwo, a nadto jeszcze posiadał gospodarską naukę i doświadczenie, co bardzo zajmowało Dobiesława. Trwały więc dysputy od świtu do nocy, z wielkiem dla wszystkich zajęciem...

W kilka dni potem przyjechał Krzesław. Jak tylko tego nowego gościa obaczył, także się nim niezmiernie ucieszył, wołając do niego:

— Jak się masz, mój kochany Wicherku! cóż ty tu robisz? gdzieżeś nam bywał przez tak długie czasy? Wybornieś zrobił, żeś tu przyjechał! Przecież i mnie zechcesz odwiedzić. Bardzo cię o to proszę.

Nowe dysputy, nowe zajęcia.

Jednak nim Krzesław odjechał, wziął Dobiesława do przyległego pokoju i spytał go:

— Proszę cię, zkądże znów na widownię wypłynął ten nasz stary Wicherek?

— Wicherek — rzekł na to Dobiesław — przebywszy, jak ci wiadomo, rozmaite koleje losu, zawiadował aż dotąd interesa swojej rodziny, a teraz, sprzedawszy swą schedę, chce się tu kędyś umieścić. Ja bardzo kontent jestem z jego przyjazdu; ożywimy się trochę.

— Tak, ożywimy się — rzekł Krzesław — albo to ten Wicherek... hm! Przecież pamiętasz,

jakie on promulgował zasady swojego czasu... Czy nie zechce on korrepetować z nami tych samych zasad i dzisiaj?

Dobiesław się na to uśmiechnął i rzekł:

— Oh! pamiętam dosłownie, jakie on niedorzeczności wypłatał w roku 1848! Ależ to temu dwanaście lat! Przecież-eśmy wszyscy od tego czasu postąpili przynajmniej o tyle, ażebyśmy się na naszych ówczesnych głupstwach poznali. A zresztą, *s'il est un temps pour la folie, il en est un pour la raison*. Każdy to widzi...

— Każdy to widzi... ale, jak mi się zdaje, są jeszcze i dzisiaj wyjątki. I jak mi się zdaje, takim wyjątkiem jest ten nasz Wicherek. Jego zasady wcale mi się nie podobają. On gdzieś leci na oślep: a zabij go, jeśli wie dokąd...

Znowu się na to uśmiechnął Dobiesław i odpowiedział:

— Tak.... bez wątpienia.... on jest może zanadto gorący; ale właśnie dlatego zda się nam doskonale przy gospodarstwie. Będzie nas budził z odrętwienia i ospałości, będzie nas naprzód popychał, popędzał, potrącał, a to ważna jest rzecz.

Na tem się skończyła ta krótka rozmowa.

Nazajutrz pojechał Dobiesław z całym swym domem i gościem do Starodzieńk. Wicher tam był najczynniejszym; wiele rozmawiał z Krzesławową

i bardzo jej się podobał; rozmawiał z dziećmi i zaraz je poujmował dla siebie. Ztąd także się i Krzesławowi podobał; a że Krzesław czuł się zawsze nieczystym w swoim sumieniu i rad był poprawę pod każdym względem okazać, więc zaraz zaprosił Wichra na mieszkanie do siebie, obiecując mu sam dzierzawę wyszukać, a nawet w razie potrzeby wypuścić mu który z swoich folwarków.

I odtąd Wichr zainstalował się w Starodziejkach, lecz w rzeczy bawił i tu i tam, i wybiegał co chwila w inne sąsiedztwa.

Tak minęło kilka tygodni.

A po kilku tygodniach okazały się rzeczy zadziwiające. W całej okolicy bowiem zrobił się ruch niesłychany, hałas i tartas i wrzawa, jakiej od niepamięci nie było....

Ruch, rzecz pożądana! główny-to warunek postępu i życia. Ale ruch ruchowi nierówny. A kiedy się kędyś zrobi ruch nadzwyczajny, każdy człowiek roztropny pyta dzisiaj przede wszystkim, z jakich ten ruch wypływa źródeł, jakimi jest obudzony środkami i do jakich zmierza celów. — Kiedyśmy ufni w żywotność naszych dziejowych tradycji i w jedność natchnień narodu, wierzyli ślepo, że każdy ruch u nas może tylko z jednego wypływać źródła i do jednego zmierzać celu,

nigdyśmy o to się nie pytali, i szliśmy za każdym ruchem, choćby na śmierć lub męczeństwo; ale odkąd'eśmy się przekonali po dwakroć, iż już i u nas zdarzają się ruchy, z rozmaitych wypływające źródeł, rozmaitemi obudzane środkami i do rozmaitych służące celów — odtąd się zawsze i bardzo pilnie o to pytać powinniśmy — i będziemy....

Wszakże w Grodowiskach nikt o to nie pytał. Cała tamtejsza rodzina składała się z ludzi ślepej ufności i wiary. Nawet Wapnowski, zafawszy słowom swojego zięcia, kontent był z tego, iż jakoś żwawiej zrobiło się w okolicy; nawet sam Krzesław, pozbywszy się swojej dawniejszej obawy, bawił się tym ruchem jako rzeczą nową i zajmującą.... A tymczasem każdy powinien był już dawno zapytać się o to; albowiem już na pierwszy rzut oka było rzeczą widoczną, że ten ruch ze stronnicznych wypływa źródeł, że jest rozbudzany niepozwolonemi środkami i że do żadnych wyższych i ogółowych nie zmierza celów, choćby tylko dlatego, iż zamiast łączyć umysły i serca ze sobą i zwracać je do walki przeciwko złemu naciskającemu nas z zewnątrz, burzy umysły i serca przeciwko sobie, wywołuje podejrzliwość i oskarżenia, niechęci i nienawiści, kłótnie zawzięte i krwawe wojny domowe.

Były to wszystko już rzeczy widoczne, bo skutki były widoczne.

Przejdźmy do osób.

Pierwszy, który się chwycił tego wichrowatego ruchu, był oczywiście Mateusz, bo zawsze każdego ruchu pierwsi chwytają się ci, którzy mają gorące serca a słabe rozумы. I chwycił się Wichra rękami i nogami, w najserdeczniejszą zaszedł z nim przyjaźń, tylko jego patrzył oczyma i mówił jego ustami. I straszna rzecz, do jakiego stopnia zu-chwalstwa i zawziętości doprowadził się w dni kilkanaście ten zawsze tak zacny i serdeczny Mateusz. Rozgorzał on ogniem piekielnym jak szatan, rozkiełzanemi ustami głosił otwarcie drakońskie zasady, Robespierre był u niego wielkim człowiekiem, nie podług jego myśli stworzeni bohaterowie narodu podłymi słuzalcami, każdy, który się z jego zdaniem nie zgadzał, głupcem i bałwanem, a ktokolwiek oddany pracy poważnej albo przez długoletnią pracę zwątlony na siłach nie hałasował z nim razem, nie wrzeszczał, nie krzyczał, na tego plwał gębą spienioną i kłął go odstępca i zdrajca....

Tuż zaraz po nim zeswatał się z Wichrem wikary. I on także z całego serca przylgnął do zasad przez niego głoszonych, widział konieczną potrzebę publicznego oskarżycielstwa, rewolucyj-

nych trybunałów i sprawiedliwości przez lud wymierzanej, a odsadziwszy od czci i wiary wszystkie dotychczasowe powagi, rządy i sądy rad-by był poruczył kawiarniom i tłumom ulicznym. Osobliwsze to opętanie! Ale jak się to zwykle dzieje, iż kiedy człowiek wykształceńszy da się porwać jakiemuś szaleństwu, to zabrnąć daleko głębiej, niżeli mniej wykształcony; tak i wikary poszedł jeszcze daleko dalej, niżeli Mateusz. Toż podług niego nie dosyć było oskarżać, opluwać i przeklinać tych, którzy dali do tego jakiekolwiek powody; ale trzeba było także oplwać i podruzgotać tych, którzy dotychczas bądź pracą, bądź zasługami, bądź osobistą zacnością, zdobyli sobie jakiekolwiek poszanowanie, a nie licowali z nim we wszystkich szczegółowych zasadach i przekonaniach. Trzeba było się wkraść w rodziny i domy, wywlekać z nich mężów i ojców, stawiać ich pod pręgierzem i wyrzucać potem za scenę, — trzeba było wymiotać wszystko to, co się w jakibądź sposób wyniosło na wierzch społeczeństwa, — trzeba było zrobić *tabulam rasam*, ażeby nikt nie pozostał, tylko same bezmyślne tłumy, — trzeba było zrobić chaos przedpotopowy, zamęt, noc ciemną.... ażeby w niej potem bez przeszkody królować. Ztąd jego hasłem było: — Precz z powagami! precz z poetami i

uczonymi! precz ze wszystkim, co dotąd jest, Precz! z drogi! bo oto są dziś ludzie nowi, którzy stworzą świat nowy! — Gdzie są takich zasad wyznawcy, tam znajdują się dla nich ofiary! — zwłaszcza że sobie nigdy głowy nie łamią nad swoich ofiar wyborem. Mniejsza o to, że ktoś niewinny, mniej winny lub winny, ale obiecujący poprawę, zostanie wystawiony pod pręgierz i publicznie oplwany; tu nie chodzi o taką rzecz marną jak człowiek, tu chodzi o przeprowadzenie zasady! W takich wypadkach nie brakuje ofiar nawet tam, gdzie nie masz istotnie winnych; toż tem bardziej nie brakło ich tutaj, gdzie były winy istotnie. Jakoż najpierwszą ofiarą ich zbawczego zapалу padł oczywiście nie kto inny, jak Krzesław. Wydobyto nanowo jego wszystkie grzechy i grzeszki, rozniesiono o nich wieść głośną po całym sąsiedztwie, przydano do tego to wszystko, czego się dowiedziano ze słuchu, czego się domyślano i czego się podejrzliwość mogła po nim spodziewać — i bez żadnego względu na to, że człowiek ten już się znacznie poprawił, że się poddał wpływom swego zacnego brata, i że za jego przewodem zaczynał być istotnie pożytecznym dla kraju — oplwano go publicznie i nazwano odstępca i zdrajcą.

Wszakże nie dosyć na nim. Wzięto się bowiem z kolei do Wapnowskiego, i rozebrawszy krytycznie jego arystokratyczne zasady, jego wyniosłość i dumę i pewną wstrzemięźliwość od ludzi — bez względu na to, że człowiek ten tak serdecznie darował niegdyś pańszczyznę, że był już dzisiaj starganym na siłach i z natury rzeczy do gorących uczynków niezdatnym, że mimo to wszystko był-by jeszcze dzisiaj wsiadł na koń i dał się posiekać dla miłości ojczyzny, — rozsiano głośną przeciwko niemu nieufność i ogłoszono ciężkim wrogiem sprawy ogólnej.

Wszakże i na tem nie dosyć. Przyszła bowiem kolej i na kanonika — a lubo ten starzec był niewinny jak gołąb, nigdy się wprawdzie głośno nie zasłużył krajowi, bo nie miał sił ani fantazyi po temu, lecz za to bardzo sumiennie dopełniał swych obowiązków, ściśle przestrzegał nauki i moralności u ludu, a głęboko pomyślanemi i wymownie powiedzianemi kazaniami zasłużył sobie na zaszczytne nazwisko uczonego kapłana, — właśnie dlatego, iż był tak niewinnym, że spokój polubił, że stojąc nad grobem, mało myślał o ziemi a więcej o Bogu, — ogłoszono go bałwanem i głupcem i walną dla postępu i ruchu zaporą.

Jednak i na tem jeszcze nie dosyć. Dostało się bowiem nawet samemu Dobiesławowi. Nie ogłoszono go jeszcze odstępca i zdrajcą, bo byłoby to fałszem krzyczącym. Człowiek ten pracował wedle sił swoich, był pożytecznym dla kraju, ogłaszał zasady wolnomysłne, gorąco kochał ojczyznę i był niewątpliwie gotów do każdego rodzaju poświęceń. Tego trudno mu było zaprzeczyć, bo były to rzeczy jawne i dla wszystkich widoczne. Ale Dobiesław miał ten spokojny i zdrowy rozsądek, który w naszym położeniu, po tylu stratach i zawodach, z naszej własnej winy doznanych, każe się na każdym kroku bardzo pilnie oglądać na przyszłość, — a ponieważ do tego miał niewątpliwie tę krzepką fantazją, która w danym razie może pójść naprzód i coś popchnąć albo powstrzymać, ponieważ miał rozum i był już jakąkolwiek powagą, na którą wielu się oglądało: więc nuż także po nim! Nie ogłoszono go, jak już powiedziałem, odstępca i zdrajcą, ale poczęto milczkiem rozsiewać pewną ku niemu nieufność, ogłaszać go przyjacielem bezwzględного pokoju, człowiekiem zasad już przestarzałych, umiarkowanych i dziś do niczego nie zdatnych.

W takiej postaci objawił się ten ruch nowy u dołu; ale ruch jest to powietrze, a powietrze jest zaraźliwe, więc go nie brakowało także u góry.

I tak Wapnowski, słysząc jak się opinia publiczna przeciwko Krzesławowi wzburzyła, zburzył się także przeciwko niemu i zburzył się oczywiście najłatwiej. Jesteśmy wszyscy niestety! słabi, u każdego aż do pewnego stopnia najbliższa koszula ciała, i każdy przyjmuje te opinie najłatwiej, które dogadzają jego własnym uczuciom. Wapnowski, jak tylko mu się zdarzyła do tego sposobność, nanowo Krzesława znienawidził. Wszakże pomimo to znienawidził także Grzegorza i Mateusza, bo nie mógł nie cierpieć zasad tak nieogłędnych, zuchwałych i nie szanujących nikogo.

Prawie tak samo postąpił sobie także kanonik. Słyszając, co mówią dziś o Krzesławie, a nie mogąc tego zaprzeczyć, iż jest w tych oskarżeniach cokolwiek słuszności, dla miłego zresztą spokoju, całkiem się od Krzesława odsunął. Wszakże odsunął się także od Grzegorza i Mateusza, patrzył na nich z pod oka, i z wielką tylko goryczą z nimi rozmawiał.

Nareszcie i sam Dobiesław, widząc jak się przeciwko jego bratu zburzyła opinia sąsiedzka, słysząc zdaleka, że już i przeciw niemu za to powstaje, iż mu jego winy tak łatwo przebaczył, zaczął się trochę zastanawiać nad sobą i bratem. A ponieważ zawsze był przekonania, iż nasza

ospałość nas gubi, a każde ożywienie umysłów jest dla nas zbawiennem, bo utrzymuje w ruchu, rozwija i potęguje nieliczne sprężyny naszego dość ciasno określonego życia, — i ponieważ był przekonany, iż w naszym położeniu wszystko się osiąga z wielką trudnością a nic bez poświęceń i ofiar: więc podniósł się nad to, iż za obecne ożywienie umysłów jego rodzony brat płaci, a obiecując sobie, iż ta mała szkoda łatwo się powetuje a nawet naprawi, owszem był kontent z tego, że się nareszcie poruszyły umysły, i jeszcze sam temu ruchowi pomagał.

Jeżeli tedy ich wzajemne dysputy nabierały coraz więcej ognia i zawziętości, to tylko z tego się cieszył; a jeżeli ztąd wynikały wzajemne dąsy i gniewy, to się niemi wcale nie martwił, bo wierzył święcie, że gdzie miłość jest taka serdeczna i głęboka, tam żaden gniew nie może być innym, jak tylko chwilowym....

Tak było z początku.

Ale Dobiesław był człowiekiem poważnie myślącym, i na jakąkolwiek rzecz zwrócił swoją uwagę, lubił ją zbadać gruntownie i zdać sobie z niej sprawę dokładną i jasną. Tak wzięwszy pod ostry nóż krytycznego rozumu ten ruch, który się rozniósł w jego rodzinie i po całym sąsiedztwie, dostrzegł niebawem tego wszystkiego, cośmy

o nim powiedzieli już z góry, i dostrzegł jeszcze daleko więcej. Nie tajno mu już było natenczas, iż chociaż pęd tego ruchu powiewał sztandarem patryotycznym, jednak jego dążność i treść była czysto stronnica; — nie tajno mu było dalej, iż lubo spory toczyły się niby o zasady dotyczące pospolitego dobra, jednakże w gruncie rzeczy jak się poczęły tak i zostały na ciasnem i brzydkim polu osobistości; — nie uszło nareszcie jego zdrowemu oku, iż w obecnych okolicznościach, ruch taki stronnicy a do tego tak gwałtowny i tak radykalny, nie może mieć ani wyższego ani też żadnego celu przed sobą.... A kto ten ruch wywołał, kto go głównie zasyczał, kto go prowadził, — to był Walenty Wicher, jego przyjaciel.

Dawnemi czasy nie potrzeba było pytać, kto nas prowadzi i dokąd? — bo ten, który prowadził, był znany każdemu dziecku, jego zasady i wiarę wypowiadały jego zasługi i cnoty, a jego cel, bagnetami zjeżony, widziało oko. Ale dziś, gdzie lada wicher zerwie się z ziemi i lada całkiem nieznany, albo co gorsza, znany powszechnie jako duch niezgody i nienawiści, porywa buławę hetmańską — i gdzie ten wicher nigdy otwarcie nie powie, czego właściwie chce, wojuje zawsze bronią dwusieczną, morduje dzisiaj czoło-

wieka a mówi, że idzie mu o zasadę, jutro morduje zasadę a trafia człowieka, dzisiaj klnie kogoś zdrajcą a jutro go za to przeprasza, i zgoła każdego momentu gotów być kozłem i baranem: tam za każdym nowym powiewem, ktokolwiek głos ma w swem gardle, powinien głośno zapytać: — Kto? zkad? i dokąd?

Tak myślał Dobiesław — i dlatego przedsięwziął sobie, przy pierwszej sposobności otwarcie z Wichrem pogadać.

Jakoż jednego dnia, dopadłszy go w swoim ogrodzie, zawiązał z nim następującą rozmowę:

— Dobrze, żem cię tu zastał, mój kochany Wicherku; mam z tobą o ważnych rzeczach do pomówienia....

I siadłszy zaraz przy nim, tak dalej mówił:

— Wiesz pewnie, że od niejakiego czasu, a mianowicie od tego, odkąd ty tutaj bawisz, opinia publiczna straszliwie się zburzyła przeciwko mojemu bratu. Obwołano go odstępcą i zdrajcą, rozniesiono o nim mnóstwo ubliżających wieści, a między niemi i takie, które są po prostu zmyśłone. Że mnie to zabolalo, łatwo się domyślisz, bo to przecież mój brat; zabolalo mnie to jeszcze daleko więcej dlatego, iż już-em go był wprowadził na drogę poprawy; ale najwięcej dlatego, iż z tego powodu rozniósł się pomiędzy nami

wszystkimi duch podejrzliwości, oszczerstwa, oskarżycielstwa, domowych waśni i wojen. Docho-
dziłem starannie, od kogo to wyszło, i doszedłem,
iż wyszło od ciebie. Proszę cię, powiedz-że mi
najpierwej, cóż ci winien mój brat?

— A! przyznam ci się — zawołał na to Wicher
— żem się takiego pytania najmniej spodziewał
od ciebie! Czyż ty nie widzisz, że tu nie chodzi
o twego brata, tylko o co innego?

— Pozwól-że mi się spytać, o co tu chodzi?

— Jakto? ty pytasz się o to?

Dobiesław chwilę przemilczał a potem rzekł:

— Na rozkaz twój już-em się wszystkiego do-
myślił. Tu chodzi o poruszenie pewnej myśli ży-
wotnej, pewnej narodowej idei. Tak wy mówicie;
a lubo z czynności waszych jest rzeczą widoczną,
że wy albo tę narodową ideę pojmujecie zupełnie
fałszywie, albo jej tylko za pokrywę używacie,
jednak ja to dopuszczam. Lecz gdyby nawet i
tak było, to powiedz-że mi, mój drogi, czy jest
jaka idea tak wielką, aby ją wolno było osiągać
tak plugawemi środkami? aby wolno było dla niej
niewinnych napadać ludzi, niszczyć jednym za-
machem ich wieloletnie zasługi, kląć ich zdraj-
cami, a ich imiona podawać wzgardzie publicznej?
ażeby wolno było brata podburzać na brata,
rozsiewać złości i nienawiści, zaszczepiać jady

wojen i burd w wnętrzu rodziny? Daruję ci mego brata, bo to mój brat, bo może istotnie co winien. Ale cóż ci też winien nasz zacny kanonik, żeś go skłął głupcem i bałwanem, rzucił na niego podejrzenie, jakoby był wrogiem ojczyzny i usiłował go żywcem pogrzebać?

— Kanonik — rzekł na to Wichr — jest martwą bryłą, zerwał wszelkie stosunki ze żywym światem, stanął sam nieruchomie na miejscu i stał się zaporą wszelkiego ruchu i postępu. Takich ludzi trzeba uprzętać. Ażaliż nie wiesz, że aby drogę nowemu światu utworzyć, trzeba przede wszystkim pogrzebać umarłych?...

— Ależ zmiłuj się, co innego jest grzebać, a co innego plugawić. Jak można podnosić rękę na takiego człowieka, jakim jest kanonik, chociażby nawet istotnie się z nowszymi pojęciami nie zgadzał? Przecież ten człowiek ma wielkie za sobą zasługi. On lat kilkadziesiąt wytrwał z zaszczytem na urzędzie kapłańskim i był kapłanem nieocenionym; świadkiem tego jest Grodowiska gromada. Dzisiaj, stargawszy zdrowie i siły, zapragnął spoczynku; czyliż-to nie jest rzecz naturalna? Czyliż on winien co temu, że już przeżył swe życie, że się przybliżył do grobu i że stojąc nad grobem, myśli więcej o grobie, niżeli o

życiu? Niczem-że są u ciebie jego wiek, jego siły stargane i jego zasługi?

— Nie rozumiemy się, nie zgadzamy się w zdaniach....

— O! oczywiście, że się nie zgadzamy. Bo tyś rzucił klątwę nawet na mego teścia.... Cóż ci znów winien mój teść?

— Twój teść, mój kochany! — rzekł na to Wichr — jest daleko więcej winien, niżeli Krzesław. Krzesław jest tylko materyalistą; o pieniądzu mu idzie, a reszta wszystko mu obojętne. Tacy ludzie są tylko materyalnie szkodliwi... Ale twój teść materyalistą nie jest i bierze udział we wszystkich społeczeństwa czynnościach i myślach, a jest arystokratą zakutym, nie cierpi wszystkiego, co jego martwym zasadom przeciwne, pogardza wszystkim, co z jego zaczarowanego koła nie wyszło, i tę zarazę około siebie rozsiewa. Tacy ludzie są najcięższymi wrogami sprawy powszechnej — i trzeba ich grzebać najpierwej.

— Hm, hm, hm! — rzekł na to Dobiesław — ślicznieś mi mego teścia przedstawił, czy to już wszystko?

— Jest jeszcze i więcej, ale o tem zamilczę.

— Dlatego zapewne zamilczałeś i o tem, że mój teść, chociaż jest takim arystokratą, bił się

za ojczyznę, za którą ty, jego sędzia i oskarżyciel, nigdzie się nie bilesz, ani nawet cierpiełeś... I zamilczałeś o tem, że ten mój teść stracił ogromny majątek na to, ażeby jego dom był świątynią braterstwa a przybytkiem tułactwa — że żyjąc potem przez wiele lat prawie w nędzy, od ust sobie ujmował a szkółki fundował dla ludu — że dziś trzecią część swoich dochodów obraca na obywatelskie i miłosierne uczynki — i że dziś jeszcze, chociaż się już przygarbił i włosy przyprószył siwizną, pierwszy-by wsiadł na kulbakę i potrafił-by zginać... Czy to jest nic? czy i to nawet cię nie ubłaga dla niego?

— Nie! — odpowiedział stanowczo Wichr, — bo nie idzie tam, gdzie my idziemy. Niech szlachta zbudzi się ze snu, niech się zaciągnie pod nasze sztandary i niech się weźmie do pracy tej, jaką my jej wskażemy; a wtedy wszystko jej przebaczymy.

— Cha, cha, cha! — rozśmiał się na to Dobiesław — jakto! i tobie się marzy o tem istotnie? — Powiedz-że mi otwarcie, czy wy jeszcze i dziś, po tylu dowodach waszego heroizmu i politycznego rozumu, macie zawsze pretensyą do hetmaństwa i przewodnictwa w narodzie? — A! wiesz co! była-by to rzecz arcy-zabawna!

— Nie rozumiemy się — rzekł sucho Wichr — nie dójdziemy ze sobą do końca....

I chciał już odchodzić. Ale go Dobiesław jeszcze zatrzymał i rzekł:

— Ależ-bo właśnie o to chodzi, ażebyśmy się porozumieli, a nie jest to rzecz niepodobna. Słuchaj mnie, mój Wicherku! ja już ciebie doskonale rozumiem, i na wszystko ci dokładnie odpowiem. Słuchaj mnie tylko bez gniewu, a z podniesieniem ducha nad wszelkie osobistości, bo przecież nie o nas tu chodzi. Dopieroś pierwszy krok teraz na scenę publiczną postawił, a patrz! ileś ty już niedorzeczności napłatał! Ty tym jednym krokiem pojedyńczym osobom piekielne powyrządzałeś krzywdy, — ty w społeczeństwie, które po długoletniem rozdarcu dopiero co się napowrót zlało ze sobą, wywiesiłeś nanowo sztandar stronnicy, — w chwili takiej, kiedy nam jak największej trzeźwości umysłu i moralnej powagi potrzeba, zaraziłeś nas pijaństwem serca i szaleństwem sumienia — a kiedy tylko jak najsilniejsza spójnia wewnętrzna może nas zbawić, tyś zasiał pomiędzy nas ziarna złości i nienawiści i nowego rozdarcia! — Patrz! ile tu pięknych owoców twój rozum stanu wydał od razu! — Ale to wszystko jeszcze się tobie przebaczy, zapomni i zmaże na wieki; tylko zwiń

twoje chorągiew stronniczą a stań pod chorągwią ogólną. Ty, człowiek tak krzepki i z taką ognistą fantazją, ty możesz się stać bardzo pożytecznym; lecz na to trzeba, ażebyś tak jak my wszyscy zapomniał całkiem o sobie a zlał się z całością, ażebyś zarzucił twoje wieczyste dążności fakcyjne, i abyś zwolnił cokolwiek z twoich wygórowanych pretensyi. Przewodniczyć dziś, to tobie trudno, to niepodobna. Zważ tylko, czego do tego potrzeba, i przypomnij sobie, jakimi bywali ci, którzy nam przewodniczyli niegdyś. Byli to wszyscy ludzie powszechnie uznanej zasługi i ukochanego przez cały naród imienia. A gdzież są twoje zasługi? gdzież twoje imię? — Czy chcesz, żebym ci je przypomniął? — Mógłbym, bo przecież się znamy; lecz nie chcę. A czegoż jeszcze po takich przewodnikach potrzeba? Oto potrzeba koniecznie, ażeby stanęli swoim umysłem na wysokości takiej, z której widać całą powierzchnię narodu — i żeby swem sercem cały ten naród objęli. A gdzież ty stoisz? na poziomie ulicy. A coś ogarnął twem sercem? Najniższe warstwy społeczne. Jak daleko z takim zapasem u nas zająć można, jużśmy to wiedzieli; a dziś, wierz mi to mój kochany! ledwie niedowarzony chłystek może być tak nieroztropnym, ażeby popędził za takimi wichrami. Dlatego zastanów się nad tem,

co czynisz, wypowiadaj się choć raz przed sobą serdecznie i szczerze, zajrzyj w głąb' twoją, i uderz się w piersi, i zaprzyj się siebie, i zlej się z całością; a wtedy obaczysz, iż wszyscy razem zajdziem daleko dalej, niżeli-by najgorętszy z nas był zaszedł z osobna.

Wichr milczał.

A Dobiesław, będąc pewnym jak najlepszego skutku swojej przemowy, na tem zakończył; jakoż jak gdyby nic nigdy nie było, wziął swego przyjaciela pod ramię i zaprowadził go na herbatę, z którą na nich czekano.

Przy herbacie był spokój i rozmawiano pogodnie i zgodnie....

Ale już w kilka dni potem rozniósł się nowy wrzask i harmider po całym sąsiedztwie. Wichr zaczął wicherzyć nanowo, jawnie i skrycie, i z niesłychanem zuchwalstwem, Biegał po całej okolicy jak opętany i dowodził kłamstwami i fałszem: że Krzesław jest denuncyantem i szpiegiem — że kanonik jest zaprzędanym, — że Wapnowski knuje spiski i burzy szlachtę przeciwko każdemu ruchowi. Na dobitkę tego wszystkiego, najboleśniejszą ofiarą swojej serdecznej przemowy padł Dobiesław; okrzyczano go bowiem zaprzań-

cem, domatorem, materyalistą, samolubem i najzawziętym wrogiem sprawy powszechnej.

I nie trudno się już domyśleć, jakie ztąd wywinęły się skutki.

Pomiędzy obudwoma braterskimi domami zerwały się odtąd wszelkie stosunki.

O pracach wspólnych, o przedsiębiorstwach, o owych tysiącznych projektach, które w czasie zgody ukuto, już ani wspomnienia nie było.

W domu Krzesława ciężkie zapanowało zmar-twienie — a dom Grodowski stał się areną najgwałtowniejszych sporów i kłótni.

Nie dysputowano już z sobą, ale się na siebie rzucano.

Przyszło nareszcie do tego, że Mateusz zaczął skakać z zaciśniętymi pięściami Wapnowskiemu do oczu — a Grzegorz szkalował kanonika publicznie.

Śmiertelnie tem zgryziony kanonik zamknął się u siebie, zasiadł nad pismem świętem i ani krokiem nie ruszał się z domu.

Wapnowski, znudzony do najwyższego stopnia, kazał swoje rzeczy pakować, ażeby zaraz po żniwach za granicę wyjechać.

Dobiesław chodził jak struty i sam nie wiedział, co-by miał począć ze sobą.

A szatan siedział na boku i śmiał się, i kłapał zębami, i klaskał w ręce z radości!

* * *

E p i l o g.

— I koniec na tem? — pyta czytelnik, — okropny-to koniec!

— Może i koniec... w rzeczywistości; ale jesteśmy w powieści — a powieść ma swoje prawa wyłączone.

Idźmyż więc dalej.

Otóż jednego dnia — a było to właśnie na krótką chwilę przed zachodem słońca — Dobiesław zasiadł samotnie w kąciku swej wielkiej sali jadalnej i bardzo się smutno zamyślił. Przypomniały się jego pamięci wszystkie jego zabiegi i prace, i prac tych owoce, i jego wszystkie nadzieje. Już doprowadził był tak daleko, już pogodził ze sobą najsprzeczniesze opinie, już swego brata sprowadził na drogę poprawy, już jego żelazne serce i skrzynię otworzył do poświęceń i ofiar, już duchy zestrzelił w jedno ognisko, już ręce powiązał do wspólnych przedsięwzięć i pracy, już brakowało tylko jednego „Stań się!“,

ażeby jego zespoloną rodzinę nowemi pchnąć tory: — a tymczasem za jednym wichru powiewem wszystko to pierzchło, a jego gmach cały rozbryzgnął się w drobne kawałki! Jeszcze przed chwilą cieszyli się niebiescy anieli, unosząc się nad tą nieszczęsną ziemią i swoim tchnieniem związując porozstrzelane promienie ducha; a teraz już szatan przebrzydły siadł na niej, kłócąc coraz zuchwalej wzruszone nanowo odmetry. Jeszcze przed chwilą w całej rodzinie jasny błyszczał rozsadek, ogrzewała ją miłość, a jedność dawała jej odwagę i możność i siłę; a teraz już wszystkie głowy pijanym zakręciły się szaleńcem, spienione usta miotają złością i nienawiścią, przeciwko sobie ścisnęły się pięście, a w tem rozdarciu i zakłóceniu objawiły się w przerażającej nagości bezsilność, małość i nicość całej rodziny....

Tak myślał Dobiesław — i dziwnie ciężko mu się zrobiło na sercu. Wszystko mu już obrzydło, jego rodzinne szczęście stało mu się ciężarem, nawet samo życie na takiej ziemi wydało mu się jakoby karą piekielną.

Po małej chwili przyszła żona do niego, położyła swą białą rękę na jego czole, z przestращem spojrzała mu w oczy i rzekła:

— Dla Boga, mężu! co tobie?

— Dziecko moje! — rzekł jej Dobiesław, — nie dziw się mojej zgryzocie. Ażaliż nie widzisz, co się koło nas dzieje? ażaliż nie wiesz, jak ja kocham ojczyznę?

— Oh! i ja ją kocham, mój drogi! Ale mam jeszcze w Bogu nadzieję...

— Już tylko w Bogu, — powtórzył gorzko Dobiesław, — miej ją; nadzieja to szczęście! Ale wiedz o tem, że czasy cudów już dawno minęły.. Nie zbawił nas Bóg swoim cudem natenczas, kiedy nas do krwi smagały złe losy; o ileż mniej zbawi nas teraz, kiedy się sami smagamy!

— Ależ zmiłuj się, mój kochanku! — zawołała niecierpliwie Klotylda, — dlaczegoż tak cierpieć? dlaczegoż coś przeciw temu nie radzić?

— Cóż robić?

— Ja nie wiem; ale coś trzeba robić, coś mówić, trzeba się przynajmniej pokazać i zawołać: — Czekajcie! oto i ja jeszcze żyję i jestem! — Dlaczegoż szlachta... oh! ta nasza szlachta! ażaliż potrzeba aż minę prochu pod nią podsadzić, ażeby dała znak życia? Jeżeli tak jest, to i to trzeba; to bądź ty taką miną!

— Szlachta nasza.... rzekł na to Dobiesław, — ja nie wiem istotnie, czy ona żyje. Ja jej nie widzę... Widzę, że jeszcze posiada majątki, że na nich gospodaruje, że stawia gorzelnie i młyny,

buduje koleje, zakłada Towarzystwa i szkoły
 rolnicze, ma swoje kluby i wyścigi; ale ażeby
 żyła życiem publicznem, tem żywem życiem tej
 ziemi, którem dziś każdy student oddycha, ja
 tego nie widzę.... Jednak moje dziecko kochane!
 nie dziw ty się temu i nie dorzucaj nowej klątwy
 do klątew tysiąca, które rzucono na szlachtę.
 Bóg może ją będzie sądził inaczej, ale my ją
 sądzmy po ludzku. Szlachta była przez tyle wie-
 ków sama jedna narodem. Jak przez te wieki
 wypełniała tę ciężką służbę, ile potem poniosła
 poświęceń i ofiar, męczeństwa i śmierci, wszy-
 stkim to jest wiadomo. Była ona czynną do
 ostatniego dnia, do ostatniego oddechu.... Ale
 odkąd powstało nowe stronnictwo w narodzie i
 wykleło ją z między żyjących; odkąd niemal cała
 krzykliwa literatura stała się jednym wielkim
 paskwilem na szlachtę; odkąd każdy człowiek,
 który się odważy głos zabrać w sprawach publi-
 cznych, bywa ściągany na bruk ulicy i odda-
 wany pod sąd opinii ulicznej, pod jadowitą
 ślinę plwaczy publicznych, i biczę kręcone ze
 szubienicznych powrozów.... odtąd, nie tylko szla-
 chta, lecz wszelki duch poważny i pracowity,
 usunął się na bok i pozostawił arenę społeczną
 bohaterom nowego ducha i kroju. Czy dobrze tak
 ci ludzie zrobili? czy nie powinni zawsze tak

kochać ojczyznę, ażeby się dla niej dawali opluwać, biczować i na swe głowy cierniowe wciskać korony, a choćby nawet krzyżować: oh! to inne pytanie! Czy im brakuje odwagi, czy siły, czy woli; to Bóg kiedyś osądzi. Ale gdy człowiek sądzi, powinien pamiętać, że pójść świadomie i dobrowolnie pod plwanie i bice pospólstwa, pod krzyż i cierniową koronę, dotychczas — tylko Chrystus potrafił...

— Ach! więc już wszystko stracone! — zawołała Klotylda.

— Ja tego nie mówię, — odpowiedział jej mąż, — któż z nas jest wieszczem? — Ale dzisiejszy dzień jest straszliwy, bo stawia nas nad brzegiem przepaści. Nie śmierć nas czeka, tej dla nas nie ma; ale wieczna nas czeka ohyda i pogarda całego świata. A to gorsze niż śmierć...

— O! Boże! Boże! — zawołała ciężko stroskana Polka, — czyż-by nie było już żadnego miłosierdzia dla nas u Boga? czyż-by w nas samych, w naszych dziejach tak wielkich, w naszych cierpieniach tak wzniosłych, nie było już żadnej myśli tak żywej, żadnego tak twórczego natchnienia, ażeby nas mogło oświecić, pogodzić i na powrót zespolić?...

Dobiesław milczał, — i cisza była w komnacie.

A wtem dał się słyszeć głos dzwonka i silny turkot przed gankiem pałacu. W tej prawie chwili wbiegł sługa i zapowiedział, że jakiś gość nieznamy i nigdy tu nie bywały, bardzo ubogim wozem ale bardzo dzielnymi końmi zajechał w ganek i pyta o pana. Ale Dobiesław był w tej chwili tak martwy, że nawet go nie rozumiał i ani się ruszył — a tymczasem i ów gość niespodziany wszedł do sali.

Zaprawdę było to dosyć dziwne zjawisko.

Gościem tym bowiem był starzec prawie zgrzybiały, ale prześlicznej starości. Olbrzymiego był wzrostu i zbudowany niezmiernie barczysto; lecz cała postać jego była tak wysuszona, iż zdawał się być nie człowiekiem, lecz duchem. Jego twarz była prawie tak biała jak marmur, a czoło wysokie i wzniosłe gęstemi poorane zmarszczkami. Na jego głowie snuły się już tylko resztki włosów, miękkich i białych jak puchy łabędzie, a od twarzy spływała bielutka broda, rozwiana lekko jak sen zimowy na piersiach. Na jego twarzy siedział spokój tak cichy, o jakim mogą zamarzyć zaledwie duchy niebieskie, a który na ziemi mogą wyrobić chyba wiekowe cierpienia; tylko z jego błękitnych oczu, osadzonych głęboko i krzaczystymi brwiami okrytych, błyszczały jeszcze jakieś resztki promieni ziemskich. Ubrany

był ten starzec w jakąś suknię szeroką i długą z granatowego uszytą sukna, ze szerokimi rękawami, co mu jeszcze tem więcej dodawało powagi. Jakoż w ogóle cała ta postać miała w sobie coś dziwnie niezwyčajnego; i wyglądała nie jak żyjąca istota, ale jak gdyby myśl w widome odziana kształty — jak wieść przybywająca z daleka — jak gdyby jakieś dawne, całkiem już zapomniane wspomnienie....

Tak wszedł i stanął niedaleko ode drzwi, i tak go tam owe ostatnie zachodzącego słońca oblały blaski — a on tymczasem szukał zwiędłemi oczyma po sali, gdzieby w niej znalazł teraźniejszego tej posiadłości dziedzica.

Obaczywszy go Dobiesław, zbudził się, zdziwił się bardzo i rzekł do żony:

— Patrzaj-no Klodziu! jaka-to postać jakby ewanieliczna.

Zaczem zerwał się prędko, wyszedł ku niemu i mając go za mnicha, rzekł głosem zwyczajnym:

— Niech będzie pochwalony... Zkąd-że Pan Bóg prowadzi?

Lecz starzec ujął go silnie za rękę i zaprowadziwszy ku oknu, wpatrzył się w jego twarz; a po chwili rzekł:

— Dobiesław? ani jednego rysu nieboszczki Klaudyi!...

Poczem się oparł o okno i zamyślił się smutno.

Te słowa były wypowiedziane głosem takim głębokim i drżącym, iż Dobiesław uczuł się jakoś dziwnie wzruszonym i jakby nie swoim. Zdało mu się, jakby do niego przemówił duch lub umarły. Dopiero odetchnawszy z całej piersi, ośmielił się trochę i rzekł:

— Tak... Klaudya to była moja matka... A Jegomość któż jesteś?

Zbudził się na to starzec i machnąwszy ręką przed siebie, rzekł jakby nic:

— Ja jestem Szydłowski...

— Szydłowski! mój dziad! — zawołał na to Dobiesław, wzruszony do samej głębi — ojciec mój drogi! mój święty! ty żyjesz jeszcze?... Oh! jakiż Bóg ciebie natchnął, żeś ty nawiedził progi mojej chaty nieszczęsnej! Tyś zdjął najcięższy grzech z mego sumienia....

Od chwili już stała przy nim Klotylda — a teraz rzucili się przed nim oboje na ziemię, całując drżącymi usty jego zimne sandały, na których jeszcze błyszczały iskierki lodów Sybiru.

A starzec się pochylił nad niemi i błogosławiąc im, mówił:

— Jesteście pełni czci i miłości, niech-że wam Bóg za to odpłaci swem miłosierdziem....

A w tej chwili stał już przy nim Wapnowski i witał go ze czcią świątobliwą, dotykając się brzegu jego szaty męczeńskiej.

I przybiegł Mateusz i w pokorze swojego miłościwego serca klęknął na ziemi zdaleka, złożył ręce jak do modlitwy, i patrzył w tę postać poważną jak gdyby w obraz cudowny.

I pozbiegali się domownicy i słudzy, patrząc zdaleka, pytając z zdziwieniem: — Pielgrzym-to jest, który powraca ze ziemi świętej? czy prorok? czy apostoł Chrystusa Pana?

Tymczasem starzec rozmawiał z Wapnowskim i mówił:

— Znam ciebie i wszystkich twych ojców i dziadów, którzy są moim wnukom pokrewni. Błogosławieństwo Boże niech będzie z wami, że miłość wasza rodzinna dotąd jest niespożyta....

Zaczem spojrzał na Mateusza i spytał:

— Któryż jest człowiek, co klęczy? pobożny, grzesznik czy faryzeusz?

Odpowiedziano:

— Żołnierz-to stary, który walczył za Polskę przez całe życie, a teraz czeka zmiłowania Bożego.

— To chodź tu! — zawołał starzec do niego — i podaj mi rękę. Jam także żołnierz, który walczył za Polskę, ty pracą ciała i krwią, a ja

pracą ducha i męką. Chodź, niech cię do mojej piersi przycisnę, i niechaj w tem zespoleniu słowo stanie się ciałem, na chwałę Boga i pożytek naszego zakonu.

Ale grzeszny Mateusz rzekł:

— Panie! nie jestem godzien, abym się kładł na piersiach takiej świętej ofiary. Ale połóż tylko twe ręce na mojej głowie!

I położył starzec ręce na jego głowie — i serca jego odrodziło się w dawnej miłości i pokorze.

I przybiegli z kolei obadwa kapłani. Kanonik wołał:

— Bądź pozdrowiony, ojciec nasz ukochany! Ty-leśmy tutaj nad twojem męczeństwem cierpieli, tak'śmy cię pragnęli, twój przyjście wyglądaliśmy zawsze jak zbawienia. Niech-że ci Bóg da, ażebyś serca nasze naprawił a drogi nasze sprostował.

A Grzegorz stał zdaleka, pełen podziwu i sromu.

A starzec mówił:

— Dzięki niech będą tobie, sługo Chrystusów, żeś o mnie pamiętał natenczas, kiedym był jako umarły dla wszystkich. Listy twoje były jedyną miłością żyjącą dla mnie na ziemi, a modlitwy twoje jedyną moją nadzieją. I wysłuchał Bóg

twego błagania, i stało jego słowo nademną, i powróciłem do was, ażeby kości moje spoczęły w tym grobie, gdzie duch mój tak często modlił się Bogu za wasze szczęście i zbawienie...

Zaczem wzniecono światła, zastawiono stół jadłem i napojem, zasadzono świątobliwego starca za stołem, a wszyscy jemu służyli. I każdy się cisnął ku niemu wypytując troskliwie o jego męki i cierpienia. Ale on dzisiaj skąpemi udzielaj się słowy. Widać tylko było, iż gdyby był chciał, to miał o czem mówić, bo rzekł:

— Zaprawdę powiadam wam, iż cierpiałem daleko więcej, niżeli wypowiedzą usta człowieka.

I widać było, że był-by umiał to opowiedzieć, bo miał pamięć cudowną, i wymowę niezwykłą, i umysł głęboki a jasny i prawie natchniony. Głowa jego sędziwa się trzęsła od starości i cierpień; ale wiedział o wszystkim, co się działo w Polsce nawet natenczas, kiedy go w niej nie było — znał wszystkie jej wojny i klęski i sprawy, jak gdyby był im przytomny — a kiedy mówił, to jego słowo było okrągłe jak kula i jak kula trafiało do serca. Toż każde jego słowo chwyтали wszyscy łakomie, starzy i młodzi, kobiety i dzieci.

Ale on mało mówił tego wieczora. Natomiast zaś kazał sobie opowiadać życie i śmierć Klaudyi, ostatnie czyny jej męża i wszystkie losy jej synów.

Nie było tego wiele; życie nasze takie ubogie; prędko się to opowiadanie skończyło. Zaczem ich dziad podniósł się z miejsca i rzekł do wszystkich:

— Łaska Boża niech będzie z wami....

A do kapłanów powiedział osobno:

— Prosimy o mszę świętą na jutro.

I odszedł.

Nazajutrz rano była msza święta w pałacowym kościółku. Przyjechał na nią Krzesław i Wichr i żona Krzesława i dzieci. Starzec ich witał bez żadnej różnicy od innych, lecz przypatrywał im się z uwagą. Na mszy się modlił gorąco, klęcząc przez cały czas nabożeństwa na środku świątyni. A po mszy rzekł do kanonika:

— Oddaliśmy cześć Panu Bogu, a teraz na nas czekają umarli. Chodźmy do grobów.

Otworzono obszerne podziemie kościoła, wpuszczono weń światło przez kraty żelazne, i wszyscy weszli kolejną. Trumny tam stały jedne przy drugich, już popsute niektóre, a inne całe; te z napisami na blachach, drugie już bez napisów. Na samym brzegu stała trumna śp. Klaudyi. Starzec stanął nad nią, załamał ręce, i widać było po nim, że cierpiał boleśnie. Do koła niego głucho panowało milczenie, słychać tylko było cichy szept modlących się dzieci i wnuków. Nareszcie starzec westchnął głęboko, skinął ręką

ku trumnie, jak gdyby się zegnał z nią do widzenia, i obrócił się do żyjących. I wskazując na inne trumny rzekł do obydwóch braci:

— Którzyż są, co tutaj leżą?

Wtedy Dobiesław wystąpił naprzód, oprowadzał starca do koła i mówił:

— Tu leży Krzysztof, który był zwany mężem żelaznym. Bił się przez całe życie i nigdy nie przyjął żadnej za to nagrody.... Ta trumna jest próżna, lecz poświęcona jest pamięci Adama, który miał Szydłowską za sobą. Ten dostał się pod Parkanami w niewolę turecką, był w Carogrodzie męczony za wiarę, lecz wytrwał i zginął śmiercią męczeńską na palu.... Tu leży syn jego Błażej, który sobie poprzysiągł, póty w pocziwej pracy nie spocząć, póki ostatni wróg nie ustąpi z granic Rzeczypospolitej. I doczekał się tego, i umarł w świątobliwej pokorze.... Tutaj leży nasz pradziad Jozafat, który umarł ze sromu przed niezasłużonym zaszczytem.... Tu jego syn Bernard, który umarł z boleści nad utraconą ojczyzną.... Tutaj nasz ojciec Seweryn, który zginął z rozpaczy, że jej nie mógł odzyskać....

Zamyślił się starzec na chwilę, jak gdyby leciał pamięcią w te czasy dalekie; ale prędko się zbudził i rzekł:

— A gdzież leży ten, który całej ojczyzny ukochać nie umiał, nie bił się za nią z wrogami, nie cierpiał i nie umierał — a natomiast kochał tylko myśl swoją, żył nienawiścią i złością, braci podszczuwał na braci, sądy stanowił, zdrady wymyślał, klątwy rozrzucał i wodził się za łeb po domu, na wstyd i hańbę narodu?

Na takie pytanie wszystkie się wstrząsnęły sumienia, i wszyscy ze sromem spojrzeli po sobie a Dobiesław odpowiedział:

— Nie było nigdy takiego w naszej rodzinie.

— Jakżeż jesteście szczęśliwi, — rzekł na to starzec, — że taki wzór macie w swych ojcach! Jakżeż musicie być pełni miłości wzajemnej, jak silni waszą jednością, i jak gotowi do nowych walk i poświęceń! Bóg niechaj będzie z wami! Wielką jest wasza potęga i żadna moc jej nie złamie.

I wyszli z grobów, i powracali do domu.

A lud wiejski zgromadził się przed kościołem, pozalegał drogi i ścieżki, i cisnął się do starca, aby go tylko obaczyć. Jedni się przed nim rzucali na ziemię, drudzy dotykali się szat jego, a trzeci wołali zdaleka: — Ileż łaski u Boga musi mieć ten, który naszej świętej pani był ojcem i nauczycielem!

I starzec rozmawiał ze starszymi z gromady, wypytywał ich o wspomnienie Klaudyi, o warszta-

cik i szkołę, i błogosławił ich żonom i dzieciom. Zaczem przyszedłszy w ganek pałacu, rzekł do otaczających go:

— Ten lud jest dość rozgarniony. Rozjaśniła mu umysł nadana mu własność i swoboda. Ażaliż rozjaśniło się w nim zarazem jego narodowe sumienie?

A Dobiesław rzekł:

— Podobno nie nam jeszcze tego doczekać! Ten lud jest zawsze jeszcze ciemny i nieświadomy.

A starzec na to:

— Zaczem jesteście jeszcze zawsze tam, gdzie my byliśmy naszego czasu. Idea jest, i dobrą jest, ale bezużyteczną na teraz, bo ciała jej braknie. Niechaj więc będzie, i niech ją praca powszechna pokrzepia, wzmacnia, rozwija; ale tymczasem niepodobna jest po niej stanowczych spodziewać się czynów. A kiedy tak jest, jakaż-to mała garsteczka jest was do ofiar, poświęceń i pracy! Zaprawdę powiadam wam, jeżeli i ta garsteczka jeszcze nie jest jako-by jedna rodzina, jeżeli jedno nie bije w niej serce: to po was jeszcze tem mniej jakichbądź można spodziewać się czynów...

I weszli do sali — a starzec rozmawiał z wszystkimi, oświecając się od nich o rzeczach krajowych.

Na drugi dzień pojechali wszyscy do Krzesława, bardzo gościnnie od niego przyjęci.

A kiedy wrócili, rzekł Szydłowski do Dobiesława w obec całej jego rodziny:

— Krzesław mi się podoba, bo jest pracowitym i nagromadził znaczne zapasy. Używaj on ich tak, jak człowiekowi zacnemu przysłało?

Dobiesław powiedział mu całkiem otwarcie, jakim Krzesław był niegdyś i jakim dziś jest. A starzec na to:

— Smutno-to dla nas, jeżeli są pomiędzy nami grzesznicy. Ale wielką na to pociechę zostawił nam Chrystus, który powiedział: — „Zaprawdę powiadam wam, iż miłszym jest Panu Bogu jeden grzesznik nawrócony, niżeli stu sprawiedliwych.“

— Otóż i wy nie powinniście odtrącać od siebie grzeszników, a owszem otwierać im drogę poprawy na ścieżaj.

A kiedy to mówił, Grzegorz i Mateusz pobledli, i nie uszło to jego bystremu wzrokowi.

Zaczem po chwili wziął Dobiesława do ogrodu i chodząc z nim długo po lipowej alei, rzekł w końcu:

— Jadąc tu do was, zatrzymałem się kilka dni w waszej stolicy, ażebym odpoczął po trudach podróży. I rozpytywałem się tam pilnie o wszystko, i czytałem, co jest napisano. I dowiedziałem się,

że jedni śpią, a drudzy pracują, a trzeci pożywają owoce swej pracy; ale i śpiący zrywają się ze snu, i pracujący powstają od swej roboty, i pożywający owoce swej pracy przestają jeść, ażeby się swarzyć ze sobą i łżyć i plugawić. Wiele, jest napisano, ale daleko więcej tam jest, niżeli stoi na piśmie. Wyrozumiałem, o co rzecz chodzi; ale chociaż wyrozumiałem, zakrwawiło się serce moje w boleści... Cóż wy robicie? czy się także swarzycie?

Najbardziej obawiał się Dobiesław tego pytania, nie dla siebie, ale dla swojej rodziny. I zarumienił się, i łzy mu w oczach stanęły, i milczał. Lecz starzec rzekł:

— Powiedz mi wszystko otwarcie, bo ja acz nie przytomny ciałem, ale duchem przytomny, jużem was wszystkich osądził. Chcę tylko, abyś mi to sam opowiedział.

Zaczem opowiedział mu wszystko, jak było.

Długo chodził starzec w milczeniu i poważnie rozmyślał, a potem rzekł:

— Daprawdę powiadam tobie, jako mówi Apostoł, iż najtrudniej jest nauczyć tego, który sam siebie nie uczy, i nie nauczyły go nieszczęście i utrapienie, poniżenie i prześladowanie. Który spreczny jest i nie przestawa na prawdzie, a wierzy w owoce zapalczywości i gniewu. Który

sądzi brata swojego przed czasem, a nie czeka, ażby Pan przyszedł, który oświeci ciemności i objawi rady serc. Nie tuszę sobie nic, bom jest najmniejszy u Boga. Ale chciał-bym was kiedy mieć wszystkich zgromadzonych około siebie....

Zaczem szedł i rozmawiał z każdym z osobna, z Wichrem i z Krzesławem, z Wapnowskim i z kanonikiem, z Grzegorzem i Mateuszem, dla każdego pełen miłości i wyrozumienia. I trwały te rozmowy przez parę dni.

I był dzień ciepły i cichy, i pochylił się już ku wieczorowi. Niebo było posępne, i wielka duszność była w powietrzu; ale kiedy-by miały spaść deszcze, albo srogie się rozlać ulewy, to chyba aż rano, bo chmur deszczowych jeszcze nie było. Dlatego Dobiesław kazał stół nakryć pod gołym niebem, w chłodzie tych drzew rozłożystych, w których mieszkaly dobre duchy ubiegłych wieków. I rozwieszono lampy na drzewach, ażeby nocną rozświecić ciemnicę; i zastawiono stół dary bożemi. I zgromadzili się wszyscy domowi, i przyjechał Krzesław i Wicher, i przyjechało kilku sąsiadów. I zaproszono starszych z gromady, i podstarościch, i sług, celujących zacnością i pracą. I zasiedli wszyscy do stołu, a starcowi dano miejsce przedniejsze, jako jest we zwyczaju naszego narodu. I posilali się wszy-

scy, łamiąc chleb między sobą i pijąc wino z jednego kielicha. A kiedy nowy kielich nalano starcowi, on go postawił przy sobie i rzekł:

— Nie w winie jest prawda, jako mawiali starzy, lecz w słowie.

Zaczem otworzył usta aż dotychczas zamknięte, i zaczął opowiadać dzieje swojego męczeństwa, a zarazem i dzieje męczeństwa narodu. Bo kiedy on cierpiał, wielu cierpiało, a cały naród cierpiał nad niemi. I opowiadał, jak swego czasu zbudził się duch w południowych krainach Polski i Rosyi, jak starzy i młodzi, wielcy i mali, ubodzy i możni, związali się sercem ze sobą, wskrzesili w sobie nadzieję, odwagę i ducha ofiary, i szerzyli to wszystko coraz dalej i dalej. Jak wybierali z pomiędzy siebie pewniejszych i lepszych, ale nie odtrącali nikogo, ażeby ich zakon stawał się coraz pełniejszym; jak nigdy nie odkrywali przed wrogiem tych z swoich braci, którzy nie mieli wiary, ani tych, którzy nie mieli odwagi, ani tych nawet, którzy byli niechętni, ażeby rzecz stała przed wrogiem i światem, że u wszystkich jedna jest wiara i jedna odwaga. Jak takim pełnem miłości działaniem przyciągnęli moc ludzi do siebie, i w wielką wzrosli potęgę, i objęli swem sercem i duchem nie jedną warstwę społeczną, lecz wszystkie, nie jedną krainę

lecz cały naród, nie jeden naród lecz wiele. Ale trzeba było ofiary.... I odkryto ich, i pojmano, i zawieziono do ruskiej stolicy, która jest zbudowana na błocie i jest błotnistą plamą na ciele świata. I wrzucono ich do ciemnic głębokich, i spętano żelazem, i szukano na nich świadectwa. I znalazło się na nich świadectwo, jako są winni przestępstwa i buntu. I jednych pogubiono, a drugich wygnano, a jego, który to powiada, popędzono na Sybir. I szedł, dźwigając swe więzy krzyżowe, morzony głodem i nędzą, policzkowany i bity; a za nim z carskiej stolicy skrzypiało na wietrze pięć szubienic, pięć ofiar, pięć krzyżów....

I opowiadał dalej, jako został zapędzon w te kraje, gdzie krzysztalowe skały odwiecznych lodów iskrzą się w słońcu we wszystkie kolory tęczy, gdzie ciało człowieka zamarza jak w grobie, a tylko duch żyje życiem niebieskiem. I jest ta ziemia jako kraina duchów. I opowiadał, jako tam zastał jeszcze konfederatów barskich, pojmanyh przez Drewicza i Apraxyma; i tych, którzy się bili przeciwko Moskwie za czasów Kościuszki; i tych, którzy walczyli w imieniu Polski pod sztandarami Napoleona, i wielu innych późniejszych. I jest ta ziemia jakoby duchową wszystkich pokoleń polskich osadą. I opowiadał, jako jedni

z tych nieszczęśliwych mieli rany na głowach, a drudzy rany na piersiach; ci mieli łokcie porościnane jak u kontuszków wyloty i nagie im ztamtąd świeciły kości, a tamci ciała poszarpane knutami. I jest ta ziemia jakoby żywym męczeństwem Polski. I widział on te półsenne postacie, siadające na niebotycznych skaliskach lodów, kąpiące się w zimnych promieniach syberyjskiego słońca, zakrzepłe ciałem, konające i już pokonane, a jeszcze zawsze otwartą żrenicą patrzące ku Polsce. I jest ta ziemia jakoby na wieki wieków trwającym Polski natchnieniem....

I podniósł głos i tak mówił dalej:

— Jam jest, który tam siadał na owych skałach lodowych i wyteżał żrenicę ku Polsce, i cierpiał i tęsknił, i miał nadzieję i tracił. Miałem nadzieję po wiele razy, i traciłem ją wielokroć. Miałem ją zawsze, ile razy wasz duch podniósł się aż do zapału, i wystąpiwszy w całej swej wspaniałości przed światem, uderzał głosem i siłą jakoby jednego męża na zewnątrz; i traciłem ją zawsze, ile razy ten duch się rozdzielił i bratobójczą bronią począł wojować w swem własnem wnętrzu. A było tak wielokroć...

Widziałem was bowiem natenczas, kiedyście wstali orężnie i uderzyli na Moskwę. Pęd wasz był wtedy tak wielki, iż już myślałem, że wasze

przednie straże oprą się lada chwila o lody Sybiru. Rzuciliśmy się na kolana przed wami, boście się bili jak lwy; któż wam tego nie przyznał? Aleśmy prędko powstali z kolan, i nowa boleść nasze serca rozdarła: boście się z sobą skłócili...

Poszliście potem w tułactwo, drudzy zostali w domu; cierpieliście jedni i drudzy, wrzucano was do ciemnicy, katowano, wieszano i rozstrzelano. Lecz pośród jęków boleści, przy odgłosach morderczych strzałów, pod cieniem skrzypiących nad wami szubienic: ażaliście się kochali, po-krzepiali nawzajem, wzrastali w ducha, potęgę i siły? Nie. Wyście się z sobą kłócili....

I potem wasz duch niezgody, duch gorący lecz ślepy, wywołał głos rozpaczliwy, szalony. Korzystali z tego w piekielny sposób szatani. Ty-siące ofiar padło w domu i na polu, a krew zalała ziemię strugami. Kraj zamienił się w dziką pustynię, a na dymiących zgłiszczach ciężka zasia-dła żałoba. Ażaliż z nią razem zasia-dła pomiędzy wami pokora, ów pierwszy oddech przyby-wającej mądrości? Nie. Na brzegach całego morza wylanej krwi, na puszczy jeszcze niezga-słemi zasianej zgłiszczami, wyście się z sobą kłócili....

Za chwilę potem nadeszła pora, w której-byście byli mogli wiele złego naprawić, bo było

wam dano, stanąć jako jeden mąż w obliczu świata i zniewolić go do szacunku i miłości dla siebie. A wy, jakżeście skorzystali z tej pory? Oto zakipieście gniewem i złością przeciwko sobie i obryzgaliście błotem wasze własne postacie, i stanęliście nadzy i obłoceni przed światem, i podaliście się sami na pośmiewisko i urąganie waszych nieprzyjaciół. A nieprzyjaciele wasi skorzystali z tej waszej lekkości, i podali was dalej, i osławili was, i zamienili w szatanów, i przez wiele lat potem dzieci wami straszyli u siebie...

Boleśne to przypomnienia i straszne; usta drewnieją, język się cofa, kiedy je musi wymówić. Ale zaprawdę powiadam wam, niepoprawny to grzesznik, który się niezdobędzie na spowiedź, serdeczną. I zaprawdę powiadam wam, że jeszcze tego Bóg nie odtrącił od siebie, na kogo zesłał doświadczenia i próby choćby najcięższe, jeżeli mu tylko zostawił czas do poprawy. A wy, jesteście umarli czy żywi? Bez wątpienia, że żywi. A więc jeszcze nie wszystko stracone....

Ja wieszczęm nie jestem i nie wiem, co będzie; lecz widzę, iż dzisiaj znowuście odpoczęli i jesteście pełni ognia i siły do pracy. I widzę, że lada dzień, lada chwila, staniecie znowu z rozwartą piersią przed światem. Jakżeż się przygotowujecie do tego? Splugawieni gorzkiemi

owocami waszej niezgody, jesteście dziś zgodni pomiędzy sobą? Rozdzierani niemocą wewnętrznych swarów, jesteście dziś silni jednością? Pobici tylekroć waszą bronią własną, złością i nienawiścią, jesteście dziś pełni miłości?

Ja nie wiem, ale nie wątpię.

Nie wątpię o was, bo wierzę, iż przecież choć teraz jasno swe sprawy widzicie.

Taka rodzina, która dziś dwoi się w sobie i drze się, jakżeż jest nędznem i brzydkiem mrowiskiem! Dla takiej rodziny, która w przededniu wielkiego sądu pośród pijanych okrzyków i wrzasków idzie ze sobą za łby, nikt nie może obudzić w sobie ani iskierki miłości! Nad taką rodziną, która natenczas, kiedy cały świat zwrócił na nią swe oczy, rozdziera własne swe szaty, ażeby okazać swe rany niezagojone i wrzody ropiace, nawet sam Bóg nie może mieć miłosierdzia!

Ażaliż jest między wami choć jeden, który-by tego nie widział?

Ja tak nie sędzę.

Ażaliż jest, który-by widział i zdradzał sprawę powszechną świadomie?

O nie! zaprawdę, że nie. Takich nigdy pomiędzy nami nie było.

A zatem wyrzucicie z serc waszych wszelkie, do kłótni powody, i zrzucicie ze siebie nawe

kłótni pozory, i niechaj ani cień nie zostanie, żeście się kiedy ze sobą kłócili.

I niechaj cała przeszłość was wszystkich i każdego z osobna zapadnie w grób niepamięci na zawsze i niechaj droga do nowych zasług stanie otworem dla wszystkich i dla każdego.

I stańcie się wszyscy jako jeden mąż o milio- nie serc i twarzy milionie; a wszystkie serca niechaj się zrosną ze sobą na wewnątrz, a wszystkie twarze niech się obróć na zewnątrz.

I bądźcie jakoby posąg olbrzymi z jednego odlany kruszczu, stojący niewzruszenie na swojej ziemi rodzinnej, a chowający swojego ducha w spiżowem objęciu. Ma on rękę wzniesioną do góry, bo gotów jest rozbryzgnąć każdego w kawałki, kto-by go nieprzyjaźnie zaczepił; ma głowę wzniesioną do góry i nogę wprzód wysuniętą.

Tak stoi i zda się, jakoby był martwym i nieruchomym.

Ale przyłóżcie ucho do jego boku, a usłyszycie tam wewnątrz nieustające szept i szmery.

Cóż się tam dzieje?

Oto on ciągle pracuje nad sobą w cichości, ażeby się stawał coraz silniejszym.

On się modli pokornie, ażeby powyrzucał resztki cudzych Bogów z swej piersi, a swoich natomiast postawił.

On przypomina sobie rocznice swoich tryumfów i zwycięstw, i wspaniała je święci modlitwą.

On zlewa swoje uczucia we wspólne serce, jakoby w jedną dłoń ściska swe siły i z każdym dniem, z każdą godziną widać na jego twarzy coraz jawniejszy wyraz jednolitości, świadomości i siły.

Tak i wy stańcie, słowem i czynem. Mówcie odważnie i śmiało: — Oto jesteśmy! — I takie niech będą wasze uczynki, ażeby widziano, że istotnie jesteście.

A jakie mają być wasze słowa i wasze czyny, o to się wcale nie troszczcie; bo powie to wam wyraźnie duch boży, który się wtedy nad wami uniesie....

Cóż? czy się jeszcze wahacie?

Przez tego Boga, który wam oddał ziemię tak miłościwą i przyjął pomiędzy swe hufce orężne....

Przez Syna Jego, który was uczcił i ubłogosławił częścią swojego krzyża....

Przez bohaterów i świętych waszego narodu, którzy zsyłają na was promienie swej chwały....

Przez święte prochy i kości waszych męczenników i ofiar, po całym globie rozsiane....

Przez wasze własne męki i cierpienia....

Reszty już nie mógł starzec domówić. Albowiem w tej chwili rozniósł się głośny płacz w całej rodzinie, i wszyscy się sobie rzucili w ramiona. Wichr leżał na piersiach Dobiesława, Grzegorz padł na kanonika, Mateusz całował ręce Stanisława, a wszyscy inni starce, kobiety i dzieci, rzucili się na kolana, płacząc i jęcząc z wzruszenia. A starzec podniósł oczy i ręce ku niebu i czynił Bogu pokorne dzięki cichą modlitwą. A kiedy się modlił, słońce się wybiło z pomiędzy chmur, złotym oblało blaskiem tę bogobojną rodzinę — i rozpoczęło dzień nowy na ziemi.

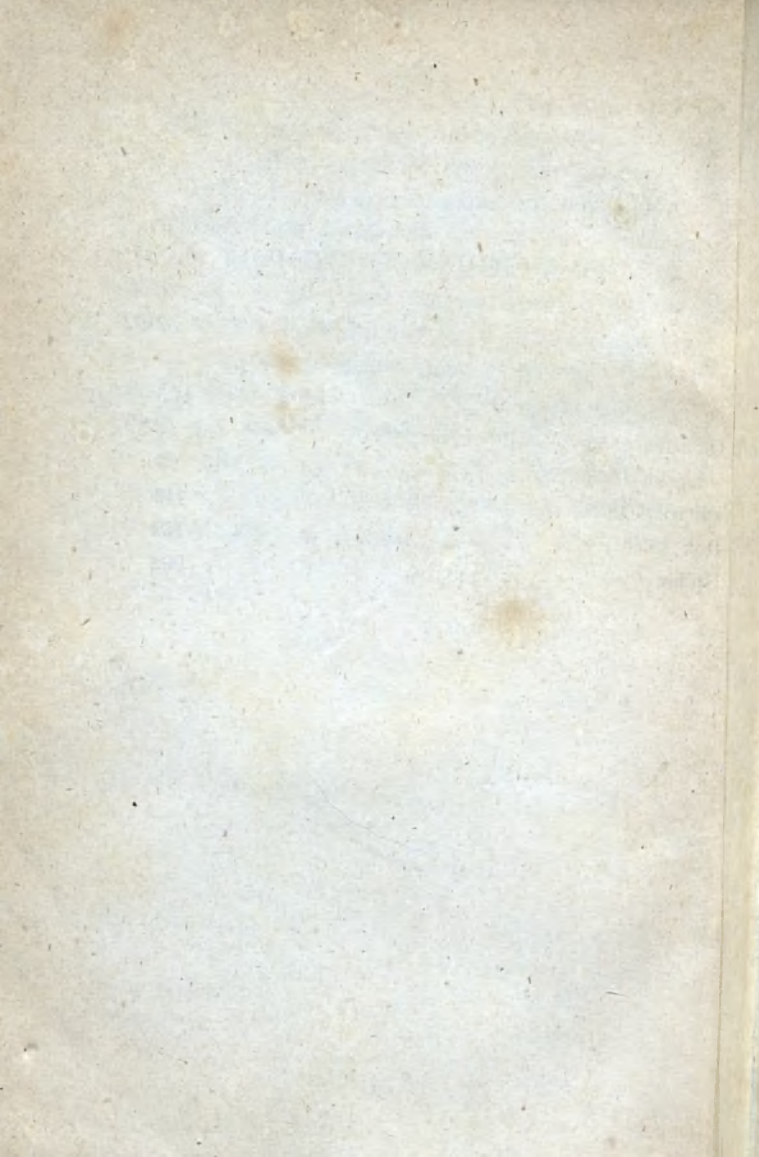
Bereźnica, we wrześniu 1860.



K O N I E C.

SPIS ROZDZIAŁÓW W TOMIE II.

	Str.
Od roku 1853	1
Od roku 1855	37
Do roku 1859	113
Rok 1860	169
Epilog	262



Tytuł i czas wyjścia każdego tomu będą zawsze poprzedzająco ogłaszane.

Zamówienia przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Pierwszy tom zawiera:

B. BOLESŁAWITA. Emissariusz. (Wspomnienie z r. 1838.)

Drugi tom:

ŁOZIŃSKI WŁADYSŁAW. Legionista. Powieść historyczna.

Trzeci tom:

LENARTOWICZ TEOFIL. Ze starych zbroic. Poezye.

Czwarty tom:

LENARTOWICZ TEOFIL. Album włoskie. Poezye.

Piąty tom:

BAŁUCKI. (Elpidon.) Życie wśród ruin. Powieść.

Szósty i siódmy tom:

GILLER AGATON. Z wygnania. 2 tomy.

Ósmy i dziewiąty tom:

KACZKOWSKI ZYGMUNT. Żydowscy. Powieść. 2 tomy.

Cena jednego tomu 1 złr. 20 ct. czyli 24 sr. gr.

620659

T.I.

Kzg 1 2857/67 100 000

„STRZE

Nakładem księgarni F. H.

w Poznaniu wychodzi już ro

tytułem pismo illustrowane

Głównejsze działy „Strzechy“ stanowią: Zajmujące powieści oryginalne i tłumaczone; dramata, poezye; rzeczy historyczne — ojczyste i obce; życiorysy sławnych osobistości; ciekawe opisy podróży; rzeczy dotyczące się krajów i ludów — a szczególnie ziem polskich; wiadomości przyrodnicze i t. d., a wszystko ozdobione obficie pięknymi drzeworytami.

„Strzecha“ wychodzi w zeszytach czterotygodn.

(załem 13 zeszytów rocznie) objętości 4 — 5 arkuszy w formie dużej ćwiartki i w pięknej okładce rysunku J. Kossaka.

Do każdego zeszytu „Strzechy“ dołączony będzie jako premia kupon na dzieło lub rycinę za cenę o 50% niższą od sklepowej, a to wyłącznie tylko dla abonentów „Strzechy.“ Tym sposobem mogą abonenci „Strzechy“ nabywać dzieła prawie za bezcen, co przy 13stu zeszytach stanowić będzie znakomitą premię, przewyższającą znacznie wartość całego rocznika „Strzechy.“

Cena jednego zeszytu: 60 ct. albo 10 sr. gr.

Przedpłaty składać nie potrzeba, tylko płaci się za każdy zeszyt osobno.

Wydawnictwo „Strzechy“, pragnąc ile możności ułatwić abonentom swoim nabycie dawniejszych roczników, przeznaczyło pewną, ograniczoną ilość egzemplarzy I., II. i III. rocznika „Strzechy“ do rozprzedania po znacznie niższej cenie, a mianowicie:

*I., II. i III. rocznik pięknie oprawny z premią
po 5 złr. — 3 tal. 10 srg.*

Kupujący dwa lub trzy roczniki naraz otrzyma w dodatku bezpłatnie powieść B. Bolesławity: „Drugie życie“ (stanowiącą dalszy ciąg powieści tegoż autora, umieszczonej pod tytułem: „Bezimienna“ w I. roczniku „Strzechy.“)

Jestto także wielce stosowny podarek na kolędę.